Szpargały

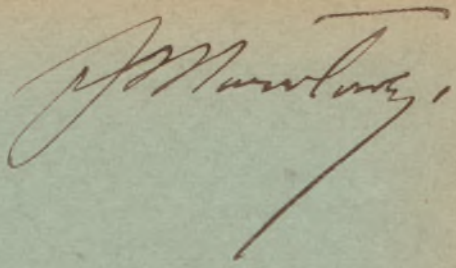

WYBÓR PISM KAJETANA KRASZEWSKIEGO.

TOM I.

BIBLIOTEKA DWUTYGODNIKA ILLUSTROWANEGO „ŚWIAT“

KAJETAN KRASZEWSKI.

WYBÓR PISM. — TOM I.

Z PODAŃ I SZPARGAŁÓW.

CZĘŚĆ PIERWSZA.

GOŚCIE. — PIORUNY KSIĘCIA WOJEWODY. — JARZĄBKOWA NOC. — WOŁŁODKOWICZE. — KOŚCIUSZKOWIE. — DOŁHOLISKA. — SOSNOWICA. — TAKTYKA PANA ROTMISTRZA. — O KARPIŃSKIM. — W OBLĘŻENIU. — Z OPŁATKIEM.

KRAKÓW.
NAKŁAD DWUTYGODNIKA ILLUSTROWANEGO „ŚWIAT.“
1892.

49121

Tegoż autora wyszły:

Koniuszyc Brzeski. 1876. Lwów. Gubrynowicz i Schmidt.
Chełmianie. 1878. Warszawa. Sennenwald.
Opowiadania mniejsze. 1879. Warszawa. Noskowski.
W sprawie szczerbca. 1879. Odbitka z *Biblioteki Warszawskiej.*
Od szkolnej ławy. 1880. Warszawa. Gebethner i Wolff.
Pod wyrokiem. 1883. Warszawa. Gebethner i Wolff.
Generał Filip Hauman i rodzina Malczewskich. Warszawa. 1888. Odbitka z *Biblioteki Warszawskiej.*
Bartochowski. 1889. Kraków. Nakładem dwutygodnika „Świat."

KRAKÓW. — DRUK WŁ. L. ANCZYCA I SPÓŁKI.
pod zarządem Jana Gadowskiego.

GOŚCIE.

KARTKA Z DZIEJÓW NASZYCH.

1795—1813.

Ty śpisz Zygmuncie! a twoi sąsiedzi
Do twego domu goście przyjechali!..
Ty śpisz, a czeladź przyjęciem się biedzi
Tych, co cię czcili, co ci hołdowali.
Karpiński.

„Każdy to ma, na co zasłużył," „jak sobie kto pościele, tak się wyśpi," prawdy te powszechnie przyjęte i niby niezbite, powtarzane są jednak przez tych głównie, którym jest... dobrze na świecie; ale niechno się komu noga powinie, mówi wcale inaczej; głos tylko upośledzonych od losu zawsze jest mniej słyszanym, za prawdę więc uchodzą i owe sofizmaty ukute na to zapewne, aby się szczęśliwy nad nieszczęśliwym litować nawet nie potrzebował. Widzimy bowiem nieraz, że sprzyjające albo przeciwne okoliczności stokroć więcej działają od wszelkich prac, starań i zabiegów ludzkich; stosuje się to i do jednostek i do rodzin i do plemion całych. Jednym się wiedzie, drugim nie, i ci więc ostatni mają również swoje stare i doświadczone

axiomata „jednemu się zmiele, drugiemu się skrupi," „aliis subulae radunt, aliis nec novaculae" [1]). Jak to się, naprzykład, prawdziwie powodzi naszym sąsiadom Prusakom; z małej naszej własnej prowincyi wyrośli oni na królestwo ledwo przed 180 laty; a dziś! — pierwszorzędne państwo w Europie! Mocno to przypomina pokornego ekonoma folwarku, co korzystając z nieoględności dziedzica, w niedługim czasie niemal cały po nim zagarnął majątek. Mieli oni wprawdzie swego, tak zwanego wielkiego elektora, który przewrotnie i zręcznie korzystać potrafił z kłopotów Jana Kazimierza; mieli swego Fryderyka II, umiejącego się bić, ale niestety, ze wstydem prawie przyznać musimy, że w czasie naszego upadku i zaborów przez Prusaków w owym czasie dokonanych w naszym kraju, wojsko ich nie było wcale, ani takiem jak dziś, ani jak czasu siedmioletniej wojny za Fryderyka Wielkiego. Ciekawe są prawdziwe podania u nas o Prusakach z epoki zajęcia przez nich naszego kraju.

Król Stanisław August wyjechał ostatecznie z Warszawy nazajutrz po Trzech Królach, dnia

[1]) Jednemu szydła golą, drugiemu brzytwy nie chcą.

7-go stycznia 1796 r.[1]), w towarzystwie generała Tormansowa z silnym konwojem czarnomorskich kozaków; przybył do Białegostoku w mróz 22-stopniowy dnia 10-go na noc i stanął w pałacu siostry, pani Krakowskiej (Branickiej); nazajutrz 11 stycznia, przenocowawszy tylko, gdyż siostra bawiła na ten czas w Lublinie, udał się w dalszą podróż do Sokółki na noc; w sam zaś dzień ruskiego Nowego Roku przed południem przyjechał do Grodna, gdzie nań już książę Repnin oczekiwał.

Warszawę zajął na ten czas rosyjski generał Buxhöwden, ale w sam dzień odjazdu króla weszło jeszcze do stolicy i 4.000 Prusaków, którzy wspólnie z Rosyanami mieli w stolicy służbę garnizonową odbywać. Naoczny świadek, oddając sprawiedliwość generałowi Buxhöwdonowi co do jego łagodności i wyrozumiałości dla mieszkańców, uznając oraz porządek i karność wojska rosyjskiego, wcale inaczej mówi o Pru-

[1]) Data wyjazdu króla rozmaicie jest podawaną; dnia 1-go, 5-go, albo nawet 9-go stycznia n. s. Współczesny świadek, który był w Białymstoku w czasie przejazdu Stanisława Augusta, wedle notat znajdujących się w archiwum autora, oznacza wyjazd króla na dzień 7 stycznia n. s. 1796 r., jak tu właśnie podajemy.

sakach. Byli to koszlawi i nędzni rekruci z najgorszą bronią, bez płaszczów, dzwonili zębami na mrozie, a całe miasto żarty z nich stroiło bez końca; dość powiedzieć, że im ulicznicy odkradali broń, bębny i lederwerki, a nierzadko nawet zgniłemi jabłkami na nich rzucano.

Opisów Warszawy z tego czasu, a następnie i Księstwa Warszawskiego posiadamy niemało, mniej wiadome, a może i wcale nieznane są niektóre szczegóły zajęcia przez Prusaków tak zwanej Białostockiej Regencyi, które tu dla objaśnienia dalszego opowiadania naszego umieszczamy.

Suworow po wzięciu Pragi dostał był właśnie w nagrodę od Imperatorowej Jejmości wspaniały dar, Ekonomię Kobryńską; wojska też feldmarszałka rozlokowane były w okolicach Kobrynia i Grodna aż ku brzegom Narwi; w Białymstoku Beningsen miał główną kwaterę. Ciekawą jest rzeczą, że tu w liczbie wyższych oficerów rosyjskich, nazwisko rosyjskie jest prawdziwą osobliwością; tak jak Buxhöwden i Beningsen są tu: Cosens — Anglik, Lascy — Irlandczyk, — Wittgenstein, Liven, Zass, Aurep i całe szeregi nazwisk ze wszystkich końców świata. Dalej już w Tykocinie główną kwaterę zajmuje

pruski generał Suther, którego korpus kordonowy rozciąga się nad brzegami Narwi, a za wojskami pruskiemi przywędrowały i bez końca przybywają całe legiony najrozmaitszego rodzaju zgłodniałych obdartusów, Niemców, z żonami, bachorami i węzełkami, czekając i wyglądając chwili, w której powołani być mają do zajęcia wszelkich możliwych urzędów i posad rządowych.

W Złotoryi nad Narwią stoi pan kapitan Lebbin z kompanią fizylierów, ma stu pięćdziesięciu żołnierzy i dwieście bab, Niemek, z dziećmi i bez dzieci. Czterdziestu sześciu włościan miejscowych co do jednego wypędziwszy z chałup, że się z całemi rodzinami w szałasach mieścić musieli, zajął w chatach kwatery i wszystkiego, co do żywności i utrzymania potrzeba, kazał sobie *gratis* dostarczać wieśniakom pod karą plag, natychmiast na dziedzińcu przed mieszkaniem pana kapitana wyliczanych. Codzień 24 gospodarzy zaciąga wartę, zamiata, drwa wozi i rąbie i wszelką wypełnia służbę, żeby niemiaszki mogli się odpasać i odpoczywać spokojnie. Sam Herr kapitan Lebbin, wypędziwszy miejscowego ekonoma, w niskim i starym domu folwarcznym zajął mieszkanie wraz z żoną, ustro-

joną w zielony flanelowy kubrak, ze służącą i kucharką; faworyt ogromny wieprz holenderski, wielce przyłaskawiony, a przez domowników, nota bene, nazywany „Stänschen," ma zawsze, przez otwarte okno, wolny wstęp do „salonu" i towarzystwa pana kapitana. Oto jest jeden z tysiąca obrazek, zdjęty żywcem z natury, jak go nam naoczny, współczesny podaje świadek.

W okolicy właśnie Narwi i Buga schodzić się miały trzech państw granice, ale rokowania w tym względzie trwały prawie dwa lata; przez ten czas więc cały, aż do początku roku 1797, losy tej części kraju stanowiły dla wszystkich nieprzeniknioną zagadkę. Był to więc stan dziwny jakiś i wyjątkowy, życie z dnia na dzień, od godziny do godziny, bez jutra; skończyła się przeszłość, a na przyszłość dwa lata oczekiwano. Jak oddech w piersi zatamowało się wszelkie życie publiczne; prawo stanowiły jednodniowe rozporządzenia tej komendy wojskowej, która w danej chwili pewną okolicę zajmowała i trzymała w swej mocy.

W połowie lipca 1795 r., w samą porę, jak na te czasy, pojawił się też w Warszawie słynny sztukmistrz i eskamoter, Pinetti... istny histo-

ryczny przedstawiciel epoki, w której przed oczami zdziwionych widzów, najosobliwsze i zgoła niepojęte odbywały się sztuki; miała się właśnie przetwarzać cała Europa, a tysiące rzeczy, albo niewiadomo, gdzie się podziewało, albo wcale niespodzianym podlegało zmianom. W takiem życiu, godzina, dzień niepewności jakże są ciężkie do przebycia! cóż mówić o latach całych? Nic dziwnego przeto, że się tym stanem niejeden już w okolicach Buga i Narwi zamieszkały znużył i zniecierpliwił, a zwłaszcza wobec takich przodowników cywilizacyi, jakim był naprzykład ów kapitan Lebbin, niestanowiący bynajmniej szczególnego w ówczesnym kordonowym korpusie pruskim wyjątku. Więc kto był mniej do rodzinnego przywiązany zagona, kogo miejscowe nie krępowały sprawy, na kim nie ciężyły obowiązki jakie, a pociągały go w inną stronę widoki albo stosunki rodzinne, a najczęściej ci, co mieli zadłużone majątki, starali się ich pozbyć i sprzedać, aby się w inne okolice przenieść. Ale ruch ten wcale nieobywatelski objawił się silniej dopiero po dokonanem zajęciu kraju przez Prusaków. Wszystko to jednak trwało jeszcze w zawieszeniu aż do końca 1796 r.

Król Stanisław wyjechał z Grodna do Peters-

burga 16 lutego 1797 roku i tegoż samego dnia na Brześć i Grodno poczęły się już cofać wojska rosyjskie; nowe granice były umówione; wreszcie i obywatelom nad Narwią kazano pale dębowe na słupy graniczne przygotowywać. Z Białegostoku wymaszerowały dwie kompanie grenadyerów Livena; Prusacy, tak zwani Bośniacy (słusznie, bo im często butów brakowało), w liczbie dziesięciu batalionów, weszli do Zabłudowa, Boćków i Brańska, kompania jedna strzelców do Bielska, druga zaś z walecznym kapitanem Lebbinem na czele wyjechała do Białegostoku na chłopskich wozach, tryumfalnie, ustrojona *ad hoc* w nowych, świeżuteńko w Złotoryi na prędce uszytych mundurach, w których tylko guzików nieco brakowało, stare zaś i połatane, że był mróz silny, troskliwi żołnierze oddali na przyodziewek dwustu kilkudziesięciu babom, towarzyszkom, które w uniformach a chustkach i spódnicach pstrych i kolorowych, zdobiły ten wspaniały orszak, żywcem proszący się... na parawan.

Pani Krakowska, pożegnawszy brata w Grodnie, miała właśnie do rezydencyi swojej powrócić; oczekiwano jej lada chwila, a Lubowidzki, komisarz hetmanowej, kręcił się i bie-

gał, ażeby wszystko zastała w należytym porządku. Na ten czas właśnie nadciągnął gruby i nadęty Lebbin, a zajechawszy wprost przed pałacowe stajnie, kazał je bez ceremonii otwierać, chcąc tam sobie składy garnizonowe urządzić. Lubowidzki począł się opierać, wywiązała się sprzeczka, która niewiadomo jakby się była skończyła, gdyż Lebbin już dobył szpady i szpikować nią chciał komisarza, któren się laską z wielką zręcznością bronił, gdy na szczęście nadszedł major Rostock, dowódca batalionu, i zaraz też za wydobycie szpady aresztował Lebbina.

Pruskie rządy już się zaczynały; zbiegły się całe chmury administratorów, że jednak dla hetmanowej wszelkie nakazano względy, gdy więc tylko nadjechała z Grodna, major Rostock pośpieszył złożyć jej uszanowanie i straż honorową przy pałacu naznaczył. Nazajutrz zaraz stanęło już do czynności biuro komisarza cywilnego, które zajęło się przetwarzaniem i urządzaniem całego kraju po prusku. Beyer organizował wydział sprawiedliwości; Mirus, Berlińczyk, skarb i administracyę. W parę tygodni później pan minister Schretter z dwoma pomocnikami, pp. Dohna i De Salis, objeżdżając kraj no-

wonabyty, zawitał do Białegostoku. Był to człowiek niestary jeszcze, który, owdowiawszy i wydawszy piękną i młodą córkę za starego Knobloch a, ożenił się powtórnie z córką zbożowego kupca w Gdańsku; a że miał pod swojem rozporządzeniem statki rządowe, które do kraju sól przywoziły, przy organizacyi więc ziem nanowo, na imię Jego Królewskiej Mości nabytych, nieomieszkał organizować i własnej kieszeni.

Przy tysiącznych bowiem trudnościach, jakie z nowych urządzeń spotykały obywateli, przy nakładaniu nowych podatków, kar za niezrozumienie urządzeń i rozkazów w niezrozumiałym pisanych języku, oraz najprzeróżniejszych, a dowcipnie obmyślanych fiskalności, pan minister bez trudu i za liche pieniądze wykupywał zboże i rządowemi statkami posyłał je na swoją korzyść do Gdańska. Zaraz też instalowano owego pana Knoblocha, zięcia ministra Schrettera, na prezesa izby wojennej i posiadłości koronnych, przyczem nakazano odbierać na rzecz skarbu wszelkie nadane za Rzeczypospolitej obywatelom starostwa, oraz dobra i ekonomie królewskie i wypuszczać je w dzierżawę. Tu dopiero otworzyły się pożądliwie oczekiwane najobfitsze sluzy i upusty do niemieckich kieszeni, dzielono dobra

na folwarki, a na tę łakomą zdobycz rzucili się przybyli urzędnicy sami i spekulanci wędrowni; oczywiście skarb, właściwiej urzędnicy urzędnikom, oraz pobratymcom i kamratom czynili wszelkie ułatwienia; zaroiło się w kraju Niemcami. Życie miejscowych obywateli z każdym dniem stawało się coraz cięższem i coraz trudniejszem; rzecz najprawdziwsza historyczna, że bardzo wielu ze zmartwienia dostawało żółtaczki, melancholii i wreszcie zupełnego pomięszania umysłu i fiksacyi. Niemało się do tego przyczyniały nowy język i nowe prawa, których nikt nie znał, a za najmniejsze uchybienie nakładano kary i kontrawencye, które natychmiast egzekwowano. Dominik Kuczyński, starosta Żurowicki, człek światły i zacny, tak się był zniecierpliwił, że dobra Pietków i Wilków chciał już komu darować, byle się pozbyć kłopotów; miał — wprawdzie niewielu — amatorów Niemców, ale tych do domu nawet nie wpuszczał; na szczęście, kupił je od niego pan starosta Brański, który i z Niemcami umiał sobie dawać rady. Gorzej się stało z Ciechanowcem, ten za pół ceny sprzedała pani Lanckorońska, Osolińska z domu, Schimmelphenigowi, komisarzowi pruskiemu, co był przedtem dyrektorem policyi

w Warszawie; ten zaś, jako komisarz dóbr państwa, nowy zaprowadzając w starostwach i dobrach koronnych porządek, a objeżdżając kraj ustawicznie rozglądał się tylko w okolicy i upatrywał sposobności do pozyskania łatwej i zyskownej zdobyczy.

Kupno to przyspieszyła jeszcze ta okoliczność, że się chciał usunąć od urzędowania z powodu zmiany zwierzchnika i jakichś zajść z następcą jego Mirusem, który objął prezesostwo po Knoblochu. Ten bowiem, jak wyżej mówiliśmy, ożeniwszy się już w późnym wieku z córką ministra, młodziuchną panną, wychowaną w stolicy, przywiózł ją był do Białegostoku, ale sam, stary i biuralista zapamiętały, nie miał wcale czasu i nie umiał bawić młodej żony; zadanie to ułatwił mu Cichocki, syn generała, młody i urodziwy porucznik ze szkoły pruskich kadetów, który pannę ministrównę znał jeszcze pono przed jej zamężciem i wprost z Berlina pośpieszył do Białegostoku, wstępując do batalionu strzelców, który tam konsystował. Knobloch, dręczony zazdrością, zasiadłszy w swojem biurze, przez dwa dni i dwie nocy pisał, mazał i stylizował wzniosłe i przepyszne kazanie o powinnościach małżonki, a ukończywszy ten urzędowy operat, z całą

uroczystością zawezwał żonę i począł jej czytać owo monumentalne dzieło; ale pani prezesowa naprzód ziewnęła lekko, a po chwili, roześmiawszy się serdecznie, z rąk mu papier wyrwała i odesłała go ojcu, ministrowi, z komentarzami o obowiązkach samego małżonka. Schretter wezwał zięcia do Berlina, tam się posprzeczali, skutkiem czego stary Knobloch dostał dymisyę i odsunięty został od służby i... od żony.

Mirus, dostawszy się do władzy, najusilniej dopomagał swym ziomkom do osiedlania się w tamtych stronach, gdzie już i przedtem po upadku sławnych zakładów fabrycznych podskarbiego Tysenhauza, cudzoziemców niemało się znajdowało. Rozsiedli się więc Prusacy i rozgospodarowali szeroko, aż do owej chwili w 1806 roku, kiedy się otworzyła kampania francuska, a generał Lestocq ze swym korpusem zemknął z Torunia, dokąd wszedł marszałek Ney bez żadnego nawet oporu. Było to już hasłem do ogólnego popłochu w Białostockiej regencyi; na tę wieść urzędnicy pruscy jeden przed drugim umykać poczęli, kasy tylko, najskrzętniej oczyszczone, zostawiając po sobie. Ci jedynie, co ponabywali ziemię, nie mogąc jej unieść, zostali na miejscu, ale jakby różczką czarodziejską tknięci

z butnych, nadętych i zarozumiałych, stali się pełni słodyczy, mili i potulni, choć ich do rany przyłożyć!

Na mocy wreszcie zawartego w Tylży traktatu, przeszła pod panowanie cesarza Aleksandra I-go regencya z nazwiskiem obwodu Białostockiego, a senator Thiels, jako pierwszy organizator rosyjski, zjechał niebawem do Białegostoku dla wyrugowania wszystkiego, co było niemieckiem, z wyjątkiem... samych Niemców w okolicy osiedlonych.

Napoleon, stanąwszy u szczytu swej potęgi i sławy, nienasycony jeszcze, zaraz niemal po Tylżyckim traktacie nowe wojenne kroki rozpoczął na Iberyjskim półwyspie; poszli tam i nasi wysługiwać się bohaterowi wieku, pociągnięci zapałem rycerskiego ducha, nałogiem żołnierskiego koleżeństwa, urokiem wreszcie imienia tego, który im złudnych nie szczędził obietnic. Poszli i walecznością bezprzykładną prawie cały świat w podziw wprawiając, niestety, krwią nawet własną nie mogli okupić błędu walczenia w sprawie z gruntu niesprawiedliwej, która i karę pociągając za sobą, niemało się przyczyniła do upadku samego Napoleona. Ale on nie mógł żyć w pokoju; bezwiednie spełniał to posłanni-

ctwo swoje, był przedewszystkiem wojownikiem, na którego czekały wieki i długie zapewne jeszcze wieki upłyną, zanim dla nowych przewrotów potrzebnym będzie i zjawi się podobny jemu, nowy geniusz wojenny. Nie było więc spokoju za jego czasów, ale w krajach polskich uciszyło się po Tylżyckim traktacie, a społeczeństwo nasze przedewszystkiem zajęte było zmianami we własnym ustroju, przetwarzaniem się i zastosowywaniem do nowych życia warunków. Niebardzo więc zważano na głuche wieści, które w lat trzy po utworzeniu Księstwa Warszawskiego znowu poczęły obiegać po kraju. Mówiono, że Austrya, korzystając z niepowodzeń Napoleona w Portugalii i Hiszpanii, a chcąc powetować sobie olbrzymie straty, jakie przedtem poniosła, gotuje się do nowej wojny.

W istocie, tuż pod bokiem Księstwa Warszawskiego i niegdyś regencyi, a obecnie obwodu Białostockiego, ruszał się już korpus wojska austryackiego przeszło czterdziesto-tysięczny, a jeszcze nikt w wojnę nie wierzył. W każdym razie, chociaż w Białostockim obwodzie dobrze wiedziano, że gdyby nowa wojna wybuchła, będzie ona zawsze za miedzą i tych okolic dotknąć nie może, niemniej jednak niepokojono się o braci

za kordonem, których Napoleon do nowego powołał życia.

Mieszkał na ten czas w Grodzieńskiem niedaleko Sokółki IM. pan Łukasz Kopeć, Wojski Drohicki; człowiek już niemłody, który dobrze pamiętał czasy jeszcze Augusta III, a gdy się wojna siedmioletnia poczynała, był już sporym wyrostkiem. Rodzina to była niegdyś wielkiej paranteli, z najpierwszemi w Rzeczypospolitej spokrewniona domami, ale gdy powinowaci ich Radziwiłły, Sapiehowie, Ogińscy, Chodkiewiczowie i inni, służąc krajowi, do ogromnych dochodzili bogactw, Kopciowie, jako i spokrewnieni z nimi również Firlejowie, nie dobijając się o zaszczyty, coraz ubożeli bardziej, aż Firlejowie wygaśli, a Kopciowie zeszli wreszcie na jedną niewielką wioseczkę Zahorze, którą IMP. Wojski z bratem odziedziczywszy po ojcu, jeszcze na dwie rozdzielili części. Wojski młodszemu bratu rezygnował fundum, dwór stary, a sam na drugim końcu wsi nową siedzibę założył; był bowiem gospodarz zabiegły, czynny i nadzwyczaj w zawodzie swym zamiłowany, a nie mając jakoś w rycerskiem rzemiośle upodobania, całe życie na ojcowskim tylko spędził zagonie.

Cale innym animuszem ożywiony był brat

jego Eustachy; ten wszędzie się znalazł, gdzie się ludzie bili, począwszy od konfederacyi Barskiej, cały kraj obiegł, tułał się na Szląsku z generalnością, po Mołdawii i Wołoszczyznie, bił się na kresach, walczył w pierwszej Kościuszkowskiej wojnie, aż wreszcie z drugiej, po Maciejowickiej bitwie nie wrócił i ciała jego nawet nie znaleziono. Ożenił się był poprzednio p. Eustachy, kiedy przyszły czasy spokojniejsze w 1780 roku, pozostała więc wdowa po nim i syn jedyny, którym się stryj Łukasz opiekował. Pan Wojski za to, całe życie tylko rolą zajęty, nie miał czasu, aż już pięćdziesiątkę minąwszy, o ożenieniu pomyśleć; nie miał też i dzieci, tylko pasierbicę, którą wziął z matką jej wdową, panią Zarębiną; ale mu niemniej Pan Bóg błogosławił, bo gdy żona w niedługim czasie umarła, znalazł w tej córce przybranej jakoby rodzoną, która na ów czas 17 albo 18 zaledwie lat mając, całym domem Wojskiego tak już gospodarnie, a pięknie rządzić umiała, jakby i najdoświadczeńsza może nie potrafiła niewiasta.

Tak więc na jednym końcu wsi w nowym Zahorzu mieszkał pan Wojski z pasierbicą, piękną i żwawą Anusią, w drugim, starym dworze przez wieś jedynie odległym, wdowa staruszka

po panu rotmistrzu Eustachym, od paru lat osamotniona, gdyż syn Aleksander, odziedziczywszy po ojcu rycerskiego ducha, skoro tylko zasłyszał o zawiązujących się wojskach Księstwa Warszawskiego, już go żadna siła w domu utrzymać nie mogła. Dodać tu musimy, że marzeniem pana Wojskiego było wydanie za synowca pasierbicy; kochał ich oboje, a prócz tego do imienia i rodzinnego przywiązany zagona, radby był, ażeby majątek, jak przeszedł z rąk dziada, cały znów i nierozdzielny dostał się w ręce wnuka. Nie sprzeciwiała się temu i pani rotmistrzowa wcale, młodzi zaś kochali się od tak dawna, że żadne z nich nie mogłoby z pewnością powiedzieć, kiedy się ich wzajemna miłość zaczęła. Wszystko więc składało się jak najlepiej i byłaby już młoda para dawno stanęła na ślubnym kobiercu, gdyby im nie przeszkodził... Napoleon, ustanawiając Księstwo Warszawskie i wojsko, co choć się polskiem nie nazywało, ale niem w istocie było. Pan Aleksander niedawno właśnie z warszawskiego liceum wróciwszy, pod okiem stryja brał się już do gospodarki z ochotą; miały się wkrótce ziścić wszelkie jego młodzieńcze marzenia, a przyszłość zdawała się przed nim otwierać spokojna i jasna, żadną na-

wet nieprzyćmiona chmurką. Ale inne to były czasy i ludzie; młodzież umiała i lubiła jeszcze siedzieć na koniu i do wojaczki się rwała. Bóg wie, jakby to dziś w takich okolicznościach wypadło, ale wówczas takie postanowienie młodzieńca dziwnem się nikomu nie wydało; zamierzone małżeństwo do późniejszego odłożono czasu; matka, otarłszy łzę cichą, pobłogosławiła; stryj opiekun, choć sam wcale nie wojak, ani śmiał ganić zamiaru, a panna... z żalem wprawdzie i ściśnionem sercem żegnała narzeczonego. Poszedł więc pan Aleksander i już go od dwóch lat w Zahorzu nie widziano, kiedy wieść o ruchach wojsk austryackich i o spodziewanej wojnie niepewnością jej skutków spokój rodziny nieco zamąciły.

Rzeczą jest oddawna dowiedzioną, że kłopoty i przeciwności nigdy pojedyńczo nie przychodzą, a choćby najmniejszego na pozór związku z sobą nie miały, zawsze jedne za drugiemi ciągną jak klucz posępnych żurawi. Tak było właśnie i w Zahorzu: pani rotmistrzowa, której od niejakiego czasu nie służyło zdrowie, przy końcu marca zachorzała mocno; nie była to słabość gwałtowna, ale od tygodni kilku staruszka coraz

bardziej słabła i z sił opadała; życie uciekało widocznie.

Doktorowie, dla których po większej części każdy chory jest tylko mniej więcej ciekawym egzemplarzem, leczą zwykle młodszych gorliwiej „dla doświadczenia," stary jest dla nich jak grzyb jesienny, który bądź co bądź lada dzień rozsypać się musi. Nie kłopoczą się więc starymi, chyba w wyjątkowych okolicznościach; zwykle dają leki i rady dla uspokojenia rodziny, za najskuteczniejsze uważając je wszelako dla... własnej i aptekarskiej kieszeni.

Zdaje się, że nie inaczej pojmował rzeczy i stary pan Dunckier, sławny w okolicy, nadworny lekarz pani hetmanowej Branickiej, której właśnie przed półtora rokiem jeszcze asystował, kiedy się ostatecznie do lepszego przenosiła świata. Wezwany do pani rotmistrzowej, pokiwał głową, uśmiechnął się mile, przez dwie godziny bawiąc, ugaszczany i karmiony, gadał wciąż o politycznych „konjunkturach," rozglądał się po folwarku, który mu się bardzo podobał, a zapisawszy wreszcie kilka recept łokciowych, z wielką wprawą i pośpiechem, prosił, żeby go jak najprędzej odesłano do pana Bomsdorfa, sąsiada, co o pół mili od Zahorza właśnie był kupił

folwark przed dwoma laty. Jakoż, pośpieszając z odjazdem, zapomniał prawie, że był do chorej wezwany, tak mu wciąż po głowie Austryacy, Prusacy i Francuzi chodzili.

Posłuchy i nowiny polityczne, jakie wówczas obiegały po świecie, niezmiernie zajmowały przedewszystkiem Niemców, którzy od panowania jeszcze Prusaków pozostali w kraju. Ruch był pomiędzy nimi niezwykły; pokorne i dobroduszne miny, przybrane po Tylżyckim traktacie, zaczęły się do niepoznania zmieniać. Wracał im właściwy, znany ów pruski humor grubiański, cynizm pogardliwy, buta i pewność siebie, które ich po wszystkie czasy cechują. Odzywali się głośno, że Austryacy przyjdą ich wyzwolić, aby oddać w posiadanie swych pobratymców Prusaków kraje już przez nich raz posiadane, a zatem na wieki wieków niewątpliwie niemieckie.

W złym więc czasie przypadła choroba pani rotmistrzowej, bo i stary Dunckier, choć doskonały lekarz, niewiele jej pomógł, mając zwłaszcza głowę czem innem zajętą i na nieszczęście nie miała przy sobie nawet jedynego syna, który oddalony i w czynnej służbie zostający nie był w stanie do łoża chorej matki pośpieszyć. Pani rotmistrzowa jednak nie była pozbawiona opieki;

czuwała nad nią dniem i nocą w starym dworze poczciwa Anusia, która się tam przeniosła wraz z nieodstępną piastunką swoją i gospodynią panią Ścibłówną. Wojski też dowiadywał się co chwila, zajeżdżał i zachodził do starego dworu, ale już widocznie godziny życia staruszki były policzone; w chwilach tylko przytomniejszych wzdychała i ubolewała, że nie może jeszcze syna pobłogosławić przed śmiercią. Było to jednak rzeczą niepodobną, bo już i wiadomość o owej sławnej proklamacyi księcia Ferdynanda z dnia 12 kwietnia w Ryczywole ogłoszonej, rozbiegła się po całym kraju i mówiono powszechnie, że się rozpoczęły pierwsze kroki wojenne.

W parę dni po odwiedzinach doktora Dunckiera, pan Wojski po raz czwarty już od rana objeżdżając i obchodząc gospodarstwo, wstąpił do chorej, a znalazłszy ją nieprzytomną i z córką tylko zamieniwszy słów parę, zwrócił do domu.

Ścieżka od starego do nowego dworu prowadziła wzdłuż wsi po za włościańskiemi gumnami; szedł pan Wojski, nie spiesząc się, smutny i zadumany; było to w wigilię właśnie świętego Wojciecha, kiedy stare przysłowie pociechę gospodarzom w polu obiecuje. W istocie, sucha, ciepła i pogodna wiosna dodawała tego roku

rolnikom otuchy, i wieczór ten kwietniowy już prawie przypominał lato. Wojski też z przyzwyczajenia rzucał okiem na bujnie i pięknie zieleniejące się niwy, lubo myśli jego w tej chwili błąkały się tęskne, z dalekiej przeszłości w niedoścignioną przyszłość, przebiegając szybko.

Spojrzał na stary dworzec dziadowski, okolony odwiecznemi drzewami, cichy i poważny, pełen pamiątek i wspomnień rodzinnych, który wkrótce miał już zapewne zostać pustkowiem i cieniem tylko szczęśliwszych, minionych czasów; spojrzał na własną, nowszą siedzibę, przez siebie samego stworzoną i wypiastowaną, tu zrąb każdy, cegła czy kamień przez jego niemal własne przechodziły ręce. W ulicach i w obszernym ogrodzie drzewa, które sadził, stały już w całej sile i pełnym rozwoju; wszędzie był ład i porządek, na każdym kroku odczytywał myśl własną, lat ubiegłych wspomnienia, i westchnął smutnie, dumając: „Komu się to wszystko dostanie?“ Komu, kiedy jedyny, ukochany jego spadkobierca rzucony był na łaskę niepewnego wojennego losu? A jakby w przeciwieństwie tej jego tęsknoty, trwożliwych myśli i zwątpienia obraz wiosenny pełen uroku roztaczał się przed oczyma. Rozbudzające się po zimowym letargu

życie w całem powietrzu zdawało się drgać i pulsować; nieokreślony, cichy, szepczący dźwięk drobnych owaków, chór ptactwa i tysiącznych mieszkańców łąk i moczarów, dolatujący z daleka, wieczorny, wesoły ruch i gwar we wsi i we dworze, cała owa świeżość barw i woni odradzającej się przyrody, zdawały się kamień nawet i proch każdy rozbudzać i do nowego powoływać życia. Jakaż to tęskna i bolesna sprzeczność z uczuciami człowieka, który swą śmiertelną powłoką związany ze światem, przeżył już i przebiegł własnej wiosny dobę, i gdy cały świat nowe rozpoczyna życie, on już łzawem je tylko żegna spojrzeniem. Szczęśliwy, jeśli odżyć może w drogich mu przynajmniej spadkobiercach własnego mienia, krwi i ducha, jeśli ta grudka ukochanej ziemi, co pot i pracę jego uwięziła w swem łonie — odda je wdzięcznie tym, którym to w sprawiedliwej spuściznie należy.

Tak sobie, siadłszy na ganku własnego domostwa, dumał tęskno pan Wojski, wpatrując się w wieczornej zorzy różowe obłoczki, co na dalekim zachodzie drobnemi pasmami zdawały się spływać ku ziemi i do cichego snu się układać.

Ale nie miał gospodarz czasu na długie ma-

rzenia, wnet znalazł się podstarości, do zwykłej wieczornej nad jutrzejszemi robotami w polu narady, która ledwie się rozpoczęła, zaturkotało przed bramą i wtłoczyła się na dziedziniec porządna, a naówczas wielce modna, tak zwana saska bryka, z wiszącemi na rzemiennych paskach siedzeniami, w parę dobrych gniadych koni w lipskich chomątach zaprzężona.

Wysiadł z niej przed gankiem mężczyzna średnich lat, dobrej tuszy i silnej budowy; twarz miał okrągłą, wygoloną do czysta i czerwoną, oczki małe, nos mały, nieco nawet zadarty, oddzielony od ust szerokich, ale zaciśnionych szeroką wypukłą przestrzenią wierzchniej wargi; typ czysto niemiecki, do którego doskonale stosował się harbajtel i czapka z uszami związanemi na tasiemki u góry i biała grubo na szyi nawiązana chustka i surdut długi granatowy i potężne wreszcie buty ze sztylpami.

Był to pan Bomsdorf, niegdyś kolonista, z głębi Niemiec, za rządów pruskich przybyły, protegowany przez Knoblocha, który po kilkoletniej dzierżawie dwóch, a później trzech folwarków ze starostwa Bielskiego, kupił był właśnie przed kilku laty wcale piękny majątek w sąsiedztwie Wojskiego.

Po milczącem ze strony gospodarza powitaniu przybyłego, weszli oba do domu. Gość miał minę wesołą i niby pewną siebie, widocznie jednak w swym gburowato-poufałym zwykłym obyczaju, krępowanym był co chwila powagą i delikatną, ale zimną grzecznością starego szlachcica.

Niemiec jednak fantazyi nie tracił; rzuciwszy czapkę, rozsiadł się wygodnie, splunął bez ceremonii na podłogę i zaczął od pochwał nad piękną oziminą, którą, do wsi dojeżdżając, widział. Po polsku mówił żwawo i doskonale, żadnego mu słowa nie brakło, żadne tylko nie było ani wymówione dobrze, ani co do zmian, przypadków i rodzajów jak należy zastosowane. Rozmowa zaraz też od zboża zwróciła się na tor polityczny.

— A pan słyszał wielką nowinę? — ozwał się Bomsdorf wesoło.

— Jaką? — spytał gospodarz.

— Już nasi w Warszawie!

— Jacy nasi?

— No... książę Ferdynand przecie!

— Jakto? Warszawa już zajęta?

— Jaa... tak, już Austryacy zajęli.

— Bez oporu? bez bitwy?

— O! o!... była batalia; tu żyd jeden przyjechał z za Wisły, mówi, że tam bili się niedaleko Warszawy, ale wojsko polskie na tę stronę przeszło, a książę wszedł do Warszawy i zajął kraj dla naszego króla, Wilhelma.

Pan Wojski niecierpliwił się widocznie, ale umiał być umiarkowanym, ruszył więc tylko ramionami i spytał z udanym spokojem:

— I kiedyż to się stało?

— A, no, ta batalia, mówią, była niedawno; trzy, cztery dni temu.

Wojski pokręcił głową.

— Nie słyszeliśmy o tem.

— O! ja! to pewna rzecz — ciągnął Bomsdorf — i ja tu właśnie do pana dobrodzieja przyjechałem... że to dziedzic tego drugiego folwarku, pański synowiec, podobno jest tam w wojsku.

— Któż to panu powiedział, że jest w wojsku? — przerwał żywo gospodarz — ja o tem nic nie wiem; pojechał do krewnych, za kordonem.

— Cha! cha! — zaśmiał się gość — no, no, ja wiem, tego się głośno nie gada, ale... tu jest inna rzecz; mnie pan Duncker mówił, że jego matka bardzo chora, nie może żyć... no, ten

młody dziedzic tu nie siedzi, folwark jest przy mojej granicy, jabym go kupił.

Pan Wojski gwałtownym ruchem zwrócił się ku gościowi, spoglądając tak, jakby go w tej chwili pierwszy raz obok siebie spostrzegał; już usta otwierał, ale jeszcze się wstrzymał i westchnąwszy głęboko, rzekł wreszcie powoli:

— Mój panie Bomsdorfie, nie wiem, jaki tam u was w niemieckim kraju obyczaj; my tu, szlachta, do tej pory jeszcze ziemią nie frymarczymy, a z ojcowizny chyba kogo ostatnia nędza wypędzić może. Wiem, że i mój synowiec z pewnością Zahorza nie sprzeda.

— Ale ja dobrze zapłacę! — przerwał gość.

Ruszył ramionami pan Wojski.

— E, e! mój panie — odparł z uśmiechem — u nas uczciwy szlachcic, jak ma kawałek chleba, a siedzi na ojczystym zagonie... to z pieniędzy kpi.

— Cha, cha, cha! — zaśmiał się Bomsdorf wesoło — a ja jak mam pieniądze, to z całego świata kpię! Niech pan Wojski to pamięta, że ja chcę folwark kupić; ten młody pewno nie wróci... może gdzie zginie! a matka nie może żyć!

— Ależ żyje, zlituj się pan! — przerwał gospodarz.

— No... jak... to tam kilka dni — odparł gość, rzucając ręką niedbale i biorąc za czapkę — sam pan Duncker mówił, że nie wytrzyma.

— U nas powiadają — rzekł Wojski — że starszy Pan Bóg, niż pan Rymsza; pewno też starszy i od pana Dunckera!

— A... tak — mruknął gość, zabierając się już do odjazdu — ale jak będzie folwark do sprzedania, niech pan Wojski pamięta, że ja go chcę kupić, żebym miał pierwszeństwo...

Niezrażony też bynajmniej niezbyt uprzejmem przyjęciem, czego wcale może nie czuł i nie dostrzegał, pożegnał się wesoło i z najlepszą miną odjechał.

Pan Wojski stał jeszcze w ganku, po odprowadzeniu gościa, zadumany, kiedy nadbiegł z drugiego dworu, bez czapki zadyszany chłopak z oznajmieniem, że pani rotmistrzowa umarła.

O pół ćwierci mili od Zahorza, na wzgórzu, wpośród okolonego zniszczonym parkanem cmentarza, wznosił się odwieczny, drewniany, zczer-

niały, z wysokim dachem kościołek, filia parafialnego, dokąd co parę niedziel przyjeżdżał miejscowy proboszcz odprawiać mszę świętą i nabożeństwo dla okolicznych wsi i dworków. Nie bujne tu rosły drzewa na zbyt suchym i wyniosłym gruncie, zaledwie też kilka jodeł i brzóz smętnych, rozrzuconych samotnie i pojedynczo utrzymać się mogło, by cichym szmerem nad staremi szeptać mogiłami.

Z przed wrót cmentarza roztaczał się widok szeroki; wprost i na lewo, od strony południowo zachodniej, rozrzucone były po lekko falistym poziomie liczne sioła i dwory, kilka małych gajów brzozowych i ciemnym szlakiem w oddali siniejące sosnowe bory. Droga wężykowatym pasem prowadziła do stóp wzgórza, na którym stał kościołek, tu zaś, zwracając się nieco i spadając w dolinę po prawej już stronie, podnosiła się znów ku znacznie wzniesionej płaszczyźnie, na której szeroko i wygodnie rozłożone widać było Zahorze, wieś długą i po jej końcach mnogiemi, a staremi ozdobione drzewami dwa obszerne dwory. Do nich też i droga, wstępując na wzgórze, rozdwajała się u starej na rozdrożu postawionej murowanej figury.

W trzy dni po zgonie pani rotmistrzowej,

znów był również jak wtenczas cichy i pogodny wieczór wiosenny; po ciepłym, dobroczynnym deszczu wyjaśnione niebo, przepowiadając czas piękny, okryło się lekkiemi białemi obłoczkami, jak łuską srebrzystą; zieleniejące, a perłową rosą przysnute niwy świeższą jeszcze przybrały barwę, a od trawki i drobnego począwszy robaczka, wszystkie w powietrzu, wodzie i na ziemi żyjące twory dyszały pełnem sił, a wzmagającem się co chwila życiem.

Koło kościołka, na wzgórzu, ruch się jakiś objawiał; krzątali się ludzie, obie połowy drzwi głównych stały otworem, w głębi widać było ustawiony katafalk. Słońce już się zniżać zaczęło, kiedy przy figurze od strony Zahorza ukazał się długi orszak żałobny z krucyferem w białej komży na czele. W tej chwili, jakby nowego witając gościa, ozwały się wszystkiemi głosami razem jękliwe i ponure dzwony kościołka, wtórując dolatującym już zdala, owym przerywanym, zaczynającym się pojedyńczo i w chór łączącym, pogrzebowym śpiewem duchownych, pełnym strasznej, jakby zwycięskiej siły jakiejś, smutku i do głębi duszy przejmującej grozy. Liczny orszak ciemną na drodze wstęgą sunął się powoli; powiewały czarne na przodzie cho-

rągwie, pełgały blade mnogich świec płomyki, otaczając w środku postępujący wolno, chwiejący się i podtrzymywany, wysoki wóz żałobny, czarnym okryty całunem.

Zbliżano się do cmentarza, gdy na drodze od przeciwnej strony ukazał się nadjeżdżający parokonny wózek, a podróżny, który snać w tej chwili właśnie ów smutny spostrzegł obrządek, podniósł się z siedzenia i począł powożącego naglić do pośpiechu. Kiedy już trumnę zdjęto ostrożnie z wozu i do kościołka wnoszono, wózek stanął u wrót cmentarza i pośpiesznie wysiadł z niego podróżny, człek młody, blady jednak i osłabiony widocznie, chromał i chwiał się na nogach. Ledwie, wspierając się na kiju, parę kroków postąpił, poznali go i obstąpili ludzie; był to pan Aleksander, jedyny, a ukochany syn nieboszczki rotmistrzowej, który porąbany pod Raszynem, słaby, uzyskawszy urlop na czas jakiś, śpieszył drogą matkę powitać, a nie zdążył na ostatnie nawet pożegnanie. Uściskał go Wojski, płacząc i wzdychając; syn, jak niespodzianym uderzony gromem, stał niemy i osłupiały, dwie strugi łez ściekały mu po bladych policzkach. Podprowadzono go kroków kilka, padł na kolana u progu kościołka.

Wewnątrz świątyni rozlegała się potężna, a nielitościwa pieśń żałobna, gorzały światła, a dym z kadzideł i licznych żarzących płomieni, mięszając się z zapachem świeżych ziół i traw, zdeptanych na cmentarzu i świeżo wyrzuconej z grobowego dołu ziemi, wytwarzał ową znaną woń pogrzebową, która niezatartem zmysłów naszych wrażeniem, na całe życie pozostaje w pamięci.

Niedługo trwał wieczorny po eksportacyi obrządek, zabrano się z powrotem do Zahorza. Wojski, niepokojąc się o zdrowie synowca, który z ran otrzymanych niewygojony i osłabły, ponosił jeszcze teraz cios tak ciężki i niespodziewany, nie puścił go już do starego dworu i zabrał do siebie. Parę tygodni minęło, nim pan Aleksander przyszedł nieco do zdrowia; młodość jednak niemniej jak troskliwa opieka stryja i narzeczonej, podziałały szczęśliwie, ale z odzyskanemi siłami wracały i obowiązki, które go do zwycięzkich powoływały szeregów. Choć więc te dni kilkanaście przebytych teraz w domu ojca narzeczonej silniejszemi niż przedtem może, i nierozerwalnemi go tutaj krępowały więzami, choć dni żałoby koiły mu tu lube i rozkoszne chwile, chociaż na samą myśl odjazdu serce ściskała

tęsknota, musiał, z własnemi walcząc uczuciami, opuszczać ukochane strony, aby się tem godniejszym jeszcze przyszłego szczęścia okazać.

Już też i wieści z za kordonu nadbiegały szybko; każdy dzień teraz, każda niemal chwila, świeże, a zgoła niespodziewane przynosiły nowiny. Austryacy weszli wprawdzie do Warszawy i naznaczyli nawet hrabiego Saint Jullien'a rządcą całego niby zajętego kraju, ale tymczasem wojska nasze, na każdym kroku zwycięzkie, zajmowały, a raczej odbierały coraz dalej te części kraju, które do swych posiadłości Austrya pierwej przyłączyła. W dni kilkanaście po bitwie Raszyńskiej, generał Sokolnicki z pułkiem piechoty legionisty Sierawskiego, zdobywają bagnetami, bez wystrzału nawet, usypany przez Austryaków szaniec przedmostowy w Górze Kalwaryi. Tu postradali Austryacy 1200 żołnierzy, zabitych i rannych; 1800 wziął Sokolnicki do niewoli wraz z 38 oficerami, bronią, działami i zapasami wojennemi, a Schaurath, generał austryacki, wyratował się tylko szczęśliwie, dopadłszy na Wiśle jakiegoś czółenka. Książę Józef kieruje się w głąb tak zwanej naonczas Galicyi Zachodniej, na Lublin, gdzie go poprzedzają dzielni ułani pod wodzą Dziewanowskiego; Rożniecki wchodzi do

Siedlec; pośpieszył tam właśnie i pan Aleksander Kopeć zająć swe, na krótko w bratnich szeregach opuszczone, miejsce. Nie potrzebujemy powtarzać tutaj szczegółów pamiętnych i dobrze znanych prawdziwie tryumfalnego pochodu wojsk naszych; wzięcie Sandomierza przez Rożnieckiego i Sokolnickiego, gdzie Austryacy stracili tysiąc ludzi zabitych i tysiąc dwieście niewolników, wzięcie Zamościa, Jarosławia [1]), i Lwowa. Dzielność wojsk naszych tak panicznego na ten czas Austryakom napędziła strachu, że po kilku bitwach ważniejszych, wszędzie już pierzchali, gdzie się nasz żołnierz pokazał; oto naprzykład czytamy w *Gazecie Korespondenta Warszawskiego* Nr. 54: „Nieprzyjaciel cofa się z jednakowym pośpiechem, dnia 28 maja d w u n a s t u ułanów polskich, rozpoznawając nieprzyjaciela, spotkało w Skierniewicach s t u d z i e s i ę c i u dragonów austryackich, którzy uchodzili do Rawy, rozproszyli ich i j e d e n a s t u w niewolę zabrali.“

Na ten raz, jeśli wojska nasze dopomagały sprawie wielkiego wojownika i bohatera wieku Napoleona, który jednocześnie już wchodził do

[1]) Rożniecki opanował Jarosław 24 maja, wziął tam jednego pułkownika, 25 oficerów i 900 żołnierzy w niewolę. (Raport ks. Józefa d. 25 maja z głów. kwat. w Trześni).

Wiednia, miały to szczęście, że lubo uważane zawsze jedynie za kontyngens ligi Reńskiej, walczyły przecież nie na krańcach gdzieś świata z narodami, od których żadnych krzywd nie doznały.

Arcyksiążę Ferdynand z każdym dniem, widząc się w położeniu coraz trudniejszem, gdy go wreszcie doszła wieść o zdobyciu Lwowa, z dnia 1 na 2 czerwca w nocy namyślił się na krok stanowczy i kazawszy koła armatnie poobwijać słomą, przez grzeczność zapewne, aby spokojnego snu nie przerywać mieszkańcom Warszawy, cichaczem opuścił stolicę, nie ściągnąwszy nawet straży, rozstawionych po mieście, które nazajutrz rano porozbrajały... przekupki. Dowcipny ludek warszawski, do każdej okoliczności mający zawsze koncept gotowy — zaraz też powtarzać począł wesoło:

„Oj książę Ferdynandzie, cóż ci się to stało?
Uciekłeś z Warszawy w samo Boże Ciało!“

Za austryackiem wojskiem pociągnęło też i wielu Niemców urzędników i nieurzędników, co byli jeszcze z dawnych pruskich czasów zostali, a zbyt gorliwie przybyłym Austryakom służąc, nie mogli się przy nowej odmianie świetnego losu spodziewać; odważniejszych, którzy

pozostali, natychmiast pożegnała rada stanu po powrocie w dniu 7 czerwca z Tykocina do Warszawy.

Tymczasem dywizya generała Rożnieckiego, gdzie w drugim pułku ułanów znajdował się i pan Aleksander Kopeć, już w końcu maja wchodziła do Jarosławia, a w pierwszych dniach lipca dotarła na Szląsk pod Białę, kiedy nadeszło oznajmienie o rozejmie, zawartym w Znaimie na Morawach. Wszelkie więc działania wojenne ustały, a rozpoczęły się wykrętne i długie dyplomatyczne układy, które się wreszcie zakończyły w Wiedniu podpisanym dnia 14 października 1809 r. pokojem.

Wojska Księstwa Warszawskiego wstrzymane w zwycięskim pochodzie, wolnym ruchem wracały do kraju.

Pod trzema krzyżami urządzono bramę tryumfalną dla księcia Józefa z napisem: „Tędy Jan III wracał z pod Wiednia," ale wódz naczelny, czy przez skromność tylko, czy pamiętając może na podbudzoną przez osobistych nieprzyjaciół jego, niechęć Warszawian, okazaną, gdy po bitwie Raszyńskiej ustępował z Warszawy, zdając ją Austryakom — dość, że nie chciał wcale z owej tryumfalnej bramy korzystać, a woj-

sku tylko świetnego wejścia chwałę zostawiając, sam z kilku jedynie ze swego sztabu oficerami, niepostrzeżony, przemknął się bocznemi ulicami. Nastąpiły bale, przyjęcia, przedstawienia *ad hoc* teatralne i liczne, a raczej niezliczone festyny na uczczenie wojsk narodowych i naczelnego ich wodza. Pan Aleksander duszą i sercem zwracał się tam, dokąd go najmilsze ciągnęły wspomnienia, nie myślał nawet o opuszczeniu swego stanowiska i zaniechaniu zawodu, który mu najświetniejsze rokował nadzieje. Tymczasem, już z końcem 1810 r., jak oddalone i ledwie dosłyszane grzmoty w parnej ciszy przed burzą, zaczęły obiegać głuche i niepokojące o nowej wojnie pogłoski.

Noty i listy dyplomatyczne, na podobieństwo błyskawic, przebiegały między Petersburgiem i Paryżem; z wiosną zaś następnego roku czyniono już w Księstwie Warszawskiem pośpieszne do obrony kraju przygotowania; kłopotano się wzmacnianiem twierdz, do czego rząd odpowiednich nawet nie posiadał funduszów; siły wojska o 34 tysiące ludzi i około 11 tysięcy koni powiększone zostały. Rokowano też wielkie zmiany i nadzieje, rachując na niezwyciężoną potęgę Napoleona, który trząsł naówczas całą Europą;

i samo niebo zdawało się sprzyjać jego zamiarom, obdarzywszy go niedawno właśnie dnia 20 marca 1811 urodzonym synem, co w kolebce tytuł króla rzymskiego otrzymawszy, miał dać trwałą nowej, najpotężniejszej dynastyi podstawę.

Książę Józef w kwietniu jeździł właśnie do Paryża dla złożenia życzeń Napoleonowi z powodu urodzin następcy cesarskiego tronu, a wróciwszy do kraju, jawnie już mówił o zachwianiu dobrych stosunków między rosyjskim a francuskim dworem. Na skinienie wszechwładcy z podwójną gorliwością rozpoczęły się w Księstwie przygotowania wojenne, na które ochotnem sercem, ostatkami goniąc, wysilał się cały kraj zubożały. Król Fryderyk August, który we wrześniu zjechał był na sejm do Warszawy, zaraz po zamknięciu obrad, pośpieszył do Drezna przy końcu grudnia, nie przewidując, że już tu nie miał wcale powrócić.

W Zahorzu, po śmierci rotmistrzowej i odjeździe pana Aleksandra, cicho upływało wiejskie życie i powoli wszystko wracało do zwykłego porządku.

Zdaje się, że śmierć w nieodłącznej parze idzie z zapomnieniem; własnego życia naszego chwile, o którycheśmy zapomnieli, nie istnieją

już dla nas samych; zmarłych też, prędzej czy później, nieuniknione czeka zapomnienie. Nie pamięta nikt o obojętnych albo niemiłych, a o najserdeczniej ukochanych boleśne wspomnienie każe nam żal w sercu chować i usta zamyka, tak więc — jednych i drugich groby zawsze pokrywa milczenie. W najlepszym razie dzieci pomną jeszcze rodziców, dziadowie obcy są już i zapomnieni na wieki.

Zwykłą więc rzeczy koleją i po śmierci rotmistrzowej żal, choć najszczerszy, dzień za dniem się uśmierzał. Pan Wojski i ukochana jego pasierbica oddali się zwykłej pracy i zatrudnieniom domowym; w tej stronie kraju pokój był, choć o miedzę w Księstwie wszystko się w gorączkowym rzucało ruchu.

Zdaje się, że ów pan Bomsdorf, sąsiad Wojskiego, musiał nieco na to rachować, w tych czasach bowiem przypomniał sobie znowu o Zahorzu, a odnowiwszy stosunki, które dość częstemi odwiedzinami utrwalał, wspomniał był jeszcze o chęci kupna starego folwarku, a lubo Wojski zbył go stanowczą odmową, nietylko bywać nie przestawał, ale często nawet przyjeżdżając, starał się być, o ile umiał, słodkim i coraz bardziej przyjacielsko poufałym sąsiadem.

Zbliżenie się to jednak nie mogło przejść pewnych granic zimnej tylko ze strony pana Kopcia grzeczności; inna krew, duch, pojęcia i obyczaje, a nadewszystko zupełny brak wychowania i towarzyskiej ogłady, stanowiły tu nieprzebytą zaporę, mimo dostatku i posiadania kawałka ziemi, co go niby obywatelem tego kraju czyniło. Coraz częstsze odwiedziny Niemca już się nieco i cierpliwemu Wojskiemu przykrzeć zaczynały; bo gość prócz gospodarstwa nie rozumiał nic i mówić z nim nie było o czem; obyczaje miał dziwnie jakieś grube i nieokrzesane, wyobrażenia najosobliwsze, a kilkanaście lat przebytych w Polsce tyle go tylko zmieniły, że żadnych ze swych cech niemieckich nie tracąc, chciał niby udawać czasem polskiego szlachcica; jak siebie za Prusaka, tak i ziemię, na której siedział, sumiennie za czysto niemiecką uważał.

Pan Wojski, przykrząc już sobie częste odwiedziny Bomsdorfa, a przyczyny ich odgadnąć nie mogąc, wpadał na myśl nawet dziwaczną, czy Niemiec nie chciał może starać się o pozyskanie ręki jego wychowanki.

Właśnie dumał o tem, siedząc na ganku, dokąd go ciepła majowa popołudniu wywołała pora, a ostatnie to przypuszczenie tak mu się niepo-

dobnem do prawdy i dziwacznem wydało, że mimo woli rośmiał się głośno.

Panna Anna w sama porę znalazła się na progu.

— Cóż to tak śmiesznego sobie ojczulko przypomniał? — spytała zaciekawiona.

Wojski, nie kryjąc się bynajmniej, opowiedział, co mu o Bomsfordzie na myśl przychodziło.

Poczęli się śmiać już oboje, ale ku największemu zdziwieniu ojczyma panna Anna wyznała, że przypuszczenie to może być niezupełnie mylnem, o ile z obejścia się względem niej Bomsdorfa miarkować mogła.

Pan Kopeć ramionami ruszył.

— Tfu! — ozwał się, splunąwszy głośno — jeszcze czego nie stawało!?

I ledwo tych słów domawiał, ukazała się w bramie znajoma saska bryka sąsiada, a na niej uśmiechnięty Niemiec w swej niezmiennej, wiecznie zielonej czapce z uszami.

— Ot! o wilku mowa... masz go! — mruknął Wojski, spostrzegając gościa — a to czyste utrapienie!

Panna Anna wbiegła szybko do domu.

Niemiec o tyle się przepolszczył tylko, że

coraz częściej powtarzał „mości dobrodzieju“ i „upadam do nóg;“ od tego też zaczął, wysiadając z bryczki.

Po przywitaniu, rozmowa, jak zwykle, zaczęła się od aury i gospodarstwa, przechodząc wkrótce na tor polityczny; że jednak pan Wojski ostrożnym był i nie bardzo dowierzał Niemcowi, urywała się co chwila; następowały często dość długie milczenia, tem bardziej, że i Bomsdorf na ten raz mniej butny, niż zwykle, pot tylko z czoła kraciastą chustką obcierał, skarżąc się na gorąco, a widocznie siląc się na rozmowę, mięszał się jakoś i zapominał nawet, o czem mówił przed chwilą.

Po dość długiem milczeniu, na którem obojętna urwała się pogadanka, gość wreszcie jeszcze raz czoło i szeroką gębę obtarłszy, chrząknął i zwrócił się do gospodarza.

— Ja tu — ozwał się — mam, mości dobrodzieju, powiedzieć panu Wojskiemu jedną rzecz, która jest... ważna rzecz... i może być na obiedwie strony bardzo dobra rzecz...

Pan Kopeć spojrzał ciekawie na sąsiada.

— Hm — mruknął — cóż to za dobra rzecz?

Niemiec obejrzał się wokoło ostrożnie, chrząz podań i szpargałów. I. 4

knął jeszcze i nabierając już dobrej miny, podsunął się bliżej na ławce.

— Ja... widzi pan Wojski — począł z cicha — ja mam ten folwark, co kupiłem, pan wie, doskonały folwark... no, ale ja mam jeszcze i pieniądze... dwa tysiące dukatów, holenderskich dukatów w złocie... pożyczyłem na procent dobry panu staroście; no, pan, mości dobrodzieju, jest dobry gospodarz, ja wiem... bardzo dobry gospodarz, długów niema, ale i gotówki niema...

Wojski machnął ręką obojętnie.

— A mnie na co gotówka — rzekł z uśmiechem — mam chleb i dach, więcej nic potrzeba.

— Cha! cha! — zaśmiał się, rzuciwszy głową Niemiec — gotówka jest dobra rzecz... o! doskonała rzecz! ot, widzi pan Wojski, jak przyjdzie córkę za mąż wydawać, trzeba dać posag... no — dodał — otóż ja właśnie chciałem to powiedzieć, że... niech pan dobrodziej za mnie córkę wyda, to ja — tu machnął ręką — mniejsza o to! teraz posagu nie będę brał...

Pan Kopeć patrzył na Niemca z uśmiechem, a przypominając sobie dawną świetność domu, nie mógł się jeszcze na odpowiedź zdobyć, kie-

dy Bomsdorf, klapnąwszy go po kolanie poufale, rozśmiał się i dodał wesoło:

— A co? cha! cha! widzi pan Wojski dobrodziej, że to jest na dwie strony dobra rzecz; bo mnie potrzeba gospodyni... a pieniądze są!...

Wojskiemu lekka chmurka, jak błyskawica, przebiegła po czole, brwi się na chwilę ściągnęły, ale znikło to w mgnieniu oka, uśmiechnął się tylko i poruszył na ławce.

— Mój panie Bomsdorfie — ozwał się powoli — już ja ci to kiedyś mówiłem, że nie wszystko się za pieniądze kupuje.

— Och! — przerwał gość dobrodusznie — wszystko można kupić.

— A, nie — zaprzeczył Wojski, śmiejąc się i potrząsając głową — wielebym ci rzeczy wyliczył, których nie mając i za miliony nie dostaniesz; no... i żonę niezawsze kupić można.

— Żonę? — zaśmiał się Niemiec — na co kupować? to się darmo bierze i jeszcze z dopłatą... no, a ja posagu zaraz dopominać się nie będę, na piśmie dam.

Pan Kopeć miał rzadki dar wielkiej powściągliwości i panowania nad sobą, pomimo dość żywego nawet charakteru; zaczęła mu się je-

dnak wyczerpywać cierpliwość; machnął ręką niechętnie.

— Ależ, mój panie — rzekł — nie mamy o czem mówić, moja pasierbica jest oddawna zaręczoną, musisz przecie o tem wiedzieć.

— O! jaa — odparł Bomsdorf — wiem, słyszałem, miała iść za pańskiego synowca, no... ale to dawna rzecz... z tego nie będzie nic!

— Jakto nie będzie?

— No... on nie chce się żenić.

— Co aspan gadasz? — przerwał żywo pan Kopeć — któż ci to powiedział?

— Nikt nie powiedział, ale już trzy lata go niema, nie wraca!

— Choćby i piętnaście — odparł Wojski — to wszystko jedno, daj aspan pokój... niema co gadać...

Bomsdorf z niedowierzaniem uśmiechnął się i głową pokręcił.

— No, no — bąknął — zobaczymy!

Na tem się na chwilę urwała rozmowa, którą pan Wojski niebawem zwrócił znów na tor gospodarski; Niemiec jednak wcale ani humoru, ani miny nie stracił i zabawiwszy jeszcze czas jakiś, ku wieczorowi — odjechał.

Odetchnął pan Kopeć swobodniej po odje-

zdzie Bomsdorfa, pewnym będąc, że się go już pozbył na zawsze, ale nie znał widać człowieka, albo może jakiegoś obyczaju obcego. Niemiec bowiem, niezrażony bynajmniej, odwiedzin swoich nie zaniechał wcale, i w parę tygodni później afekta swoje — z wdzięcznym szerokiej gęby uśmiechem — samej pannie Annie wynurzył. Tu wreszcie, po odprawie stanowczej, zagniewany mocno, bez pożegnania prawie odjechał.

Skończyły się więc swaty Bomsdorfa; panna Anna i Wojski na ten raz nie wątpili już, że się zupełnie pozbyli nieznośnego natręta. W istocie, Niemiec bywać przestał, ale okazało się wkrótce, że o Zahorzu nie zapomniał wcale. Nadspodziewanie bowiem zaczęły się niebywałe nigdy przedtem sąsiedzkie o granicę zatargi. Zajmowano bydło na pastwisku, przykaszano łąki, na każdym kroku czuć było, że Niemiec chciał sąsiadowi dokuczyć; aż po niejakim czasie potrafił gdzieś wyszperać odwieczny i zapomniany jakiś kontrowers graniczny i wystąpił z pretensyą. Rzecz była niewielkiej wagi, ale groziła nudnym, kosztownym i mogącym się długie lata przeciągnąć procesem. Wojski, podrażniony już poprzedniemi przyczepkami, które cierpliwość jego wyczerpały, choć nigdy w ży-

ciu nie miał żadnych procesów, tem bardziej, że najniesłuszniej został napastowanym, postanowił sobie, bądź co bądź sprawę całą siłą popierać, aby upokorzyć wreszcie nienawistnego i uprzykrzonego sąsiada. Rozpoczęły się więc zabiegi i matactwa prawnicze, których skutku i końca przewidzieć nawet nie było podobna; mogło się to ciągnąć całe lata, przysparzając kłopotów i wydatków bez końca.

Sprawa bowiem Imci Pana Kopcia, lubo najsłuszniejsza, potrzebowała na poparcie papierów i dokumentów, których wyszukiwać należało; Niemiec zaś, nie żałując pieniędzy, łatwo znajdował jurystów i rzeczników, czekających tylko na podobne żniwo.

Ciężki to był ów rok 1811, zwłaszcza dla rolników; ciepła i wczesna wiosna rozwinęła wprawdzie ruń najpiękniejszą, ale upały zwiększały się z dniem każdym, nikła zieloność, żółkły rośliny, pozbawione wilgoci: całemi miesiącami kropla deszczu nie spadła na spragnioną ziemię, która pękała i rozpadała się z suszy. Przerzedłe i niskie zboże bielało przed czasem i widmo głodu groziło najstraszniejszą klęską biednemu ludowi. Tygodniami i miesiącami, z bladego nieba, bez zmiany, bez chmurki przez dzień cały,

na ziemię ogniem prawie sypało słońce; ku wieczorowi tylko, bez blasku, krwawo-czerwone, tonęło w ciągnących się nad poziomem mgłach i srzeżogach, które od puszcz i wyżarów daleko niosły woń spalenizny; a ledwie zmierzch zapadł, ukazywała się na niebie owa sławna kometa, jak złowroga rózga, zawieszona nad głowami wylęknionych ludzi, zdając się straszną przepowiednią utwierdzać głuche wieści o wojnie i zapowiadać klęski niebywałe.

Byli jednak tacy, którzy ani w przepowiednie, ani w wojnę wierzyć nie chcieli; przez Księstwo Warszawskie dochodziły do całego kraju wieści z Paryża, zkąd donoszono, że ulubieniec Napoleona Colincourt, książę Vicenzy, bawiący w Petersburgu, jako poseł nadzwyczajny, zapewniał, że w Rosyi nie myślano wcale o wojnie; na Litwie posłuchom tym zaprzeczały pośpiesznie nakazywane dostawy zboża, przechody wojsk i ciche bez żadnego rozgłosu krzątania się i przygotowywania w fortecach. Nie ustawały też i wieści o wspaniałych zamiarach monarchy, jakie w zarządzie i ustroju całym miały być jakoby na Litwie, Wołyniu, Podolu i Ukrainie wprowadzone.

Michał Kleofas Ogiński, niegdyś wielki pod-

skarbi Wielkiego Księstwa Litewskiego, w tych czasach właśnie mianowany senatorem w Petersburgu, najlepiej widziany u dworu, i cieszący się wielkiemi łaskami cesarza Aleksandra I, w połowie października wysłany był umyślnie na Litwę dla zapewnienia obywateli o stałem postanowieniu panującego wprowadzenia szerokiej autonomii i ustaw ze wszechmiar zgodnych z historycznym rozwojem kraju. Jechał on pośpiesznie, wstępując do dworów i dworków, przyjmowany serdecznie i przeprowadzany w tryumfie prawie, jako zwiastun szczęśliwych i pomyślnych nowin.

Szanowano jeszcze naówczas tradycye rodowe, a pokrewieństwa najdalsze nawet obowiązywały i wiązały ludzi bez żadnego względu na ich dostojeństwa i stan majątkowy. Bądź co bądź, równość szlachecka nie była u nas dawniej nigdy czczem tylko słowem; uniżał się kto chciał, ale obyczaj i prawo były jasne, i najbiedniejszy szlachcic, skoro umiał i żądał, mógł się uważać i uważanym był, wedle przysłowia, równym wojewodzie. Widzimy też w dawnych czasach nieskończoną ilość małżeństw między magnatami i szlachtą, stanowiącymi jeden stan rycerski, z różnicą tylko zasług, ukształcenia i bogactw nagromadzonych. Kopciowie, lubo

zubożeli, spokrewnieni jednak od wieków z najpierwszemi na Litwie domami, cieszyli się szacunkiem powszechnym, nie dziw więc, że krewniaka, lubo po dziesiątej wodzie przypomniał sobie pan senator w drodze. Nie zdziwił się też bardzo i pan Wojski, ujrzawszy dnia jednego wtaczającą się na dziedziniec w Zahorzu landarę ex-podskarbiego, a za nią bryczki, koczobryki i skarbniczki bliższych i dalszych sąsiadów.

Pan senator był człowiekiem nietylko z wielkiego, ale niemal i z całego świata; wschód i zachód, monarchów, dyplomatów i wszystkie dwory europejskie znał tak dobrze, jak swoje ulubione Zalesie i swoich sąsiadów, a może i lepiej; był też istotnie i sam dyplomatą w całem tego słowa znaczeniu; i również swobodnie obracał się na jakimś królewskim lub cesarskim dworze jak w dworku ubogiego szlachcica. Znalazłszy się tedy w Zahorzu, w gwarnej gromadzie panów braci, był słowo w słowo tak prostym, poufale wygrzecznionym, a otworzystym niby i nieco rubasznym, jak oni; z tą różnicą, że lubo mówił gładko i wiele, nigdy w życiu więcej niż chciał nie powiedział. Powierzchownością różnił się o tyle, że się całkowicie po francusku nosił, mając na ten raz lekki szary angielski surdut

na wierzch fraka włożony. Ogiński mógł mieć lat pod pięćdziesiąt, średniego wzrostu, twarz do ostatniego wygolona włoska, żadnem się nie zdradzała uczuciem; strój, lubo bardzo skromny, świeży był i niezmiernie staranny, a kilka pięknych pierścieni ze starożytnemi kameami okazywały wyrobiony smak artystyczny. Mimo tego wszystkiego w Zahorzu umiał być tak sobie prościuchnym szlachcicem, jak gdyby się krokiem nigdy ze swego Zalesia nie ruszał. Panowie bracia jednak, nie w ciemię bici, wiedzieli dobrze, kogo mają w swoim gronie; dostojnego więc gościa otaczali największym szacunkiem, który na ten raz do zachwytu prawie dochodził, z powodu radosnych nowin, jakie im pan senator przywoził. Wszystko też, co oznajmił, wątpliwości najmniejszej podlegać nie mogło; Ogiński bowiem dla lepszej wiary okazywał własnoręcznie pisane do siebie listy i bileciki cesarskie, z których widniało jasno, jak na dłoni, że memoryały i projekta przez samego ex-podskarbiego do własnych rąk monarchy podawane, najlepiej zostały przyjęte i niezawodny skutek otrzymać miały. Jakoż, przejazd ten Ogińskiego osiągnął cel najważniejszy, na który zapewne głównie rachowano, to jest, zwrócenie nadziei

w inną stronę, a zachwianie wiary i życzliwości dla Napoleona; co tem było pilniejszem, że wojna już była niechybnie przewidywaną. Nie mogło też następnie pozyskać serc mieszkańców Litwy i owo przemówienie cesarza Francuzów w Wilkowyszkach dnia 22 czerwca 1812 roku, gdy wielka armia nad Niemnem stanęła, w którem oznajmił wojskom, że wchodzą w kraj nieprzyjacielski, czego niebawem krwawe i opłakane okazały się skutki.

Książę ex-podskarbi doskonałym był posłannikiem; umiał się stać potrzebnym i dworowi i szlachcie, był w tysiącznych nieraz sprawach pomocnym. Skorzystał więc z tych odwiedzin i Wojski, zyskując silne poparcie w swoim procesie z Bomsdorfem; nad wszelkie jednak spodziewanie, stało się ono zgoła niepotrzebnem. Niemiec bowiem, dowiedziawszy się, że taki dostojnik, jak senator książę Ogiński, obdarzony łaską i zaufaniem monarchy, jest krewnym Im. pana Kopcia i odwiedzał go nawet w Zahorzu, pokorny i wystraszony, zgłosił się niebawem sam, o układ i ugodę prosząc.

Skończył się więc niemiły dla Wojskiego proces, a jakby na większe jego uszczęśliwienie nadjechał i pan Aleksander do Zahorza na dni

kilka za urlopem; nie bez pewnych trudności i niebezpieczeństwa jednak przebywając ściśle strzeżoną granicę.

Wielka radość była w Zahorzu z przybycia gościa najmilszego, którego się wcale nie spodziewano. Stary pan Wojski nie wiedział gdzie go posadzić i krok w krok za nim chodził, wyciągając na nieskończone opowiadania; panna Anna, ledwie na chwilę z kluczykami odbiegłszy, nucąc, śmiejąc się i szczebiocząc, powracała pośpiesznie; dni i wieczory za krótkie były do nacieszenia się i rozmowy.

Zmartwił się jednak pan Kopeć wiadomością, że synowiec na krótki czas tylko przybywszy, musiał śpiesznie powracać. Zdawało mu się, że pięć lat służby wojskowej i kampania odbyta zadość już wszelkim obowiązkom czyniły; nadto, jak wielu innych obywateli na Litwie, zwłaszcza bliżej granicy Księstwa zamieszkałych, nie był on nigdy wielkim wielbicielem Napoleona, a ostatnia bytność ex-podskarbiego nie mało mu też do myślenia dawała.

Pan Wojski chciałby był już zatrzymać synowca, przez parę dni jednak z początku nic o swoich zamiarach nie mówił, a widząc, jak narzeczeni radzi byli z siebie, jak prawdziwem

promienieli szczęściem, pocieszał się myślą, że tem łatwiej mu przyjdzie namówić pana Aleksandra, aby służbę wreszcie porzucił i nowe założył gniazdo na starej siedzibie. Gdy więc pan Aleksander wspomniał coś o odjeździe, Wojski ozwał się, korzystając ze sposobności:

— Ja to właśnie o tem chciałem z tobą pomówić; masz jechać... dobrze, ale bierz dymisyę i powracaj.

— Jakto? teraz? — spytał synowiec.

— A oczywiście — odparł Wojski — czem prędzej, tem lepiej; wysłużyłeś się, odbyłeś kampanię, cóż? całe życie każesz czekać narzeczonej na siebie?

Tu panna Anna, która udawała, że jest mocno jakąś robotą zajęta, zarumieniła się i rzuciła przelotne na narzeczonego wejrzenie.

— Właśnie mówiliśmy o tem z Anusią — rzekł pan Aleksander — jeśli okaże się, że wojny nie będzie, natychmiast biorę dymisyę i powracam do domu, ale w razie wojny...

— A co ci do wojny? — przerwał żywo pan Kopeć — służyć temu obłudnikowi Napoleonowi!...

— Ale, kochany stryju — zawołał Aleksander — przecież nie jemu, ale ojczyźnie służę;

a zresztą Napoleon zrobił już dla nas wiele, a jeszcze więcej zrobić może...

— At! gadasz! — ozwał się stary — za tyle krwi naszej, co na własną korzyść wytoczył po wszystkich lądach i morzach... wieczne obiecanki! Co zrobił? co? jakieś niebywałe księstwo! na garnizon dla siebie i na majoraty dla swoich generałów!

Pan Aleksander machnął ręką tylko.

— Nie mamy o tem co mówić — odparł żywo — wszystko to rzeczy wiadome i sto razy powtarzane, ale niech kochany stryj pomyśli, że przed wojną, gdyby być miała, żaden uczciwy żołnierz szeregów przecie, pod infamią, opuszczać nie może... to darmo! tego mi sam stryj kochany pewno nie poradzi.

— Hm! — mruknął Wojski — już-ci tak jest, byłaby to prawda... żeby nie z tym Napoleonem.

— Jakto? żeby nie z Napoleonem!

— A no, tak, bo u niego jeszcze się jedna wojna nie skończy, już się druga zaczyna! Będzie wojował, póki będzie żył... bo się już pod taką planetą urodził; cały świat podbiwszy, wzdychałby, że się na księżyc dostać nie może... i końca temu nie widać. Gadaj ty, co

chcesz, ale to nieuczciwy, nie nasz rycerski obyczaj... o, nie! to rozbójnicka sprawa... ot, jak z tą Hiszpanią naprzykład! czy to sprawiedliwe?.. za co tam się nasi biją, dla ujarzmienia wolnego kraju!... haniebna rzecz!

— No... zapewne — odrzekł synowiec — ale teraz u nas wcale się na co innego zanosi, gdyby miało przyjść do tej wojny...

— A, a... gdyby! tak, tak... gdyby już wojna była zdeklarowaną, no... zapewne, wtenczas się dymisyi nie bierze, ale teraz niema nic, a co tam ludzie przepowiadają, to nikogo wiązać nie może.

Nie chciał pan Aleksander sprzeczać się ze stryjem, tem bardziej, że sam marzył tylko o powrocie i było to głównym przedmiotem rozmów jego z narzeczoną, ale jak się rzeczy pokierują, nie był w stanie przewidzieć; westchnął więc tylko i rzekł, całując w ramię Wojskiego:

— Stryj kochany wie dobrze... że radbym się kroku ztąd nie ruszyć, ale... co będzie, Bogu wiadomo, obowiązki są święte, to rzecz najpierwsza... ha! zobaczymy!

Na tem się rozmowa skończyła, a pan Aleksander, szczęśliwy, gwarząc z narzeczoną o ja-

snej przyszłości, kilka dni jeszcze zabawiwszy, wymknął się znów z Zahorza niepostrzeżony, z nadzieją, że będzie mógł wkrótce, miecz na lemiesz po staremu zmieniwszy, w domowe progi i na rodzinny zagon powrócić.

Z wiosną 1812 roku szczupłe Księstwo Warszawskie wystawiło na rozkaz Napoleona przeszło 85 tysięcy wojska gotowego do boju, 25 tysięcy koni i 165 dział polowych, z których niemało było austryackich, w ostatniej kampanii zdobytych.

W marcu już obiegała wiadomość, że i z Hiszpanii pułki powracają do kraju. Z drugiej strony na pograniczu Księstwa: Brześć, Kowno, Białystok i Grodno, dawno już obsadzone były rosyjskiemi wojskami, które tu z Wołynia i z Podola ściągnęły. Tymczasem w Warszawie skubano już szarpie dla szpitali wojskowych i coraz częściej zaczęli się pojawiać adjutanci rozmaitych generałów francuskich, oraz delegaci i komisarze wojenni. Codzień ciągnęły po ulicach oddziały nowozaciężnych rekrutów, którzy szli tem chętniej, że byli przynajmniej pewni jakiej takiej

strawy, gdy tymczasem po wsiach, z powodu nadzwyczajnej suszy ubiegłego lata, już się naprawdę pojawiał głód tu i owdzie, a nieszczęśliwi ludzie zaczynali puchnąć i chorować. Nie przeszkadzało to bynajmniej królowi westfalskiemu Hieronimowi, kiedy w końcu kwietnia stanął już w Kaliszu, do naznaczenia natychmiast tysiąca talarów dziennie z kasy krajowej, na utrzymanie własnej osoby i swojego dworu, a niebawem, gdy dnia 2 maja zjechał do Warszawy — zajmując pałac Brühlowski — na zbytki i najwyszukańsze wygody, aż do kąpieli w winie; kazał sobie dostarczać bez miary pieniędzy, sprzętów i wszelkich zapasów, które ulubieniec jego La Ville, cynik i grubianin, gdzie chciał grabił i zabierał.

Próbował też król Hieronim i innych rezydencyj. Stał w Łazienkach czas jakiś i wybierał się do Wilanowa, jedynie dlatego, że jak mówił: „ten rozbójnik generał Vandamme, gdyby tam stanął, zburzyłby Wilanów i okradł do szczętu.“ Ciekawe to wyrażenie się samego króla westfalskiego, dobrze maluje niektórych generałów francuskich, czemu poniekąd dziwić się trudno; byli to bowiem ludzie po większej części bez żadnego wychowania, bez

zasad, z rewolucyi wyrośli, którzy lat dwadzieścia w ciągłych wojnach i podbojach trwając, nieraz też ogromne zdobywali bogactwa. Tak generał Lannes, naprzykład z kościoła N. P. Maryi del Pilar w Saragossie przywiózł z górą za cztery miliony franków samych drogich kamieni i najrozmaitszych klejnotów, które księża ofiarowali mu dobrowolnie sami, kiedy jednego z nich Francuzi związanego w worku wrzucili do rzeki [1]).

Nikt jednak wówczas w kraju naszym nie dał się tak we znaki, jak Westfalczycy, wojska właśnie samego króla Hieronima; szli oni po prostu jak rabusie i rozbójnicy; tysiączne podawano o to skargi i zażalenia, ale król Jegomość Hieronim odpowiadał, że „*mon armée n'est pas une armée de demoiselles.*“ Przyszło wreszcie do tego, że rada ministrów, na wniosek księcia Józefa, wysłała kuryera do Drezna z oznajmieniem, iż w kraju wojska najzupełniejszą wprowadziły anarchię, że zdzierają, palą i rabują, jak w zawojowanej ziemi, że kto chce, rozkazuje, i jeśli tak ma być nadal, ministrowie zmuszeni będą prosić o dymisyę. Wśród tych zdzierstw i roz-

[1]) Patrz Pamiętniki księżnej d'Abrantes.

bojów, wyjątek stanowił zacny król włoski Eugeniusz Bauharnais, który, stojąc w Płocku, nietylko własnym utrzymywał się kosztem, co wszystkim czynić należało, ale jeszcze pięćdziesięciu ubogich swoim chlebem żywił.

Ostatniego dnia maja Batowski, niegdyś poseł inflancki za czteroletniego sejmu, który obecnie naznaczonym był na marszałka dworu Napoleona, wpadł z Drezna do Warszawy, zapowiadając przyjazd cesarski. Oczyszczono więc w zamku pokoje, uczyniono wszelkie przygotowania, ale okazało się to wszystko zbytecznem, gdyż Napoleon pośpieszył wprost do Torunia.

W połowie czerwca ruszyły się i wojska wszystkie ku granicy. Wypieszczona, a rozkoszna gwardya króla Hieronima, której Warszawa jak wrzodowi dogadzać musiała, choć nie z wielką ochotą, zabrała się wreszcie także do wymarszu. Miasto po wyjściu Westfalczyków odetchnęło swobodniej; jakież jednak było zdziwienie mieszkańców, kiedy w kilka godzin wrócili się owi ulubieńcy królewscy, utrzymując, że „dziś“ iść nie mogą „bo dzień jest zbytecznie gorący!“

Wielka armia w końcu czerwca zbliżała się już do Niemna; przejście przez tę rzekę, jako granicę, naznaczono w P i l o n a c h, dla korpusu

księcia Eugeniusza z dywizyami Junota, Saint Cyr i Bawarczykami; pod Grodnem dla korpusu króla Hieronima, w którym były wojska polskie, Sasi i Westfalczycy; na Kowno ciągnął korpus główny z cesarzem, otoczonym gwardyą swoją przyboczną, dywizya Davoust'a, Oudinot'a, Ney'a i Wirtemberczycy. Tymczasem Macdonald z lewem skrzydłem armii, przeprawiał się przez Niemen pod Tylżą, a Schwartzenberg z pseudo-posiłkowym korpusem austryackim, przeszedłszy Bug, skierował się zwolna na Wołyń.

Cesarz Napoleon stanął główną kwaterą dnia 22 czerwca w Wiłkowyszkach i ztąd wydał ową sławną odezwę do wojska, ale trafił się tu oprócz tego bardzo ciekawy wypadek. Wiłkowyszki należały do dóbr rządowych, — niegdyś starostwo o trzy mile od Maryampola. Trzymał je natenczas w dzierżawie Julian Babecki, człek dość zamożny, poczciwy i szanowany powszechnie; w gwardyi zaś cesarskiej, która go zawsze otaczała, służył naówczas jako wachmistrz w trzeciej kompanii, ozdobiony krzyżem legii honorowej pod Samosierra, Babecki, syn właśnie dzierżawcy Wiłkowyszek. Tu więc wachmistrz gwardyi przyjmował w domu rodzicielskim, jako

gospodarz gości, cesarza Napoleona, cały sztab główny i wszystkich kolegów. Wspomniawszy na ten dziwny czarodziejski urok, jaki wywierał Napoleon na wszystkich, co go otaczali, głównie zaś na wojskowych; wspomniawszy na ogólny nastrój umysłów w kraju w owym czasie, na szczególność wypadku wreszcie, można sobie wyobrazić, jakie tam być musiało przyjęcie, ugoszczenie, uciecha i zabawa powszechna. Że Babecki był dzielnym żołnierzem, dość tu przypomnieć Samosierrę; to więc gościnne przyjęcie i zbliżenie się do starszyzny, mogłoby mu było zapewnić przyszłość najświetniejszą, ale niestety, na nic się to wszystko nie przydało; choć bowiem miał i cesarza samego i generałów w swym domu, nie mógł się z nimi wcale porozumiewać, gdyż zaledwie komendę i kilka słów po francusku rozumiał. Pili więc i jedli Francuzi ochotnie, śmieli się i żartowali wesoło, klepali poufale po ramieniu wachmistrza gospodarza, powtarzając: „*bon camarade*“ i „*brave Polonais,*“ ale na tem się i cała łaska skończyła.

Drugi pułk ułanów, w którym znajdował się pan Aleksander Kopeć, wchodził w skład czwartego rezerwowego korpusu generała Latour-Maubourg i zaliczał się do dywizyi generała Rożnie-

ckiego; dowodził nim pułkownik Tadeusz Tyszkiewicz, majorem był Jakób Piasecki, szefami zaś szwadronów: Rzuchowski i Kosecki, wszystko służbiści i dzielni towarzysze broni.

Cała kawalerya korpusu czwartego i piątego przeszła dnia 30 czerwca Niemen pod Grodnem, po mostach świeżo postawionych, ponieważ dawny most spalony został przez cofającego się generała Płatowa, który z ośmnastu tysiącami różnej jazdy zajmował był Grodno i okolice. Trzy bowiem armie rosyjskie wystawione były przeciwko wkraczającemu nieprzyjacielowi: Barclay de Tolly, od żmujdzkich brzegów morza rozciągniętą miał linię aż do Lidy; z drugiej strony Tormansow stał na Wołyniu i Polesiu; w środku zaś, Grodzieńskie zajmowała armia generała Bagrationa, której tylną strażą była owa lekka dywizya samej konnicy Płatowa, mająca śledzić ruchy wkraczających wojsk francuskich, a łudząc je mniemanym oporem, na różnych pojawiając się punktach i staczając podjazdowe utarczki, utrudniać marsz, pociągać nieprzyjaciela w żądanym kierunku i razem wreszcie ruchy głównej armii własnej maskować. Miał to być plan generała Kutuzowa, któremu Rosya winną była niezaprzeczenie obronę własnego

kraju, lubo sami Rosyanie utrzymywali żartobliwie, że mu w tem wiele dopomógł i generał „Morozow.“

Zaraz po przejściu czwartego korpusu francuskiego przez Niemen, dywizya ułanów generała Rożnieckiego ruszyła naprzód pułkami i brygadami, rozsuwając się szeroko i wysyłając przednie straże dla śledzenia obrotów nieprzyjaciela.

Pan Aleksander Kopeć niespodzianie znalazł się nie bez prawdziwego zadowolenia, właśnie w swojej stronie rodzinnej, a więcej się jeszcze ucieszył, gdy mu szef Rzuchowski oznajmił wesoło, że z mocy otrzymanego rozkazu udać się mają ze swym szwadronem w stronę Sokółki, a zatem wprost na Zahorze. Jakoż, tego samego dnia cały szwadron Rzuchowskiego stanął na noc w Kuźnicy, a że pan Aleksander znał tu okolice najlepiej, wysłał go więc szef na rekonesans we dwadzieścia koni w prawo od gościńca do Sokółki wiodącego, polecając dotrzeć do Zahorza, gdzie ludziom i koniom można dać chwilowy spoczynek i najdokładniej rozpytać się o ruchach nieprzyjaciela.

Od czasu wstąpienia do wojskowych szeregów porucznik nasz, jeśli przybywał parę razy do Zahorza, czynić to zawsze musiał z naraże-

niem się na tysiączne niebezpieczeństwa, ukradkiem i pokryjomu jedynie; jakże teraz marzył rozkosznie, jak mu już pilno było powitać stryja i narzeczoną; w biały dzień, swobodnie, w pełnym swym pięknym mundurze, którym się chlubił, a ukrywać się z nim już teraz nie miał wcale potrzeby.

Dnia 29 lipca przededniem jeszcze, ledwie świtać poczęła różowa jutrzenka, już pan Aleksander był na koniu, a jadąc na czele swoich wiarusów, gawędził wesoło z towarzyszem broni podporucznikiem Borzęckim. Mały ten oddziałek ułanów, poprzedzany naprzód wysłaną szpicą, trójkami raźnym posuwał się stępem; śmieszki i rozmowy, lubo niezbyt głośne, w szeregach przerywały tylko od czasu do czasu parskania koni i brzęk szabel lub strzemion przy szlusowaniu jeźdźców, obok jadących po ciasnej polnej drożynie. Wjechano w mały gaik brzozowy, leżący o kilkaset kroków tylko od nowego Zahorza, czyli dworu pana Wojskiego.

— No, chwała Bogu — ozwał się wesoło pan Aleksander — już jesteśmy na swoich śmieciach, tu każdy krzak, kamień i drzewo, wszystko moi starzy znajomi.

— To już blisko? — spytał Borzęcki.

— Tuż za gajem dwór, niema i tysiąca kroków; miło mi będzie przyjąć we własnym domu kolegę, przedstawię cię stryjowi i mojej narzeczonej. Mój Boże! — dodał z westchnieniem — już ósmy miesiąc, jakiem ich nie widział, ale anim się spodziewał tego szczęścia, żebym miał teraz być w Zahorzu.

Gdy tych słów domawiał, a już do brzegu dojeżdżali, usłyszano strzał i natychmiast nadbiegła szpica, oznajmując, że niewielki oddział nieprzyjaciół uwijał się we dworze.

Pan Aleksander nie namyślał się ani chwili i w mgnieniu oka, sformowawszy swoich ułanów, rzucił się naprzód jak szalony.

Kiedy ułani wpadli na dziedziniec, a stary Wojski z odkrytą głową wybiegł był właśnie na ich spotkanie, nieprzyjaciele cofali się już drugą bramą między budynkami, ale za karabinki chwyciwszy, sypnęli jeszcze gradem kul na pożegnanie.

Pan Aleksander, który był na czele, zachwiał się, zsunął z konia... Spadło przy nim dwóch jeszcze ułanów.

Celne były strzały na bliską metę; ułani z Borzęckim na czele rzucili się za kozakami,

ale tylko tuman kurzawy na polu okazywał, że już byli zbyt daleko; zaniechano ścigania.

Gdy podporucznik wjechał na dziedziniec z powrotem, nieopisanie bolesny widok oczom się jego przedstawił.

Przy samym ganku leżał stary Wojski bez duszy, z rozwianemi białemi włosami, które zabarwiała krew, sącząca się z rany od kuli, co mu czaszkę strzaskała. Pana Aleksandra, w same piersi śmiertelnie rannego, podnosili miejscowi ludzie, kiedy kobiety mdlejącą pannę Annę cuciły. Rozbudzona, po kilka razy upadała bez czucia, dźwignęła się jednak oniemiała z boleści. Pan Aleksander stękał i oddychał ciężko, miano go już wnosić do domu, ale krzyk rozległ się nagły:

— Ogień! ogień!

Spichlerz i oficyna przy domu stały już w płomieniach.

I Borzęcki, choć obcy, stracił głowę na chwilę... Nadbiegli ludzie ze wsi do ratunku, lecz pożar z powodu długiej suszy szerzył się tak gwałtownie, że opanować go nie było sposobu. Ratowano sprzęty; krzyki i nawoływania ludzi, jęki i płacz kobiet, przygłuszały szum ognia, łomot i trzask walących się dachów. Rozpalone

powietrze buchało na dziedziniec dymem i iskrami; odniesiono na bok ciało Wojskiego, pana Aleksandra złożono w cieniu drzew na uboczu.

Podporucznik nie mógł tu długo bawić, oprzytomniawszy jednak, rozporządził się, pomagając jak umiał; posłał więc w jedną stronę po doktora, w drugą po miejscowego proboszcza, przyjaciela Kopciów, chcąc mu nieszczęśliwą i osłupiałą prawie z boleści pannę Annę i rannego kolegę polecić.

W kilka godzin po odciągnięciu ułanów, pan Aleksander znajdował się już w starym dworze, dokąd go przeniesiono; doktor opatrzył ranę, kuli jednak szukać nawet nie było podobna; zalecił spokojność, obiecując przybyć nazajutrz, ale pod wieczór przyszła już gorączka i chory przytomność stracił, dyszał ciężko i szeptał słowa niezrozumiałe. Panna Anna w niemym pogrążona smutku, wraz ze starą panną Ścibłówną, nie odstępowały od łoża rannego.

Tak nadszedł wieczór i wreszcie noc, prawdziwie letnia, ciepła, cicha, a gwiaździsta. Z okien widać było łunę, dogasającego w drugim dworze pożaru, a wśród niczem niezamąconej ciszy, tylko skomlenia psów na zgorzelisku, a za tym hasłem wycia tęskne i naszczekiwania, dalej

i dalej po odleglejszych wsiach i osadach słyszeć się dawały.

Obie kobiety całą noc przepędziły na czuwaniu przy chorym.

Nazajutrz około południa przybył lekarz na chwilę; stan chorego nie zmieniał się wcale, nie mówił nic, zaledwie oddychał; życie walczyło ze śmiercią.

Tak przeszedł dzień cały i noc następna, żadnej nie przynosząc zmiany. Rano trzeciego dnia pan Aleksander zdawał się chwilami odzyskiwać przytomność; otworzył oczy, szeptał jakieś niedosłyszane wyrazy i uścisnął rękę narzeczonej, chcąc ją do ust podnieść spieczonych, ale mu dłoń bezsilna opadła na łoże.

Już było około południa, kiedy na dziedzińcu nagle rozległ się hałas i krzyki, tentent koni i głosy dziwne, a niezrozumiałe. Żadna z kobiet jeszcze nie miała czasu wyjrzeć, co się dzieje, gdy pod oknami ukazały się jakieś dzikie i nieznane twarze, zabrzęczały wybijane szyby i przez drzwi, otwierające się z trzaskiem, wpadło kilkunastu wojskowych w najrozmaitszych mundurach, klnąc, łając i wykrzykując obcemi i jak w wieży Babel zmieszanemi językami.

Byli to maruderzy wielkiej armii francuskiej...

Rozbiegli się po domu i po całym dworze; na błagania, łzy i prośby, odpowiadano śmiechem, grubiaństwem i pogróżkami. Kobiety zmuszone były, ze swobodniejszej korzystając chwili, zatarasować się w pokoju chorego. Raz i drugi próbowano się dobijać, że rabusie jednak widzieli pierwej, iż w tej izbie nie było nic do zabrania, dali pokój wreszcie. Plądrowanie trwało do wieczora, pili i bankietowali, tłukli lub chwytali co pod ręce wpadło. O zmroku ucichło. Nieszczęśliwe kobiety, oniemiałe ze strachu, na palcach pod drzwi i okno podchodząc, nie śmiały wyjść jeszcze; słuchały.

Pierwsza panna Ścibłówna oprzytomniała nieco i obejrzała się wkoło trwożliwie.

— Panienko — rzekła z cicha — już zdaje się poszli, ale tu i dym coś słychać i gorąco okrutne...

Spojrzały w górę.

Pod pułapem, jak gęsty i nieprzejrzany obłok, kłębiła się warstwa grubego dymu... w ciszy trzaskania jakieś złowrogie słychać było w górze.

— Jezus, Marya! — wykrzyknęła Ścibłówna — pożar! pożar! pewno podpalili!

— Boże! Boże! — jęknęła panna Anna.

Chory leżał bez przytomności.

Stara gospodyni skoczyła do drzwi żywo; za otwarciem ich, buchnął dym jeszcze gęstszy z drugiego pokoju.

Wybiegła na ganek... Cały dach domu stał już w płomieniach... a we dworze ani żywej duszy!

Zrozpaczona, poczęła wołać i krzyczeć, rzuciła się wreszcie napowrót do domu.

Panna Anna klęczała u łoża chorego.

— Panienko! — wołała staruszka — pali się! pali się! uciekajmy... o Boże!

Panna Anna z twarzą zalaną łzami zwróciła się do piastunki.

— Uciekać!? — jęknęła ledwie dosłyszanym głosem — a on!? Aleksander!

— Może go wyniesiemy — zawołała staruszka.

Chory dyszał tylko, ale nie ruszał się wcale; poczęły dźwigać łóżko, obie jednak, ostatnich sił dobywając, nie mogły go przez ciasne drzwi przesunąć, ani ciężarowi podołać. Panna Anna, osłabiona i wycieńczona czuwaniem, chwiała się i upadała.

W tej chwili znaleźli się na dziedzińcu ludzie, słychać było biegania, głosy i nawoływania.

— Ludzi... ludzi do pomocy zawołaj! — szepnęła Anusia do piastunki.

Ścibłówna rzuciła się do drzwi, ale przez sień ledwie przejść zdołała, bo już z sufitu sypały się iskry i deski z ogniem padały.

Wybiegła na ganek... ledwie kroków kilka postąpiła, rozległ się trzask i łomot prawdziwy... Cały dach runął w środek domu, podnosząc nowy słup dymu i płomienia!...

Szum, hałas i pryskanie ognia, nie dozwoliły ani jęku nawet nieszczęśliwych ofiar dosłyszeć...

Staruszka poczęła wołać i krzyczeć w rozpaczy, a nie widząc wreszcie żadnego ratunku i rady, jęczała tylko i od zmysłów prawie odchodziła, oniemiała ze zgrozy i przerażenia.

Do rana i stary już dwór w Zahorzu zmienił się w kupę popiołu i gruzów.

Poczciwy proboszcz, jedyny opiekun, odesłał bezmowną i nieprzytomną prawie staruszkę do brata jej, mieszkającego niedaleko w szlacheckim zaścianku.

Ścibłówna, przebywszy długą i ciężką chorobę, dźwignęła się wreszcie i oprzytomniała; zmieniona jednak do niepoznania, drżąca i wylękniona, zawsze modliła się bez końca dniami i nocami. Po dwóch latach uprosiła nakoniec

i namówiła brata, że się razem oboje wybrali do Wilna dla nabożeństwa przed cudownym Ostrobramskim obrazem. Droga prowadziła ich na Zahorze.

Minąwszy smętną na wzgórzu kapliczkę, gdzie obok grobu rotmistrzowej i Wojskiego złożono niedopalone obojga narzeczonych szczątki, dalej, od murowanej figury, zkąd się rozchodziły drogi, widać już było wieś i oba dwory.

Staruszka od płaczu wstrzymać się nie mogła; z za łez, co jej zalewały oczy, spojrzała na to miłe, a tak jej dobrze znane ustronie. Jeden i drugi dwór świecił z dala białemi dachami i nowemi ścianami świeżo wzniesionych zabudowań folwarcznych.

Pokręcił głową stary pan Bartłomiej Ścibło; szlachcic, choć niegdyś szabelką wywijał, był jednak teraz gospodarzem zabiegłym.

— Oho! — mruknął — jakie piękne postawili budynki, musi tu być jakiś porządny pan.

Podróżni nasi stanęli na skraju wsi, pod karczemką, dla wytchnienia koniom.

Stary dziad siedział na podsieniu.

Pan Bartłomiej wygramolił się z wózka.

— Niech będzie pochwalony — rzekł do wieśniaka.

— Na wieki.

— Wy, ojcze, tutejszy?

— A już-ci tutejszy.

— Któż to u was gospodaruje? bo widzę obadwa folwarki porządnie zabudowane.

— Oj! oj! czemu nie miał zabudować? — odparł dziad — ludzi drze ze skóry, gna do roboty od świtu do nocy; bywało za naszych starych panów Kopciów, wieczna ich pamięć, była robota po ludzku, trzy dni na tydzień, a ten teraz sześć nałożył; ludzie na własnem to i w święto pracować muszą... at! niewiara!

— A któż to taki?

Dziad ruszył ramionami.

— Kto go tam wie?... jakiś nechryst... Niemczysko!

— Niemiec? — powtórzył pan Bartłomiej.

— A już-ci — odrzekł gospodarz — ten gruby Bomsdorf, co to za pruskich czasów podatki skarbowe wybierał, potem kupił majątek, a teraz i te oba folwarki... Cha! cha! — dodał stary z gorzkim uśmiechem — i jeszcze ludzi bije, jak kto powie, że to jest Zahorze.

— Jakże nie Zahorze?!

— O! nie... nie Zahorze, teraz to już on każe Hinterberg nazywać.

Pan Bartłomiej splunął pogardliwie, rzucił ramionami i kiwnąwszy głową na pożegnanie, ruszył w dalszą drogę. Ale szlachcic był twardy i uparty, a w dyplomacyę nigdy się nie bawił; odjechawszy więc kawał drogi, obejrzał się jeszcze na wieś i oba dwory, machnął zamaszyście biczem i mruknął pod nosem:

— Dyabła zje Niemiec!... pójdzie, zkąd przyszedł... przezwij konia wołem, rogi mu nie urosną... Póki nas stanie, Zahorze jak było tak będzie Zahorzem... dłużej klasztora, niż przeora!..

PIORUNY KSIĘCIA WOJEWODY.

Z OPOWIADAŃ SZAMBELANA.

I.

Eripuit coelo fulmen...
(Z nagrobka Franklina).

Opiekun mój IMP. Bartłomiej Niepokojczycki, starosta słucki, oddał mnie był naprzód do szkoły naszej miejscowej księży Jezuitów, gdzie ja wszelako rok tylko na „Gramatyce“ bywszy, przeniesiony zostałem przez tegoż opiekuna i dobrodzieja mojego do szkół w Nieświeżu, a to z tej racyi, żem się srodze bił w palcaty, w czem mi nie lada kto sprostał. Uznał więc IMPan starosta we mnie pewną do wojskowego stanu inklinacyę, a że w Nieświeżu założył był właśnie J. O. ks. Karol Radziwiłł, od przysłowia: „panie kochanku“ zwany, wojewoda wileński, szkołę kadetów, w której regularnie trzydziestu uczniów z okolicznej młodzieży swoim utrzymywał sumptem, tam więc, jako dla innych, otwierała się i dla mnie do krescytywy najpewniejsza droga.

W Nieświeżu przeto i szkoły całe przeszedłszy i pierwsze, za manudukcyą IMPana Devila alias De Ville, komendanta fortecy Nieświeskiej, na Marsowej drodze stawiając kroki, przebyłem z górą lat dziesięć[1]).

O JO. wojewodzie niemało ten i ów pisał, ile, że pan to był humoru osobliwego i potentat niezwykłej miary, a u nas na Litwie bez mała nie król; że nie powiem, iż w istocie więcej w tej tu stronie znaczył od samego monarchy przez tysiączne i niewyczerpane dobrodziejstwa, przez hojność, dary i zapomogi, które w koło siebie sypał, oraz przez fundacye różne, wojska, fabryki i szkoły, wolą jego i kosztem dla powszechnego dobra założone i utrzymywane. Ale ci, co pisali i mówili o nim, podawali to tylko, co się w księciu jawnem okazywało, co widział każdy, jakim on chciał lub „potrzebował“ okazywać się ludziom; rzetelnie wszelako kryła się w nim strona inna, ledwie kilku tylko osobom, gruntownym politykom i najbliżej zaufanym znana. Takimi byli hetman Klemens Branicki, Michał i Tadeusz Rejtanowie (koledzy od lat dziecinnych

[1]) Osoby, miejsca i wypadki, w niniejszem opowiadaniu podane, są ściśle prawdziwe.

księcia, jednym duchem z nim ożywieni) i kilku może jeszcze wybranych [1]), dalsi jednak, najserdeczniejsi nawet przyjaciele, ale już lżejszego umysłu, jako naprzykład IMP. Leon Borowski, komornik słonimski, i wielu innych do tajemnic księcia nie byli wcale przypuszczeni. W życiu wojewody przez grubą, znaną wszystkim powierzchnię, przebija nieraz dziwnie ów blask tajemnej strony charakteru i działań jego; ztąd te osobliwsze sprzeczności, ztąd tak rozmaite, a niezgodne z sobą, podawane o nim relacye. Te wszystkie jednak napozór tak sprzeczne barwy, z odkryciem owej grubej z umysłu i potrzeby przez samego księcia narzucanej zasłony, zlewają się w jeden blask, objaśniający wszystkie kroki, wszystkie „przyjaźni i nienawiści“ jego, i oblewają jasnem światłem postać wojewody, który nieugięty i niezłamany, jako i obaj bracia jego ducha, Rejtanowie, całe życie i mienie do ostatniej chwili poświęcił jednej myśli tylko, służenia ojczyźnie.

[1]) Ciekawe te i nieznane szczegóły i wiadomości o księciu podaje jeden z zaufanych hetmana Kl. Branickiego dworzan, który w misyach dyplomatycznych wysłany wielekroć do Nieświeża, pomiędzy r. 1763—1786, bawił tam po kilka tygodni. (Notaty rękopiśmienne współczesne; z archiwum w Romanowie).

Matka księcia, Wiśniowiecka, z wielkiego rozumu i nauki nawet znana, chciała dać synowi wychowanie świetne, ile, że i zdolności w nim okazywały się niepospolite; ale przy tych zaletach jego, charakter bujny a twardy z ciężkością do pracy nałamywać się dawał. Korzystał więc z nauk niewiele; nie tak mało jednak, jak niektórzy niechętni z umysłu podają. Po łacinie bowiem umiał tyle, co każdy inny szlachcic z tego czasu [1]), po francusku i po niemiecku nie mówił nigdy, mając wstręt nieprzełamany do wszelkiej obczyzny, że znał jednak te języki „niezbitym dowodem“ są własnoręczne listy jego, w młodości do rodziców pisane, znajdujące się dotąd w archiwum Nieświeskiem [2]). Książę, usamowolniony wcześnie, otoczony i podszczuwany przez szalejącą młodzież, wartogłowów i zawadyaków, puścił się zrazu na życie hulaszcze, liczne nawet popełniając bezprawia, z których sowicie nieraz wykupywać się musiał.

Ciągnęło się to aż do sejmu konwokacyjnego w r. 1764, gdzie książę pierwszy raz w ważniejszej politycznej występuje roli. Od tej chwili

[1]) Modlitwy wszelkie w tym języku z agendki albo z pamięci zawsze odprawiał.

[2]) Kotłubaj. Galerya.

zmienia się już tryb jego życia, przekonania polityczne zaczynają się w nim wyrabiać, ale jeszcze chwiejne i nie dość pewne. Pierwsze tułactwo daje mu niejakie wskazówki. Po powrocie do kraju w r. 1766 w najlepszej wierze przyjmuje dostojeństwo marszałka pamiętnej konfederacyi radomskiej 1767 r. Rychło wszelako spostrzega, jak został zdradzonym i jaką narzucono mu rolę; tu otwierają się oczy księciu, a obrażony w najdroższych uczuciach, jak był twardego, a niezłomnego umysłu, przedsiębierze walkę, którą już prowadzi przez całe życie, w jedynym celu uwolnienia kraju od wpływów zewnętrznych. Podtrzymując konfederacyę barską całemi siłami, stosunkami i funduszami, jakiemi mógł rozporządzać, tuła się po obcych krajach przez lat dziewięć, kolosalne ponosi ofiary, nie dostając od rodziny ani złamanego halerza, wspomagany tylko przez wiernych sług i przyjaciół. Powraca wreszcie, zwyciężony... ale nieugięty [1]); całą usilność teraz, pracę i dochody łoży na pomno-

[1]) Dobra białoruskie po pierwszym rozbiorze zabrane księciu w odpadłych prowincyach, chciano mu zwrócić za pewne ustępstwa, ale propozycyę tę odrzucił. Dobra białoruskie księcia składały się z trzech całych powiatów i dwóch miast Newel i Siebież w województwie Połockiem.

żenie siły zbrojnej; zakłada szkołę artyleryi i całą szlachtę litewską pod pozorem polowania, nieustannie prawie trzyma w polu i na koniu. W takich niby zabawach księcia towarzyszyło mu zwykle 600—800 szlachty konno i zbrojno, zmieniając się kolejno, tak, że w istocie rzeczy było to na każde zawołanie gotowe pospolite ruszenie.

Nie mogło to nie zwracać uwagi tych, co w kraju rządzili. Rzeczą więc jest pewną, że księcia ciągle trzymano na oku; każdy krok, każde słowo jego wiadome były tym, którym niezłomna wytrwałość jego stała na zawadzie. Książę też, wiedząc, że jest nieustannie śledzonym od chwili powrotu do kraju w r. 1778, jawnie i rozgłośnie zdaje się usuwać od polityki; bawi się tylko niby i poluje. „Od tej daty, ani dzień pierwej," zaczynają się jego sławne dykteryjki, baśni i kłamliwe opowiadania, zawsze i nieodmiennie, gdy jest w licznem otoczeniu i jakoby na otwartej scenie — ale wtenczas tylko. Między czterema pewnemi ścianami i w cztery oczy z najbardziej zaufanymi, książę był zgoła innym nie do poznania człowiekiem; smutny nawet i zamyślony często, zajęty był jedną myślą tylko, która całe życie jego pochłonęła.

Takim był istotnie książę wojewoda wileński; powszechność tych tajemnic nie znała, ale pewnem jakoby przeczuciem wiedziona, widząc przytem, co czynił, otaczała go poważaniem i miłością, na jaką nie zasłużyłby nigdy, biorąc jedynie w rachubę wybryki jego lat młodzieńczych.

Nie dziw więc, że na Litwie oczy wszystkich były głównie na osobę księcia zwrócone, że pamięć o nim przetrwała wiek cały i długo jeszcze nie zginie; jako nie dziwić się też, że i ja wspomnienia moje z owych czasów, pomimo innych tyle sławnych autorów, odżywić pragnę, bo kto znał Nieśwież za księcia, jako ja, com tam niemały czas strawił, ten już go nie zapomni i do samej śmierci, a na całe życie będzie miał dość materyi i wątku do opowiadania.

Owóż, jakom rzekł wyżej, siła pisano o księciu; luźne wszelako naracye o nim samym dają tylko cień osoby, na podobieństwo owych nowomodnych, tak zwanych sylwetek, które nasz pan profesor Moranti z czarnego papieru zgrabnie nożyczkami wycinał. Aby zaś mieć pojęcie, czem i kim był wojewoda w istocie, trzeba go było widzieć we własnem jego otoczeniu, wśród

ludzi, porządków i obyczaju całego ówczesnego nieświeskiego dworu.

Było natenczas u nas niemało domów magnackich i wielkich i znacznych, jakoto: Sapiehów, Potockich, Czartoryskich, Branickiego hetmana, królewskiego szwagra w Białymstoku, ba, i sam dwór królewski; ale nie wiem, żali z nich który mógłby z radziwiłłowskim stanąć w paragonie. Chyba jeden hetmański, lubo dużo mniej liczny, ale jednak piękny, ile, że kształtował się na zagraniczny francuski modelusz; hetman zaś, jako *supremus dux*, miał przy swoim boku i rycerstwa niemało. Dwór królewski, rzecz wiadoma, dość obsadny i jak przystało, ale pomieszczony w mieście, nieznaczny był wśród mnogiej ludności, gdy radziwiłłowski sam sobą stał — a roiło się w nim jak w mrowisku. Więc kiedy hetman miał swoje chorągwie, miał je też i książę, a bodaj czy nie sowiciej obsadzone. Samej piechoty było pięć kompanij po sto pięćdziesiąt ludzi; milicya nieświeska, także słucka, pod dowództwem majora Pepiniego, Węgra; cztery bataliony strzelców pod Dłużyłowskim, majorem; złota chorągiew ułańska, którą dowodził rotmistz Jankowski, nuż kozacy pod Kamińskim, dragony i artylerya. Komendantem zamku w Nieświeżu

był IMPan Devil, Sas rodem, najwierniejszy sługa księcia, a pod nim dowódców dwóch braci, IMPapów Farcielli i de Larzac, Francuzów [1]), ludzi gładkich, wesołych i urodziwych, którzy u białych głów niemałem cieszyli się powodzeniem. Artyleryą dowodził także Francuz, Dufort, człek już niepierwszej młodości, bystry i biegły, wielkiej fantazyi, a w rzemiośle swem wyćwiczony i biegły jak mało, ale miał jedną wadę, że za kołnierz wylewać nie lubił. Nieraz też i na lekcye w naszym korpusie kadetów przychodził pod dobrą datą; miał wszelako głowę i pamięć tak wyśmienitą, że gdy był podchmielony, jeszcze się bardziej zapalał i mówił jak z książki, tylko go słuchać było, a chwytać wyrazy, bo mu gęba żywo jak kołowrotek latała. W naszej też szkole uczył jeszcze Belmont, a Moranti rysunków.

Całe to wojsko swoje i artyleryę i kadetów oddał JO. wojewoda później Rzeczypospolitej na usługi, a pomimo ogromnych kosztów na to wszystko łożonych, nietylko nie uchylał się od

[1]) Syn jednego z nich w połowie bieżącego stulecia mieszkał w majątku Zahorze (gub. Grodzieńska, powiat Prużański), zupełnie spolaczały, tysiące opowiadał szczegółów o Nieświeżu.

owego dziesiątego grosza na sejmie uchwalonego, ale pilnował owszem najmocniej, aby ów, niepraktykowany dotąd podatek, ściśle i rzetelnie ze wszystkich dóbr jego został obliczony i do skarbu Rzeczypospolitej w regularnych ratach wnoszony.

Na dworze nieświeskim, bądź w zamku samym, bądź w mieście, bawiło zawsze wiele osób z rodziny księcia, których on ugaszczał ciągle i serdecznie kochał, a przyjaciół domowników, dworzan i służby wszelakiej moc była niezmierna, tychby i wyliczyć niepodobna prawie. Dodać tu jeszcze należy i gości, których każdego dnia przyjeżdżało osób kilkanaście, w znaczniejsze zaś festyny po sto, dwieście i więcej, jak się zdarzyło. Na obiad, który musiał być zawsze punktualnie na godzinę pierwszą podany, nigdy niewiadomo było, ile osób przybędzie, a kuchmistrz Turzyński, co go książę, a za nim i inni żartobliwie Cajetanim zwali, niemało miał z tem kłopotu. Obfitość jednak była zawsze taka, że znaczna część jadła ze stołu na niższą służbę schodziła i to już było na miejscu umówionym i wiadomym powszechnie zwyczajem, że każdy brał na talerz dwa razy tyle niż mógł zjeść, aby hajducy i służba nakarmili się też do

syta. Talerze, półmiski, wazy i wszelka stołowa zastawa, okrom szkła, była zawsze srebrna. Gdy pewnego razu IMP. Ignacy Rulikowski, podczaszyc bełzki, przybył do Nieświeża, przed samą barską konfederacyą, z tajemnem od wojewody krakowskiego Wacława Rzewuskiego poselstwem, spytał go przy obiedzie książę:

— Powiedzże mi waćpan, panie kochanku, na czem tam u wojewody jadacie?

— Na porcelanie — odrzekł zapytany.

— Oho! — ozwał się książę, pokręcając głową — porcelana, to magnacka rzecz!

Tu, gdy skończył właśnie jeść, oddając talerz hajdukowi, upuścił go niby przypadkiem na ziemię.

— No, widzisz waćpan, upadł i cały; ja, panie kochanku, za ubogi jestem, żebym mógł na glinianych farfurkach jadać!

Książę Hieronim, przyrodni brat wojewody, mieszkał również w Nieświeżu, w mieście, gdzie pałac zajmował; służby utrzymywał niewiele, a Niemców najwięcej, ile, że młoda księżna była Niemką, Tour et Taxis [1]) z domu. Był tam

[1]) Nazwisko księżnej piszą jedni Thurn i Taxis, inni Tours et Axis, jedno i drugie mylnie, pisać należy jak po-

w służbie jakiś murzyn, Ali nazywany, na dziwowisko dla ludzi, przed którym nieraz chłopi, żegnając się, uciekali; ten się później ożenił z córką jednej wdowy, mieszczanki z Nieświeża, a IMPan Borowski, co im dziecko do chrztu trzymał, asekurował, że się urodziło „karosrokate.“

Siostra księcia wojewody, generałowa Morawska, chociaż wraz z mężem miała niby rezydencyę swoją w Zauszu, prawie ciągle wszelako przebywała w zamku z liczną asystencyą rezydentek, panien dworskich i respektowych, nad któremi stara IMPani Wichertowa przełożeństwo trzymała. Ale od strzał Kupidyna żadna pono egida białych głów zasłonić nie może, ani argusowe oczy do strzeżenia ich na nic się nie przydadzą. Dlatego żaden miesiąc nie minął, żeby się jakieś na zamku nie odprawiało wesele, ile, że sam książę swatać, obdarzać nowożeńców i z tej racyi sute wyprawiać festyny nadewszystko lubił. Jedne szły za mąż, gdy inne na ich miejsce raz wraz przybywały, a dwór zawsze był pełny i gwarno jak w ulu.

---

dajemy Tour et Taxis (Alm. de Gotha). Główna rezydencya ks. Hieronima była w Białej podlaskiej.

Druga siostra wojewody, Rzewuska, chorążyna W. Ks. L., rozłączywszy się z mężem, żyła w ciszy klasztornej u Benedyktynek nieświeskich; tam ją niekiedy książę odwiedzał, ona wszelako w zamku nie bywała nigdy. Córki jej IMPani Platerowa, kasztelanicowa trocka z Rudawki i IMPani Rdułtowska, chorążyna nowogrodzka ze Snowia, jako też IMPani Łopotowa, obożnina W. Ks. Lit. i Worcellowa, córki generałowej Morawskiej, oraz trzecia siostra księcia Ferzenowa, *primo voto* Brzostowska, wojewodzina inflancka, często, mało nie ciągle na dworze księcia przesiadywały i uczestniczyły we wszystkich, tak w Nieświeżu, jako i w Albie wyprawianych zabawach.

Na zamku kapela, z sześćdziesięciu muzykantów złożona, grała dzień w dzień, do obiadu i do wieczerzy, w teatrze i na asamblach wieczornych, nigdy czasu do próżnowania nie mając; kapelmajstrów było czterech: Holand, Narkiewicz, Cipriani i Caselli, w teatrze zaś, oprócz aktorów, trzymał książę dwudziestu chłopców i dwadzieścia dziewcząt do baletu, którym przewodniczył Włoch, baletmistrz Petinetti [1]); ten

[1]) Syn jego przed r. 1830 w Warszawie udzielał lekcyi tańców.

choć był dość korpulentny i miąższy, w tańcu ledwie że nie po powietrzu latał i jak puch lekkim się zdawał. Ztąd też jeden ze starszych kucharzy księcia, Światłowski czy Rubkiewicz nie pomnę, który w ciastach celował, gdy wymyślił jakąś babę wielkanocną, nadzwyczaj subtelną, dziurkowatą, a lekką, nazwał ją babką petinetową, i za ten sekret od naszych pań gospodyń nabrał dukatów niemało; znaną też jest ona po dziś dzień na Litwie pod tem samem nazwiskiem. W balecie nie brakło wielce urodziwych, foremnych i nad podziw zgrabnych tancerek, a jedna z najlepszych i najpierwszych Saplikiewiczówna, o której się niżej powie.

Koni jezdnych, cugów poszóstnych i poczwórnych, pod landary, karety, furgony i szarabany, pod siodła i juki, czyli do ciągłego na stajniach użytku, stało z górą trzysta, krom mułów kilkudziesięciu i kilkunastu wielbłądów; koniuszym zaś był IMPan Józef Kamiński, którego powszechnie „charkajłem“ zwano, że miał głos ochrypły, jakoby mu zawsze w gardle coś się gotowało.

Z dworzan księcia dawnych, niby emerytów, a rezydentów przedniejsi byli: kniaź Mirski, kawaler stary, romansowy, na gitarze grywał, przy-

śpiewując teksty i piosenki różne, których umiał bez liku, polskich, żmudzkich, białoruskich, najczęściej, gdy był nieco podchmielony; zawsze jednak dobroduszny i słodki, w drogę ludziom nie właził i zwykle na uboczu się trzymał; Paszkowski i Romanowski, niegdyś pierwszej ręki rębacze; Kamiński Jan, brat koniuszego Charkajły; Eydziatowicz, podczaszyc smoleński, słuszny, chudy i zawiędły, zapalony myśliwiec, z pistoletów o zakład wystrzeliwał tuzy i kralki; nareszcie zaś ów Chocianowski, prawdziwie osobliwy twór ludzki: statury średniej, dość gruby w sobie, plecy miał nad wszelką miarę rozrosłe, ręce i nogi haniebnie wielkie, a szerokie, głowę ogromną, o potężnym nosie i wąsy mało nie do pasa. Miał być nadzwyczajnej siły, jak powiadano, i mógł pić, ile kto wlał, bez żadnej zmiany humoru i temperamentu, a choć więcej do jakiegoś hippopotama, niż do człowieka podobny, że matki nim dzieci straszyły w całej okolicy, łagodny był jak baranek, wesoły, uczynny a poczciwy wielce; wszyscy, że był tak szpetnym, żartowali zeń często, a on śmiał się wraz z innymi, lubiony też był od całego dworu. Pochodził pono z Kowieńskiego, bez rodziny, sam jeden na świecie, do księcia tak się przy-

wiązał, że byłby się dał za niego na kapustę posiekać. Opowiadano, iż razu pewnego, gdy spostrzegł go król Jegomość na ulicy w Warszawie, jadącemu przy karecie paziowi, IMPanu Janowi Szlubowskiemu, kazał zapytać, ktoby to był? A kiedy paź doniósł, że szlachcic mieni się być dworzaninem wojewody wileńskiego, na to król miał odrzec z uśmiechem: „powinienem się był domyśleć, że to jest sługa księcia Karola.“

O niższej służbie nie mówię, bo tej było bez liku; marszałkiem zaś dworu za mojej pamięci, po powrocie księcia już z powtórnego tułactwa, a za ustąpieniem Klimaszewskiego, został IMP. Sabański; nie miał on ani tego dowcipu i kortezyi, ani tej prezencyi, co pierwszy, gdyż mały był, czarniawy a szczupły, ale surowy i chmurny zawsze, żelazną ręką trzymał cały dwór książęcy. Wojewoda go pono niebardzo lubił, a w srogości mitygować musiał, wszelako dla wielkiego porządku funkcyi mu nie odbierał.

Co do gości, było ich zawsze siła, jakom pierwej mówił, ale między nimi znajdowali się tacy, którzy mało nieciągle przebywali w Nieświeżu, bo ich książę żadną miarą nie puszczał do domu; a gdy z nich wymawiał się który

pilnemi sprawami, nieraz je swoim plenipotentom i komisarzom załatwiać kazał; ale to niekażdemu przypadało do smaku, często więc ktoś taki od gościnności księcia i chyłkiem wymykać się musiał. Nie mówiąc już tedy wcale o IMPanu komorniku słonimskim, Leonie Borowskim, który był *intimus* księcia i nie wyjeżdżał z Nieświeża, jako też o IMPanu Wołodkowiczu, co się później z siostrzenicą wojewody, panną Brzostowską, ożenił, przesiadywali często i długo Morawski, brat generała, Wendorff, Miternowscy, Mackiewicz, Czyż, Mogilnicki i innych nie mało.

Przybywali też nieraz i po kilka dni bawili dawniejsi słudzy i dworzanie, którzy folwarki od księcia albo w zastawie, albo w dożywociu trzymali. Tak też i opiekun mój IMP. Niepokójczycki, starosta słucki, jako zasłużony u księcia, dostał był w Słucczyznie na dożywocie folwark Bołoczyce, na które, gdy skrypt odbierał, przymówił się, czyby owego dożywocia nie można prolongować było i na syna jego, w pieluchach naówczas jeszcze zostającego, Adasia. Na co odrzekł, śmiejąc się, książę: „Poczekajże waszmość, panie kochanku, po co się tak spieszysz? Adaś jeszcze ospy nie miał.“

Tu przynajmniej były niejakie zasługi, ale

bardzo wielu dworaków, którzy często żadnych nie mieli, z dobroci a hojności księcia wyciągali korzyści; jak pod czas bowiem a pod humor, miał serce tak miękkie, że nikomu prawie odmówić nie umiał. Tracili na tem nieraz ci właśnie, którzy prawdziwe a rzetelne położyli u księcia zasługi, a dla subtelności swych sentymentów, czyli respektując swój honor, a w sprawiedliwość ufni, woleli milczeć i czekać, nie chcąc uniżać się i przypominać księciu, albo dopraszać się tego, co im się słusznie należeć mogło.

Z liczby tych właśnie był mój jeden powinowaty, IMPan Michał Domański, który przez dziewięć lat peregrynacyi i tułactwa księcia po całej niemal Europie, od r. 1769—1778, czyli do powrotu wojewody, wszędzie i zawsze mu towarzyszył, tysiączne dał dowody przywiązania i niezachwianej niczem wierności. W niebezpiecznych nieraz a delikatnych, wielkiej przezorności i prawości wymagających misyach posyłany, zawsze sobie dać rady potrafił; na tentacye nawet i zdrady wystawiany, czysto i szczęśliwie wychodził i sprawę w myśl księcia przeprowadzić umiał. Sam też wojewoda szanował go wielce i cenił wysoko, że jednak IMP. Michał umysłu był poważnego, całe życie księgami się

bawił, w towarzystwach hucznych nie gustował, a przypominać się i narzucać nie lubił; ztąd książę zawsze licznem otoczony gronem, pomimo wszelkiej estymy, mniej o nim pamiętał, bo na na świecie jak w tłumie, kto się nie pcha naprzód, ten w tyle zostaje.

Gdy wojewoda z peregrynacyi powrócił, co jakoś w końcu lipca r. 1778 nastąpiło, zanim jeszcze zrujnowany zamek wyrestaurowano, lubo cały dwór w ciasności wielkiej mieścił się w pałacu miejskim, po dworkach i szczupłych domostwach, cała Litwa niemal, nie zważając na te niedogodności i impedymenta, dzień jak noc na powitanie jego spieszyła. Natenczas też, dworzan dawnych, plenipotentów, komisarzy i przyjaciół, którzy zostawali w kraju, przybiegła już siła na usługi księcia. IMPan Domański przeto, który wraz z Radziszewskim na owej mizernej jakoby banicyi tyle lat najwierniej służył, został się na uboczu i byłby może na długo osiadł na koszu, gdyby zaraz pierwszego dnia po przybyciu sam książę nie zalecił był seryo IMP. Bernatowiczowi, żeby mu natychmiast wyznaczono folwark jaki w dożywocie.

Tymczasem peregrynacya przez lat dziewięć księcia wojewody, straty przez wojnę w zam-

kach, miastach, wsiach i dobrach jego poczynione, najbardziej zaś ogromne koszta, które tak wytrwale do ostatniej chwili dla podtrzymania upadającej konfederacyi łożył, obciążyły też owe dobra książęce takiemi długami, że je tylko nieobliczona Radziwiłłowska fortuna bez znacznego uszczerbku znieść mogła. Sam bankier Saturgus z Wrocławia, za sumy dostarczone księciu, trzymał już w garści niemal całe dobra Zabłudowskie, Słuckie i Nieświeskie; znacznych też sum trzeba było na wykupno sreber i klejnotów, pozastawianych w Budzie, Pradze, Wenecyi i Amsterdamie. Interesa były trudne i zawikłane; nowe dochody dopiero zbierać się zaczynały. Myślał też IMPan Domański, jako sługa i towarzysz wierny, że nie czas było inkomodować księcia, i coby inny pewno na jego miejscu uczynił, kuć, jak to mówią, żelazo, póki było gorące.

Sekretarzem i pryncypalnym plenipotentem wojewody był p. Bernatowicz, człowiek uczciwy i w naukach, a szczególnie w językach tak biegły, że poznawszy go Lucchesini, ambasador pruski, wierzyć nie chciał, iżby IMP. Bernatowicz za granicę swego kraju nie miał się nigdy wydalać. Gdyby wszelako Bernatowicz był i sa-

mym geniuszem, nie mógłby podołać nawałowi spraw wszelkich Radziwiłłowskiej fortuny; takąż więc samą funkcyę spełniał i p. Mikuć, za czasem zaś i Radziszewski, co był w obcych krajach z księciem, a pod nim było jeszcze komisarzy różnych i plenipotentów bez liku. Wszyscy ci ichmoście ledwie że znali Domańskiego, który w Nieświeżu dawniej nie bywał, a pochodząc z Brzeskiego, zabrał się był do konfederacyi z Bierzyńskim, kiedy ten był w Białej; gdy zaś nawałęsawszy się, pokiereszowany pod Białymstokiem, dostał się do generalności, dopiero go książę wziął do swego boku. Ci więc panowie plenipotenci, dostawszy rozkaz wyznaczenia Domańskiemu dożywocia, znając go mało, w nawale ówczesnych spraw zawikłanych, nie namyślali się długo, rzucili mu co z brzegu i niby akomodując się do woli pańskiej, natychmiast księciu do podpisu podali. Był to zaś w słuckiem od wielkiego folwarku Chrzanowa dependujący zaścianek Szulaki, w którego wydzieleniu miał pono jakiś interes plenipotent podręczny IMP. Bernatowicza, niejaki IMP. Juszkiewicz, który ten akt pisał. Domański zaś, ani pytając, wziął, co mu dali, a otrzymawszy z kancelaryi

IMPana Mikucia intromisyą do owych hojnie wydzielonych Szulaków, gotował się do odjazdu.

Tu, dla wyjaśnienia rzeczy, musimy się wstecz obrócić, gdy jeszcze JW. wojewoda z całym swym dworem w cudzych krajach bawił. Była więc tam z nim razem, lubo nie przez wszystek czas peregrynacyi i JW. generałowa Morawska, z licznem, jak to lubiła mieć, otoczeniem i kilku respektowemi pannami, między któremi też znajdowała się i wychowanka, a ulubienica generałowej, sierota bez ojca i matki, Karolina Paszkowska, z Lanckorońskich gniazda, krwi nie ladajakiej, dziewczyna wprawdzie uboga, ale perfekcyi, urody i piękności rzadkiej, przyczem miała i wielką stateczność umysłu i niejakąś wrodzoną, choć w młodych leciech powagę, które to przymioty przy edukacyi, jaką na dworze pani generałowej otrzymała, uczyniły z niej osobę zgoła niepoślednią; że gdyby była mniej stateczną, mogłaby jako niedźwiedniki niedźwiedzią, kogoby sama chciała, na pasku prowadzić. Ale panna Paszkowska nosiła się tak wysoko, że do niej byle kto, ani z ladajakiem słowem przystępować nie śmiał, i tak mniemam, że i na królewskich pokojach pewnieby się nie zgubiła.

Tam więc w cudzych krajach na dworze księcia, znaleźli się IMPan Michał i panna Karolina razem; a wiedzieć trzeba, że jako Paszkowskich, tak i Domańskich domy z dawien dawna w brzeskiem województwie miały swoje siedliska. Pan Michał zaś jeszcze pacholęciem będąc, spotykał kędyś razy kilka pannę Karolinę, kiedy jeszcze dzieweczką była, ledwie od ziemi odrosłą. Od owych czasów długie lata minęły, że się jedno z drugiem ledwie poznać mogli, czyniąc sobie dawniejszych czasów i wypadków a miejsc i ludzi reminiscencye, które, nie wiem zgoła, żaliby komu w świecie nie były przyjemne. A tu jeszcze dodać, że działo się to na obczyźnie, gdzie choćby Podolak z Wielkopolaninem, zawsze Polak Polakowi brat, a cóż dopiero, jeśli z jednych stron pochodzą! Tak tedy stanął między nimi ów *vinculus* szczerej przyjaźni, która z dnia na dzień przy poznawaniu się bliższem rosnąc a potężniejąc, tem bardziej między młodymi, jako Bożą wolą zwykle, a ludzką koleją, musiała się w afekt serdeczny przemienić.

Spostrzegli to i pani generałowa Morawska i książę; ten zaś, jak wiadomo, szczególne w swataniu mając upodobanie, chciał im też zaraz

stanie pede, wyprawić wesele; ale nagłe przejazdy i gorące sprawy konfederacyi, jakoteż różne misye, które IMP. Domański w interesach księcia sprawować musiał, nie dozwalały zamiaru tego doprowadzić do skutku. Nadto, po wspólnej naradzie, jak pan Michał, tak i panna Paszkowska uznali oboje, że należało im pierwej porozumieć się i z krewnymi swymi i o przyszłości myśląc, zapewnić sobie dach jakiś i kawałek chleba, co jedynie za powrotem do kraju dopełnionem być mogło. Wszystko więc na dalszy czas prolongowano, a jeśli jakie *pacta* stanęły, te były chyba w cichości między młodymi postanowione.

Tak się rzeczy miały, gdy cały dwór księcia po długiej peregrynacyi stanął w Nieświeżu.

Cała Litwa, jak wiadomo, upominała się na sejmie 1776 r. gorąco i natarczywie o amnestyą dla księcia i oddanie mu dóbr wszelkich, ziem i powiatów, w instrukcyach i laudach sejmikowych punkt ten surowo, a w szczególności zalecony mieli. Można przeto łacno imaginować sobie, jaki ruch powstał, gdy wieść gruchnęła stugębna, że książę stanął już w starożytnej swych przodków siedzibie. Prócz sióstr księcia i całej niemal rodziny, kto mógł tylko i kto

zdołał, bogaci i ubodzy, magnaci i szlachta na powitanie jego do Nieświeża spieszyli. Przez tygodni kilka w mieście i okolicy gwar i ruch był jakoby na jarmarku jakim, odpuście albo sejmiku. W pałacu od rana do nocy czekały na gości zastawione stoły, a muzyka i salwy z dział i ręcznej broni towarzyszyły nieustannym wiwatom.

Domański tedy, wpadłszy w ten gwar i zamęt został na uboczu, ciesząc się wszelako z jednej strony nadzieją rychłego już dojścia zawczasu ułożonych ślubów, z drugiej, radując się ze szczęśliwego pod egidą księcia powrotu z onej włóczęgi w strony rodzinne, gdzie co krok i co chwila spotykał krewnych, znajomych i dawnych przyjaciół. Tak też między wielu innymi natknął się zgoła *insperate* i na IMPana Tadeusza Czudowskiego, miecznika Słonimskiego, który przybył do Nieświeża z żoną i dwiema córkami, a wiedzieć trzeba, że Jejmość Pani miecznikowa była cioteczną matki pana Michała. Stosunki te były dawne i wielce serdeczne; ucieszyli się miecznikostwo niezmiernie, ujrzawszy krewniaka, o którym od lat dziewięciu już i słuch był zaginął; witano go jakoby z innego świata przybywał. Jakoż, i tak było rzetelnie,

boć to IMPan Michał mało nie uniwersum całe spenetrował, snując się z księciem razem, albo i sam, wysyłany będąc wzdłuż i wszerz Europy, począwszy od Czech i Morawy, zwiedzając Węgry, Saksonię, Francyę i Włochy, a nawet na Multanach będąc i na Wołoszczyźnie, a wreszcie i w samym Stambule, dokąd też jeździł z listami księcia wojewody. Nuż go więc wypytywać o tych tam stronach i ludziach, o przypadkach i ewentach różnych, a zwłaszcza też panny, z których młodsza, Ewusia, urodziwa wielce, figlarna, a ciekawa i śmiała, jak wzięła IMP. Michała w obroty, nie miał od niej ani chwili spokoju.

Dopatrzyła się tego panna Paszkowska na asamblach wieczornych w pałacu, gdzie miecznikostwo przez dni kilka bywali, i biorąc za płochość te niewinne IMPana Michała rozmowy, mocno to do serca przyjęła; ale nie rzekłszy nic, postanowiła, jak to mówią, pięknem za nadobne odpłacić; i przyszło jej to bez trudności, bo do niej, jako muchy do miodu, garnęła się młodzież. Kręcił się tam właśnie pan Antoni Tarasowski, towarzysz husarski, panna więc, lubo to jak się zdaje na przekorę tylko czyniła, jego

sobie obrawszy, jak to chłop był pokaźny, poczęła mu dość jawnie preferencyą oddawać.

Trzeci to już bal był w pałacu, na którym znajdowali się Czudowscy; książę otoczony przyjaciółmi i domownikami, starszymi zwłaszcza, gdy już w materyi publicznej rozmowa się wyczerpywała, a ten i ów jakiś koncept rzucił, rad był gościom niezmiernie i przy rzęsistych kielichach niesłychane dziwy prawić począł o owych cudzych krajach, po których tak długo peregrynacyę odprawiał, i o przygodach osobliwszych, jakie tam go spotykały. W drugiej sali obok brzmiała muzyka, tańcowano ochoczo. IMPan Michał w one pląsy niewiele się bawił, ale rad był z każdej okazyi, aby widzieć się i pomówić z narzeczoną. Choć go więc szczebiotliwa krewniaczka, Ewusia, na wesołej przytrzymywała gawędce, wyrywał się jej kilkakroć, szukając oczyma panny Karoliny i ze zdziwieniem spostrzegał zawsze, że jak dnia wczorajszego, tak i dziś ów IMPan Tarasowski nieodstępnie jej asystował.

Przykre jakieś uczucie ogarnęło pana Michała; zrazu jakby gniew, żałość i oburzenie. Jako człowiek jednak stateczny, zastanowił się nad tem głębiej i nie poczuwając się zgoła sam do ża-

dnej winy, a nie mogąc posądzić o płochość swojej narzeczonej, wytłómaczył to sobie lekkością i niejakiem IMPana towarzysza husarskiego zuchwalstwem; jakoż z niejednej on awantury dla gładkiego liczka był znany.

Zdala więc zrazu na wesoło rozmawiającą parę spoglądał, chcąc się później na uboczu z Tarasowskim lub panną rozmówić; nie wytrzymał jednak, krew w nim kipieć zaczynała, zbliżył się więc do rozmawiających.

— Państwo się, widzę, wesoło bawicie? — zapytał z przymuszonym uśmiechem.

— Bardzo — odrzekła sucho panna.

— Cha! cha! — zaśmiał się szerokiem gardłem Tarasowski — czemu się nie mamy bawić? Gdzie jest dwoje, tam do zabawy trzeci zgoła niepotrzebny.

Na te słowa zaczerwienił się pan Michał, ale się zmitygował.

— Tak waszmość myślisz?! — rzekł dobitnie, a rzucając na kawalera pogardliwe spojrzenie, zwrócił się do panny Karoliny.

— Czy i pani to potwierdzasz?

— Cóż to może waćpana obchodzić? — odrzekła panna.

— Mnie? — mówił pan Michał — a prawdziwie... dziwne to zapytanie!

— Dziwić się waćpan nie potrzebujesz — odrzekła panna — jak ja się nie dziwię, że i pan tak się wesoło od przyjazdu do Nieświeża zabawiasz...

— Ja? zabawiam się!... przepraszam...

— Cha! cha! cha! — przerwał rubasznym śmiechem pan towarzysz — nie przepraszaj waszmość, nie gniewamy się...

Tu już cierpliwości panu Michałowi zabrakło.

— Mój panie — rzekł, głos nieco podnosząc — nie wesel się, bo nie waćpana przepraszam, ani nawet do waćpana gadam.

I zwrócił się, odchodząc dalej.

Ruszył się na krześle Tarasowski, ale panna, widząc, co się święci, wstrzymać go zapewne musiała.

Domański tymczasem, wzburzony, rzuciwszy rozmawiającą parę, skierował się do drugiej sali, zkąd wiwaty i wesołe dolatywały śmiechy.

Tu rej wiódł książę jegomość, w złotym humorze otoczony gronem biesiadników.

U końca długiego stołu siedział właśnie w szerokiem a wygodnem krześle; postać i tuszę miał okazałą i majestatyczną prawie; twarz duża,

przeciągła, nos długi, trochę garbaty, rudawy wąs opuszczał się z nad ust grubych i odętych, na których igrał uśmiech drwiąco żartobliwy, stosujący się do lekko przymrużonych oczu; stanowiło to jednak dziwną sprzeczność z całą postacią księcia, ze spokojnie podniesioną głową i resztą twarzy, która zdawała się największą powagę wyrażać [1]).

Książę lubo na codzień ubierał się bardzo skromnie, choć zawsze schludnie, w dymowy kontusz i takąż zieloną kurtkę latem, a w podobne ubranie, lecz sukienne zimą; do gości wszelako, albo na festyny lubił występować bogato i strojnie, czyli to w mundurze swoim albańskim, żupan niebieski a kontusz barwy słomianej, lub też w mundurze województwa wileńskiego, jako i teraz właśnie. Miał więc na sobie granatowy kontusz z przedniego holenderskiego falendyszu z karmazynowemi wyłogami i żupan również karmazynowy z altembasu w złote drobne smugi, spinka i guziki rubinowe, oraz bogaty pas per-

[1]) Portret księcia współczesny, olejny, niezłego pędzla a nadzwyczaj charakterystyczny, znajduje się w zbiorach autora w Romanowie, pochodzi z Białej na Podlasiu, Radziwiłłowskiej niegdyś rezydencyi.

ski, co się wszystkiemi barwami tęczy połyskiwał.

IMPan Michał Rejtan, że to był gospodarz zawołany a poufały księcia, bo wychowywał się z nim razem jako i brat jego Tadeusz, pytał właśnie wojewody, czy tam gdzie w cudzych krajach widział piękne majątki i czy szlachta jest bogata?

— Szachta? panie kochanku — powtórzył książę — zkądże ci to, mój panie Michale, przyszło do głowy? Co tam za szlachta! szwaby, panie kochanku, w Czechach... piwowary, w Węgrzech... masztalerze i winiarze, we Francyi... kucharze; we Włoszech... cukierniki! albo jeszcze i gorzej! We Florencyi, panie kochanku, poznałem jakiegoś grafa Ricci, mówiono, że to jest wielki familiant, a to, panie kochanku, on i nazwisko ma od tego, że na swoim folwarku całą perceptę wyciąga z takiego ziela, co się *ricinus* nazywa i z przeproszeniem na purgans daje! No, i za ręce mnie ściskał, a ja, panie kochanku, jak się o tem dowiedziałem, trzy dni mnie potem w brzuchu coś burczało!

Tu, gdy się wkoło śmiać poczęto, książę tymczasem pociągnął z kryształowego, dużego kielicha spory łyk lekkiego reńskiego wina, bo

już natenczas był węgierskie zaniechał i ręką wąsy otarłszy, ozwał się znowu:

— Jednak, panie kochanku, muszę to przyznać, że mi się dość podobała Wenecya; miasteczko niczego, jest jeden kościół piękny i pałace nieszpetne; ale to wszystko, panie kochanku, jak nasze bobry... moczą w wodzie ogony, a niechlujne jak żydy i cebulą śmierdzą. A ta cała jakoby respublika i senatory, to wszystko łyki! Jakoż, panie kochanku, i ten sam pan Doża nielepszy. Poznałem się z nim dobrze; wieczorami codzień grywaliśmy sobie w maryasza do puli; a żonę ma, panie kochanku, sekutnicę kapryśną, co go codzień zimną wodą oblewa.

— Tam też poznałem się z jedną syreną, która do mnie co wieczór z morza wypływała; bardzo przyjemna była osoba! Ogadano mnie później, panie kochanku, że z nią ślub jakoby wziąłem, ale ja wiem na pewno, że tę plotką puścił pan starosta Ziółowski [1]) z tej racyi: Raz do mnie w piątek powiada Doża: „Wiesz co, wojewodo, każemy sobie na wieczerzę rybki nałapać,“ a że ja, panie kochanku, jak asaństwo

[1]) Michał Pac, później starosta kowieński.

wiecie, pasyami lubię patrzeć, kiedy ryby łowią, więcem go namówił i poszliśmy na brzeg morza przyglądać się na to *spectaculum*. Jadą tedy, panie kochanku, rybacy, zarzucili sieci raz... niema nic, zarzucili drugi raz... niema nic, aż za trzecim razem ciągną, że niewody trzeszczą, dopływają niedaleko brzegu, wyciągają na łódź — coś się ogromnego rzuca, rozchylają... panie kochanku... *obstupui!* Patrzymy, aż to... biskup morski, *pontificaliter*, w infule i z pastorałem! — kubek w kubek, panie kochanku, jak nasz Szafraniec![1]). Zmieszaliśmy się oba z panem Dożą; on mi szepce do ucha: „czy prosić go na wieczerzę, czy nie prosić, bo niewiadomo, czy będzie ryby jadł;“ a tu tymczasem ów biskup odwraca się do mnie i zaczyna grozić. „Ej, mój wojewodo — prawi — bałamucisz mi synowicę, ale daj pokój, bo z tego nie będzie nic, a za karę jeszcze półtora roku będziesz się wałęsał pomiędzy tymi głupimi szwabami, nim do Nieświeża powrócisz.“ Na mnie, panie kochanku, pchły pozdychały, zląkłem się haniebnie; tymczasem lud, niebożęta

[1]) Tak książę zawsze nazywał Massalskiego, którego cierpieć nie mógł, i nie bez racyi.

poklękali na brzegu, suponując, że on im jakąś oracyę prawi morskim językiem; więc ów biskup, panie kochanku, zwraca się i benedykując, odzywa się już po łacinie z wielką powagą: „*Mirabilis est Deus in terra, sed mirabilior in mari,*“ a w tem, panie kochanku... plusk w wodę... i tyleśmy go widzieli!

— Otóż — kończył dalej książę — ztąd i cała plotka poszła, bo niktby był o tej syrenie, panie kochanku, nie wiedział, ale starosta rozpaplał i jeszcze amplifikując rzecz, dodaje, jakoby ona później sześć beczek śledzi urodzić miała!

Gdy w gronie otaczającem księcia śmiano się i bawiono, tymczasem IMP. Tarasowski po odejściu pana Michała, pozostawszy z panną, chciał przerwaną rozmowę nawiązać nanowo, ale mu się już to wcale nie wiodło. Panna Paszkowska z wesołej stała się poważną i zadumaną i zbyła kawalera krótkiemi tylko, a zimnemi słowami. Wstał więc zachmurzony a gniewny i skierował się do drugiej sali, szukając oczyma swego przeciwnika; jakoż, ujrzawszy go niebawem rozmawiającego w kółku znajomych, przystąpił żywo.

— Mości panie Domański — rzekł z miną junacką — mamy z sobą do pogadania.

IMP. Michał, głowę nieco podniósłszy, popatrzył nań pogardliwie.

— Co waćpan masz do powiedzenia — odrzekł — tego nie wiem, ale ja czekałem właśnie waszmości z ostrzeżeniem, żebyś się na cudze dobro nie kwapił, bo panna Paszkowska jest moją narzeczoną.

— Narzeczoną? — powtórzył nieco zdziwiony towarzysz, ale po chwili dodał lekceważąco: — e! co mi tam! póki niepoślubiona, każdemu droga wolna.

— A ja mówię waszmości, że niewolna — rzekł, głos już podnosząc pan Michał — niewolna, bo ja na tej drodze stoję.

— Tak! — wybuchnął Tarasowski — a! to się rozprawimy.

— Owszem, choćby zaraz.

Tu znajomi poczęli mitygować zwaśnionych, zrobił się niejaki huczek, szczęściem, że zdala od głównego stołu nadbiegł też i pan marszałek Sabański; całe to grono winem i sprzeczką rozgrzane wytoczyło się przed pałac.

Noc była lipcowa ciepła, miesięczna i jak dzień prawie jasna.

Napróżno przyjaciele i znajomi starali się zwaśnionych pogodzić, albo rozstrzygnienie spra-

wy do jutra odłożyć, żadne perswazye na nic się nie przydały i zapaśnicy zaraz, *eo instante*, na placu, pozrzucawszy kontusze, wzięli się do szabel.

Walka trwała niedługo; IMP. Michał niedarmo był konfederatem, a choć dla spraw księcia w ostatku więcej w politykę bawić się musiał, wprawy jednak nie postradał wcale i miał rękę potężną. Lubo więc junaka udawał IMP. towarzysz husarski i wąsami straszył, a nawet silnie nacierając z początku, ciął gdzieś wedle ramienia nieszkodliwie pana Michała, wnet jednak dostał po łbie raz tak potężny, że gdyby nie ruch jeden szczęśliwy w bok, od którego się Domańskiego szabla obśliznęła, byłby tam z pewnością na miejscu pozostał. Skończyło się to potykanie wszelako pomyślnie na obciętej jeno nad uchem skórze i ogłuszeniu, od którego się *immediate* Tarasowski z nóg zwalił. Rzucili się wszyscy, sądząc, że zabity, ale się wnet uspokojono i sprawę całą na razie po cichu zatarto, aby nie psuć zabawy i księciu się nie narażać.

Przycichło to więc, jak makiem siał, a IMP. Domański tegoż wieczora, przekonany wrzekomo o niestałości swej narzeczonej, księcia tylko sa-

mego pożegnawszy, nazajutrz, a raczej w nocy jeszcze, bo nadedniem, z Nieświeża wyjechał.

Udał się więc naprzód do brata swego młodszego, w Brzeskiem mieszkającego, któremu w r. 1768 do konfederacyi idąc, ojcowiznę puścił i miał u niego na prowizyi półtora tysiąca dukatów lokowanych; z tych tedy 500 na nową gospodarkę wziąwszy i nie zabawiwszy tam nad dzień jeden, ruszył pod Słuck na objęcie przyszłej siedziby, owych Szulaków, wydzielonych mu tak łaskawie przez generalny zarząd dóbr księcia.

Wszystko to załatwił IMPan Michał prawie w ciągu tygodnia, rzucając się jakoby w gorączce, uderzony niespodzianym ciosem, który w jednej chwili i jednym zamachem zdawał się niszczyć najpiękniejsze jego, wypiastowane przez całe lata nadzieje. Złamał go i jakby cały świat przed nim zawarł ów nieszczęśliwy i zgoła nieprzewidziany wypadek. Cały duch jego i wszystkie uczucia zdawały się skupiać i ścieśniać do jednego, w głębi serca zamkniętego i ukrytego ogniska boleści, tem cięższej, im ona większą stanowiła sprzeczność z różowemi wspomnieniami tak świeżej przeszłości, a co cięższej jeszcze, że i obrazy z tych dni, choć tak niedawno minio-

nych, z pod władzy wyobraźni nawet usuwały się coraz bardziej mgłą zmąconego ducha przysnute.

Obrzydł mu świat i ludzie i rad był, cieszył się niemal, zdążając w Słuckie, że mu z dóbr księcia nie dano jakiegoś folwarku, ale ów „zaścianek,“ po którego nazwisku sądząc, miał prawo spodziewać się jakiegoś cichego a odludnego ustronia, w któremby mógł, jak żółw w swej skorupie zasklepić się, nie widzieć i nie słyszeć, co się wkoło niego dzieje.

Do podniesienia jeszcze tych uczuć niemało się też przyczyniły i polityczne wypadki w kraju, a upadek sprawy, której IMPan Michał wraz z księciem bronił do ostatka. Dziś, widząc rolę swoją skończoną i zawiedzione wszelkie nadzieje, chciałby był chyba zostać rośliną... kamieniem, niczem! Z takiemi uczuciami ludzie albo sobie we łby strzelają, albo się zamykają w klasztorze. Na pierwsze nie pozwalały panu Michałowi prawa Boskie, które czcił święcie jak szczery „barszczanin,“ a *sodalis marianus;* klasztor zdawał mu się jeszcze za ludnym, wolałby był chyba pustelnię i chciał ją znaleźć w owym zaścianku.

Jakoż, w tym razie przynajmniej los mu jak najszczęśliwiej usłużył.

Zaścianek, zwany Szulaki, dependencyą był znacznego folwarku Chrzanowa i stanowił również niegdyś przytułek, erygowany umyślnie przez księcia hetmana Kybeńkę, dla któregoś z zasłużonych dworzan Radziwiłłowskiego domu.

Kącik to był prawdziwie odludny i zapadły wśród borów; niewielki, kilkadziesiąt morgów ledwie wydartej na pola nowiny i wonnych łąk leśnych obejmujący. Sam dworek tulił się u brzegu gaju, rzuconego jakoby kępa jaka śród tej całej polanki i sianożęci przyległych; zwieszały się nad nim potężne konary lip starych i brzóz białych powiewnych, które zmięszane razem, a miejscami gęstą podszyte leszczyną, osłaniały ów dworek od zimnych wiatrów z północy i dawały karm a przytułek pracowitym pszczołom w dość sporej poza domem pasiece. Ciasno ogrodzone podwórko, zamykało w sobie nieliczne, nizkie, o strzępiastych strzechach gospodarskie zabudowania: domek, chatkę dla czeladzi, obórki, stajnie, parę szop i gumno, a przy samej już bramie piętrowy lamusik i studnia z żórawiem. U wjazdu, pobożny snać Radziwiłłowski stary emeryt, postawił krzyż z męką Pańską, dziś już

omszały i zczerniały, otaczając go czterema świerkami, które rozrósłszy się bujnie, wysoko już strzeliły pod niebo.

Dzień się miał ku schyłkowi, kiedy IMPan Michał do zaścianka dojechał, a rozejrzawszy się wkoło, tak był rad z tego zacisza, że zdało mu się, iż jak Litwa szeroka, nicby na ową dobę lepszego dla siebie dobrać nie potrafił.

W progu powitał go nizki, gruby, a krępy, z siwą czupryną i równo przy ustach obstrzyżonemi wąsami, stary ekonom, pan Sopoćko; skłonił się i w żołnierskiej postawie, milcząc, zdawał się oczekiwać, co mu nowoprzybyły zwiastuje.

Zwrócił się ku niemu pan Michał.

— Waćpan jesteś podstarościm tutejszym? — zapytał.

— Tak jest, proszę łaski pańskiej — odparł ekonom — Antoni Kościesza Sopoćko do usług wielmożnego pana.

— A ja jestem Domański, mam intromisyę do tego zaścianka.

— Chwałaż Panu Bogu, że wielmożny pan przybył! — zawołał Sopoćko, ręką z ukłonem sięgając do kolan IMPana Michała — jest o tem dyspozycya ze skarbu, ja tu już codzień wyglą-

dałem wielmożnego pana, bobym też, bez urazy, i o sobie chciał coś wiedzieć; święty Jan już minął... a ja, ot tak i nie wiem...

— Bądź waćpan spokojny — przerwał mu Domański — pan Mikuć zapewnił mię, że jesteś człowiek uczciwy, więc jakeś gospodarował dla skarbu, tak i dla mnie będziesz. Masz waćpan żonę?

— Mam, wielmożny panie, i dwoje dzieci.

— No, to tylko jeden kładę warunek, żeby żona waszmości dla mnie też była gospodynią i dawała jeść, bo ja mam z sobą tylko, ot, tego wyrostka, co go aspan widzisz, no, i woźnicę; za tę usługę wynagrodzę i będziem żyć jak Bóg przykazał.

Uśmiechnął się uradowany pan Sopoćko.

— Dziękuję wielmożnemu panu, kiedy taka łaska jego; służyć będę wiernie, ja tu każdą miedzę znam, bo już bez trzynaście lat, od śmierci nieboszczyka starego Łopacińskiego, chorążego, co tu mieszkał, gospodaruję. A zględem jadła, co się tknie mojej żony, to upewniam wielmożnego pana, że moja baba tak warzy co kundy panie! że lepiej i sam Turczyński, nieświeski kuchmistrz, nie potrafi. Tu, proszę łaski pańskiej, raz książę z polowania

wstąpił bardzo głodny, kuchnia nie pośpieszyła, bo konie woźnicę potłukły, zląkłszy się strzelania, więc moja baba naprędce jak zrobiła jajecznicy z kiełbasą, to książę zjadł całą misę, dał jej dwa dukaty, a potem opowiadał łowczy pan Kamieński, że książę pan mówił, co mu się ta jajecznica b e z trzy dni przypominała! o!

Tu Sopoćko głową pokręcił i palec podnosząc w górę, dodał:

— To, panie, m u s i a ł a być jajecznica!

Tymczasem zdejmowano ze skarbnika paczki, sepety i węzełki podróżne, a IMPan Michał, poprzedzany przez ekonoma, zwrócił się z ganku do domu dla obejrzenia mieszkania.

Sień z wyjściem na drugą stronę na dwie równe części rozdzielała domostwo; z obu stron znajdowało się dwie izby z alkierzami, ta tylko była między niemi różnica, że na prawym boku był też i piec kuchenny; przezorny zaś Sopoćko, lubo pierwej cały domek zajmował, czekając teraz na nowego pana, ścisnął się na tej stronie, oczyściwszy i porządnie wybieliwszy mieszkanie na lewo. Izdebki były dość schludne, a jak dla samotnika aż nadto przestronne. Rupieci też IMP. Domański nie miał z sobą wiele: garderoba, makat kilka, rynsztunki rycerskie, parę

strzelb i gardłaczy, gdyż był zawołanym myśliwym, oraz paka książek jako rzecz, którą i nad polowanie nawet przekładał; oto i wszystkie sprzęty, z któremi przybywał; nadto para koni wozowych, jeden wierzchowy i jeden dla pachołka, stanowiły na początek gospodarstwa cały inwentarz pana Michała.

Folwarczek po obejrzeniu okazał się tak małym, że na nim szlachcic z rodziną nie bez trudności chyba wyżywićby się potrafił. Ale Domański był sam jeden, a fundusik własny, który posiadał, mógł zapewnić mu przy tym już gotowym chlebie byt niezależny. Ustronie to zaś tak mu się podobało, tak mu przypadło do smaku, że jak był znękany na duchu, a ciszy i samotności żądny, postanowił zamknąć się w tej pustelni, a losu zdradzieckich i zmiennych unikając kolei, wyrzec się ludzi i całego świata.

Czy godziwem jest samolubnie z pola walki schodzić, jeśli ona jest nieodzownym ludzkiego życia warunkiem? Czy w pełni lat i sił młodocianych można się wyrzec świata i całej, może najświetniejszej przyszłości? Niewiadomo, ażali te pytania zadawał sobie Domański. Nieraz w rozżalonem sercu bierze człowiek jakąś determinacyę, często i niebaczną, bo rozum ludzki

niezawsze się z więzów serca wyzwalać może; ale czas i wypadki częstokroć też łamią i najsilniejsze postanowienia, a przyszłość zawsze jest przed ludzkim wzrokiem zakryta.

II.

Tak znikł IMPan Domański z widowni nieświeskiego dworu, a ludziom byle z oczu tylko, to i z pamięci. Tego jednak aksyomatu wcale zastosować nie było podobna do IMPanny Paszkowskiej; rychło bowiem spostrzegła, że zawistnemu uczuciu w onej pierwszej chwili, bez żadnego ze swej strony przekonania, zadaleko pociągnąć się dała. A co więcej, że ten zwykły wojenny fortel białogłowski, którego tak niebacznie użyła, ośmielając Tarasowskiego ku sobie, nie jest ani bezpiecznym, ani szlachetnym wybiegiem. Jako więc każdy czyn ludzki niesie w sobie *in nuce* nagrodę lub karę w następstwach, tak też i panna Karolina, mając charakter stateczny, a do każdej istotnie płochości niezdolny, uczuła nagle cały ciężar ciosu, który na nią spadł, a wkoło siebie jakby ciemność

i próżnią bez końca. I znalazła się jak ów podróżny, który zaskoczony śnieżycą, traci ślad i drogę, co go wiodła do pożądanego celu i odtąd, lubo dalej zdaje się pospieszać, ani kroku jednak nie posuwa się naprzód, w błędnem jedynie i jakoby zaklętem obracając się kole.

Tymczasem Nieśwież po dziewięcioletnim ciężkim śnie ocucony, wrzał nowem, bujniejszem może niż kiedykolwiek życiem. Gdy bowiem w miejskim pałacu nieustannie zmieniały się tłumy gości wznosząc wiwaty na cześć księcia, bezwiednie prawie oddając hołd wytrwałości jego i poświęceniu się dla sprawy, którą, słusznie czy nie słusznie, sumiennie jednak za pożyteczną dla ojczyzny uważał; gdy plenipotenci i komisarze krzątali się, porządkując sprawy i zarząd dóbr ogólny doprowadzając do ładu; gdy setki gońców przybiegało i odjeżdżało na wsze strony; tysiące tymczasem robotników, mularzy, stolarzy, kowali, cieślów i budowniczych uwijało się około naprawy i podźwignienia uszkodzonej w zamieszkach krajowych twierdzy i znacznie zniszczonego zamku, który też niebawem zajaśniał niewidzianemi nawet przedtem bogactwami, blaskiem i przepychem.

Już tedy w następnym roku książę wojewoda

wraz z całym dworem wprowadził się do starej, a obecnie z gruntu odnowionej, swoich przodków siedziby; widząc zaś swój zawód polityczny na ową chwilę zamkniętym, szukał dróg nowych, któreby go zawsze do jednego prowadziły celu.

Fundował więc szkoły i kolegia dla młodzieży, zakładał fabryki w Słucku, Nalibokach i Nieświeżu, utrzymywał i amplifikował liczbę wojsk na usługi Rzpltej, ściągając z cudzych krajów nawet, zdolnych a wyćwiczonych oficerów, instruktorów i nauczycieli. Nadto, uważając za najzgubniejszy dla ojczyzny, nowatorski a wolnomyślny duch zfrancuziałego warszawskiego dworu, który wyszydzał staropolskie przodków obyczaje, książę, nie tając wcale swych myśli w tym względzie, postanowił, stałą rezydencyę obrawszy w Nieświeżu, cały swój wpływ wywierać na to, aby na Litwę przynajmniej nie dopuścić owej zarazy obczyzny, a wszelkie stare ojców obyczaje w nienaruszonej zachować całości. W tych więc pojęciach swoich, które najdobitniej, nietylko w słowach ale i w czynach objawiał, był wojewoda istotnie jedynym a najprawdziwszym przedstawicielem całej szlachty litewskiej, dla której też i hojnej nie żałując ręki, niebawem stał się jakoby prawdziwym jej królem i ulu-

bieńcem, pamięć o sobie na długie przekazując lata.

Ruch też był nieustanny na dworze książęcym; każda pora roku nastręczała inne do tłumnych zebrań i zabaw pobudki, a korzystały z nich najwięcej siostry księcia wojewody wraz z córkami i całem swem otoczeniem, dla których asamble, teatra, bale i festyny były najmilszem a może i jedynem zajęciem.

We dwa lata właśnie po powrocie księcia i owych powitaniach w miejskim nieświeżskim pałacu, o czem się mówiło wyżej. JW. generałowa Morawska pośpieszała do Słucka do Nieświeża; gdzie jako zwykle, miało się solenniter odbywać doroczne nabożeństwo żałobne za duszę ś. p. hetmanowej Anny, z domu Mycielskiej, kasztelanki poznańskiej, matki księcia Hieronima, alias wojewody macochy. Na ten dzień zatem, zbierała się cała rodzina, jako i we wszelkie inne większe anniwersarze. Trzeba zaś wiedzieć, że tego roku spodziewano się, iż nabożeństwo z większą jeszcze niż zwykle okazałością odprawionem będzie; czynił doń bowiem wielkie przygotowania ksiądz Katenbrink, eks-jezuita, niedawno właśnie naznaczony na bogate, bo z górą trzydzieści tysięcy złotych przynoszące probostwo nie-

świeżskie. Dał mu tę prezentę wojewoda wprost ze skromnej przedtem posady kapelana zamkowego, a co więcej, że ksiądz kapelan niedawno właśnie był się księciu nieco naraził.

Rzecz zaś tak się miała.

Książę bawiąc w Warszawie wraz z całym, jak zwykle, bardzo licznym dworem, miał też i księdza kapelana z sobą; bardzo go bowiem lubił i rad z nim gawędził często. Zgadało się więc raz coś przy obiedzie o Jezuitach, a na to książę:

— Ja, panie kochanku, podczas mojej peregrynacyi, jakem był na wyspach Jońskich, dostałem się razem z Łopuskim przez górę Etnę do piekła i widziałem tam, panie kochanku, siła Jezuitów, ale wszyscy siedzieli w szklanych butlach, zakorkowani szczelno, które też popieczętować jeszcze kazał Lucyper, bojąc się, aby mu dyabłów nie ponawracali.

Księdzu Katenbrynkowi, jako eks-jezuicie nie bardzo to się podobało, odrzekł więc żywo:

— Niechże książę jegomość conajprędzej z piekła powraca, bo ja się o niego mocno boję, gdyż wiadoma to rzecz, że *ex inferno nulla redemtio.*

Książe tedy, jako wielce nabożny, bo i szka-

plerz ogromny zawsze na piersiach nosił, o którym mówił, że w nim jest unia Litwy z Koroną zaszyta, był przytem i zabobonnym niezmiernie; tę przeto odpowiedź kapelana tak do serca wziął, że mu tam zaraz kazawszy od stołu wstać i na oczy pokazywać się nie pozwolił. Myślano więc, że już ksiądz kapelan zupełnie z łask wypadł; tymczasem zdarzyło się, że w dni kilka potem, nadeszłe z Nieświeża kresy, przyniosły wiadomość o śmierci tamtejszego proboszcza. Książę zaś natychmiast przyzwawszy pana Mikucia, kazał mu na to probostwo napisać prezentę dla Katenbrinka, dać mu cztery konie, kolaskę i dwieście dukatów na drogę, z poleceniem, aby niezwłocznie do Nieświeża śpieszył. A gdy kapelan dodnia nazajutrz odjechał, książę wzdychał i kiwał głową i utyskując mówił:

— Ot, panie kochanku, jaka to niestałość ludzkich afektów! miał u mnie ksiądz Kantenbrink spokojny chleb, żyliśmy po przyjacielsku, a on ledwie posłyszał o jakiemś intratnem probostwie, rzucił mnie i poleciał!

I nie było dnia, żeby nie wspominał o nim; gdy zaś książę do Nieświeża powrócił, jeszcze większą okazywał przyjaźń i poważanie dla swego proboszcza, który postaremu, codzień na zamku

być musiał a w potrzebie, gdy o co księcia nikt prosić nie śmiał, on to zawsze kilku rozumnemi a łagodnemi słowami wyjednać potrafił.

Jechała tedy JW. generałowa na one egzekwie, jak zwykle dworno, z dwiema młodziuchnemi jeszcze córkami, (z których jednę pojął później *in sociam vitae* JMPan Worcell, a drugą JMPan Łopot, obożny W. Ks. Lit.), z respektowemi pannami, fraucymerem i dworem. Ciągnęła się wielka landara w sześć koni, kolaski, szarabany i furgony; było to w poniedziałek dnia 24 julii, gdyż w tym roku 1780, wypadało świętej Anny we środę; dzień lipcowy był skwarny, a landara i tak dość ciężka, mieściła jeszcze w sobie pięć osób, prócz pajuka, woźnicy i kozaka na koźle. Choć więc konie były rosłe i doskonałe, piana z nich kawałami leciała, a wleczono się z tyłu za tą całą kawalkatą, która raźniej nieco pośpieszała; przy drzwiczkach tylko jechał jeden rękodajny dworzanin JMP. Ignacy Pióro, którego dwie siostry były na respekcie u JW-ej wojewodziny inflanckiej, Brzostowskiej, drugiej siostry księcia.

Pani generałowa Morawska była, jak to mówią, *hic mulier*, postawy dość wysokiej, dużo do księcia podobna, a lubo on był urodziwym męż-

czyzną, jej cale piękną nazwać nie było można; w ruchach, w głosie przygrubym, w obejściu się nawet, miała coś w sobie męzkiego. Jakoż i towarzyszyła księciu na koniu z pistoletami w olstrach, podczas onej sławnej pod Nieświeżem potyczki w roku 1764, gdzie też, jak opowiadano, było dość gorąco; i tam to jej JMP. Morawski wpadł w oko, że się bardzo dzielnie potykał. Niebawem też, kiedy książe prześladowany do cudzych krajów wyszedł na pierwszą swoję włóczęgę po świecie, księżniczka Teofila poślubiła sobie Morawskiego; o co pono była i z księciem lukta nie mała, ale już po harapie, a wojewoda później nie nazywał siostry inaczej, jeno mężem pana generała. Wszelako, pomimo swych gustów męzkich, JW. generałowa nadewszystko lubiła bale, stroje, teatr, polowania i zabawy; wiecznie też była w podróżach, odwiedzając krewnych i znajomych, bliższych i dalszych, a nie pytając czy zła, czy dobra droga, czy to dzień, czy noc; że z tych koni, które ona w swojem życiu zajeździła, możnaby było niejeden dobrze okryty pułk wysztyftować.

I teraz więc wybrała się ze Słucka dość późno z południa, lubo do Nieświeża liczą mil dziesięć z okładem. Zrazu cały tabor generałowej

pomykał się dość żwawo, ale słońce przed zachodem dopiekać poczęło mocno, a cisza była jakaś i parnota wielka; więc też po godzinie jazdy zaczęły konie folgować, ile że i gościniec w lesie był piasczysty, a przy tej spiekocie woźniców sen mroczyć poczynał. Tak gdy ciężka landara toczy się po miękkim piasku powoli a cicho, zdala, gdzieś od strony błót Pińskich, dał się słyszeć lekki jeszcze, ale przeciągły i groźny huk grzmotów.

Tu musimy nadmienić, że pani generałowa, lubo była bardzo odważną, piorunów jednak bała się niesłychanie i gdyby mogła tylko, przed burzą pod ziemię byłaby się schowała; miała też na grzmoty tak czujne ucho, że je najpierwsza zawsze posłyszała. I teraz więc, choć zarówno jak obie córki i obie panny respektowe i sama pani zdawała się przydrzemywać... nagle, podniosła głowę i ruszyła się nieco, zaniepokojona; zbudziły się i towarzyszki.

— Gorąco! — westchnęła generałowa, poprawiając włosy i zwracając się do panny Paszkowskiej — żeby tylko burzy nie było.

Panna Karolina wyjrzała z karety.

— Niebo zdaje się pogodne.

W tej chwili zagrzmiało silniej.

— O! a co, słyszysz? — rzekła niespokojnie pani Morawska i wychylając się z karety, skinęła na JMPana Pióro, który przymrużając oczy i kiwając się na kulbace, jechał niedaleko landary.

— Panie Ignacy! — zawołała — słyszałeś WPan? zdaje się, że grzmi.

— A grzmi, proszę pani generałowej — odrzekł dworzanin — o! już dawno.

— Czemużeś mnie waćpan nie powiedział? bylibyśmy gdzie zajechali, a tu w puszczy nie wiadomo co robić! Czy jest chmura? wielka? co?

— E, nie widać żadnej chmury — odparł spokojnie, rozglądając się pan Pióro — to bokiem przejdzie, a co się ujedzie, proszę pani generałowej, to zawsze zyskane.

— O! wy zawsze mówicie bokiem, bokiem; a potem mnie to prawdziwie bokiem wyłazi jak burza złapie.

Tu zagrzmiało już mocno i słychać było parę silniejszych uderzeń, a zaraz też i górą, wierzchołki drzew się ruszyły, jakby szmerem zadowolenia witały, po skwarnym dniu, deszcz, co się zapowiadał.

— A co! otóż macie! — krzyknęła przestra-

szona pani Morawska — stójcie! stójcie! czekajcie!

Woźnica huknął na forysia; landara się zatrzymała.

— Zmiłujcie się! — wołała pani nawpół już wychylona z karety — trzeba gdzieś zajechać, burza nas w puszczy złapie! okropna rzecz!

— Mnie się zdaje, proszę pani generałowej, że lepiejby pośpieszać — odrzekł pan Ignacy — tu zajechać nie ma gdzie, już będzie pół mili jak pominęliśmy Chrzanów.

Pajuk Sidor, niegdyś strzelec księcia, niemłody już, ze szpakowatym wąsem, wielki faworyt generałowej, stał przy drzwiczkach wyprostowany, spoglądając na panią z niejakiem współczuciem, gdy reszta służby w sekrecie uśmiechała się z tego przestrachu.

— Tu, proszę JWPani — ozwał się — jakby chcieć koniecznie, to można zajechać; niedaleko jest zaścianek Szulaki, gdzie się nieraz z księciem panem na polowanie stawało.

— Niedaleko?

— A, ot tu zaraz, na prawo — odparł Sidor, wskazując ręką — będzie drożynka, kawałek mały przez las, a potem już pole i zaścianek.

— Ale czy jest gdzie zajechać?

— Byłoby; tylko jak teraz jest, to nie wiadomo — odparł Sidor — bo ja tu był jeszcze za życia nieboszczyka Łopacińskiego, starego; a to już lat kilkanaście temu.

Tymczasem szum się wzmagał, również jak grzmoty i błyskawice, i deszcz już kropić zaczynał.

— A! to niema co! — zawołała generałowa, ze strachu nabierając determinacyi — ruszać do zaścianka! Niech Sidor siada na kozioł w miejsce kozaka, żeby nam drogę pokazać.

— Jeśli pani generałowa pozwoli — ozwał się pan Pióro — ja skoczę naprzód, bo kiedy tak, to trzeba choć furgon z rzeczami zawrócić.

— Jechać! jechać! — nalegała pani Morawska.

Woźnica i foryś klasnęli na konie, które lubo silne, dobrze się napięły, żeby dźwignąć z miejsca głęboko zarytą w piasku, ciężką landarę; ruszono wreszcie; deszcz puszczał się coraz rzęsistszy, burza nadchodziła grzmiąc, hucząc i miotając drzewami. Suche, porywane wiatrem liście, kołowały w powietrzu; za każdym grzmotem generałowa żegnała się pobożnie. Nieopodal zwrócono w bok na wązką, małoznaczną leśną drożynę, gdzie wielka karoca ledwie się mieściła,

ocierając się o zwieszone nad drogą i po bokach gałęzie. Ciekawe panienki, wyglądając przez okna, umykały co chwila, albo ze śmiechem obcierały twarzyczki i noski, po których mokre kiście drzew uderzały. Droga wiła się kapryśnie w prawo i w lewo. Zbliżający się wieczór, gęstwina lasu i chmury złożyły się na mrok dość ciemny, przy którym mocniej jeszcze olśniewały błyskawice, napełniając panią Morawską wzrastającym strachem.

Niebawem jednak rozjaśniło się w karecie, która wydostała się na odkrytą polankę, a tuż widać było i otulony lipami zaścianek.

Wąsaty woźnica, pan Bazyli, niegdyś prosty Wasyl, miał tu sposobność okazania co umie; przeprowadzenie bowiem ogromnej karety przez wązkie wrota, było godnem tego mistrza zadaniem. Wywiązał się jednak z niego chwalebnie, a długi cug poszóstny zręcznie, jakoby wężem skręcając na szczupłym dziedzińcu, zajechał pompatycznie przed skromny, zczerniałą strzechą pokryty dworek pana Michała.

Poczęto wysiadać śpiesznie; najpierwsza wyskoczyła żywo pani generałowa, na ten raz nagły nie posiłkując się nawet pomocą JWP. Ignacego, który jako rękodajny dworzanin z pewną

wprawą i wdziękiem pośpieszył, wedle prawideł, łokieć wpółzgiętej ręki do oparcia podstawić.

W sieni, otulona naprędce narzuconą chustką, mała, pękata pani Sopoćkowa, czekała już na niezwykłych gości, wystraszona niemniej aniżeli burzą sama pani Morawska; ukłoniła się nizko i otworzyła żywo drzwi na lewo do mieszkania pana Domańskiego, gdzie też weszły panie, za któremi wsunęła się nieśmiało i gospodyni, zatrzymując się u progu.

Chwilę trwało milczenie, podróżne oglądały się wkoło, poprawiając włosy i zmięte ubranie, ale niebawem generałowa zwróciła się do Sopoćkowej.

— Moja pani kochana — ozwała się — przepraszam, że was tak najechałam, ale taka burza okropna!... Pewno jesteś żoną podstarościego?

— A tak, proszę JWPani.

— Jakże asani mąż się nazywa?

— Sopoćko, do usług JWPani.

— A! Sopoćko — powtórzyła pani Morawska — czy niema go w domu?

— Koło gospodarki, ale on zaraz powróci.

— Wybaczcież — mówiła grzecznie generałowa — my tu już chyba będziemy musiały u was zanocować i narobimy wam kłopotu; a wi-

dzę — dodała, oglądając się wkoło — że wcale czysto i porządnie macie urządzone mieszkanie.

— E, bo to, proszę JWPani — odrzekła Sopoćkowa — to są pokoje pana porucznika.

— Jakiego porucznika?

— A, pana Domańskiego.

— Pana Michała Domańskiego? — spytała zdziwiona pani Morawska.

— A tak, proszę JWPani.

— *Tiens! ma chère!* — wykrzyknęła generałowa, zwracając się do panny Paszkowskiej — *entendez-vous?*

Panna Karolina zrazu wzruszona i blada, teraz już w oczach kraśniała do zbytku.

— *Mais savez vous, ma chère* — mówiła śmiejąc się pani — *c'est tout une aventure!*

I zwróciła się jeszcze do gospodyni:

— A gdzie jest pan Domański? może dokąd wyjechał?

— Ej, gdzie tam — odparła gospodyni — pan porucznik, proszę JWPani, jak tu jest dwa lata, to tyle co kilka razy do kościoła jeździł, a i to zawsze na obiad powraca; a teraz pewnikiem w lesie, bo już tak zwyczajnie, jak pojedzie rano, to na cały dzień.

Tymczasem nadbiegł Sopoćko i wyręczając

żonę, zaczął się krzątać około przyjęcia tak niespodziewanych gości; znoszono paki i paczki, landara wjechała do stodoły, a za nią i furgon jeden z najpotrzebniejszemi rzeczami, który przytomny pan Pióro, dopadłszy do całego taboru generałowej, zawrócił, rozkazując reszcie jechać dalej do Cimkowicz.

Panie, widocznie w oczekiwaniu gospodarza, co chwila na drzwi spozierając, zaczynały się jednak rozgaszczać powoli. Panna Paszkowska była nieco zafrasowaną, ale generałowa rada ze zdarzenia, śmiała się wesoło i co chwila szeptała coś do ucha pannie Karolinie.

Zciemniało już, kiedy JMPan Michał powrócił do domu, a dowiedziawszy się o gościach tak niezwyczajnych, posłał wnet chłopaka, aby mu pocichu z alkierza tylnemi drzwiami wyniósł odzienie, i przebrawszy się, pośpieszył na przywitanie pani generałowej.

Zabierały się właśnie, podróżne panie, do kawy i jakiejś w miejsce wieczerzy naprędce przekąski, do której, jako dla dam, pani Sopoćkowa, jak się zdaje, nie śmiała ofiarować swojej sławnej jajecznicy z kiełbasą.

Na widok wchodzącego gospodarza, panna Karolina, lubo zwykle panować nad sobą umiała,

na ten raz zdradziła się tak silnem wzruszeniem, że nie mogło ono ujść niczyjej uwagi. Generałowa powitała JMPana Michała nadzwyczaj uprzejmie, przepraszając za najazd, a usiłując go jak najdłużej na rozmowie zatrzymać. Ale pan Michał, lubo mu serce jak wosk topniało na widok dawnej narzeczonej, zaskoczony tak nagle i miotany najsprzeczniejszemi uczuciami nie był w stanie długo tej próby wytrzymać. Wkrótce więc, życząc podróżnym dobrej nocy, wysunął się z mieszkania, aby w samotności puścić wodzę myślom i wspomnieniom, do czego na ten raz dogodniejszą niż kiedy okazała się samotna i cicha izdebka na piąterku w lamusie, gdzie mu chłopak naprędce przyrządził mieszkanie.

Tymczasem na dworze ucichła już burza, a oddalając się gdzieś w stronę Kojdanowa i Mińska, pomrukiwała jeszcze gniewna i jakby nadąsana, że nie wszystkie gromy swoje na ludzkie wysypała siedziby. Bodaj jednak czy nie sroższa burza powstawała teraz w sercach dwojga dawniej narzeczonych, których najpierwej zbliżył wzajemnie daleko poza krajem nawet szumiący ów wicher wojny domowej, od wielu innych straszniejszy.

Rzucił się tedy na posłanie pan Michał;

kołatało mu serce, mąciło się w głowie, a cały szereg lat ubiegłych i wspomnień przeszłości począł się w pamięci i wyobraźni jego, jakoby jedną różnolitą wstęgą roztaczać. I zdało mu się, że jest znów w obozie JWPana Bierzyńskiego, i w owej potyczce pod Białymstokiem, gdzie Szyc, mężny madziar, roztropnością swoją a odwagą salwował sławę oddziału; i dalej, ów osobliwszy, zczerniały pod indyjskiem słońcem, dzielny Dzierżanowski, co jakby na to umyślnie z drugiej półkuli świata do konfederacyi przybiegł, aby wykryć niecne Bierzyńskiego zdrady i w łańcuszki go okuć; i dalej jeszcze przeprawy różne, i niebezpieczne imprezy, i po obcych krajach podróże, i generalność i Cieszyn i książę i siostry jego i dwór ten cały... a nakoniec, jakoby we mgle srebrzystej a lekkimi odbłyskami tęczy zabarwionej, ta postać sercu jego najmilsza, spokojna, poważna, a tak uroku i powabu pełna, dla której poświęciwszy życie w wysłudze, tułał się po wszystkich kątach świata. Już miał sięgnąć po tę ukochaną rękę, gdy nagle... ujrzał się wśród jakiejś puszczy ciemnej i głębokich moczarów, poczerniało niebo, wiatr zawył, zerwała się szalona burza... wir, ciemności, zamęt... biją pioruny za piorunami. W chwi-

lowem świetle błyskawic miga jeszcze niekiedy ginący w oddali obraz jakiejś wiotkiej postaci... aż uderza nowy, i widzi swój samotny a cichy zaścianek w płomieniach. Palą się gumna, stajnie, obory, słychać ryk bydła i wołania ludzi... chce biedz na ratunek, jakaś go niewidzialna przytrzymuje siła. Zrywa się wreszcie... oblany potem, zmęczony snem ciężkim, i ogląda się wkoło.

Przez małe okienko lamusa wkradały się właśnie pierwsze różowe promienie cudnego letniego poranku; na dziedzińcu już się krzątano: pastuszki z wczesną rosą wypędzali w pole stada, skrzypiał żuraw u studni, przy której pojąc konie gwarzyli woźnice, a pan Sopoćko donośnym głosem wydawał rozkazy czeladzi.

Ciężki sen minął, ale wnet przybiegła na myśl i chwila obecna. Przypomniał sobie ostatni bal w Nieświeżu przed dwoma latami i zastanowił się raz jeszcze nad tem, że może naówczas niedość rozważnie i oględnie postąpił, że się uniósł zbytecznie. Nie należało może przez te dwa upłynione lata, gryząc się sam w sobie i brodząc po bezludnych ostępach, toczyć tak uporczywej walki z własnem sercem, co się praw swoich dopominało. Mógł pojechać, widzieć się i rozmówić z narzeczoną, która... kto wie? może

na niego czekała? a pewno nie szukała nowych ludzi i związków, skoro i dziś jest swobodną. Niedawno jeszcze myśli takie z goryczą odrzucał; dziś zamienionych kilka słów obojętnych nawet, kilka spojrzeń przelotnych ugięło go i złamało.

Westchnął głęboko, żal i tęsknota kamieniem na sercu leżały.

Duszno mu było pod dachem: wyszedł.

Ranek był pogodny, ciepły, promienisty; po burzy wszystko zdawało się uśmiechać i nowem, odświeżonem życiem napawać, począwszy od trawki aż do lip starych, jakby w odświętną, połyskującą przybranych szatę. Jakaś bezwiedna otucha i nadzieja nieokreślona spłynęła nań z tym jasnym i uroczym porankiem. Rosa srebrno-perłową siatką okrywała murawę, a kropelkami o migotliwych barwach spływała z liści drzew i z brzegów strzechy starego domku oblanego purpurowem światłem wschodzącego słońca.

W domku cicho było jeszcze; tylko przez otwór jednej z przymkniętych okiennic błyszczało jaskrawe światło odbitych w szybie słonecznych promieni; jakoby gwiazdka jakaś spadła z wysokiego nieba i uwięziona pod tą skromną strzechą ubogiego zaścianka.

I pomyślał sobie pan Michał, czy tak nie jest w istocie? Czy nie spłynęła już tam prawdziwie ta gwiazda, co mu przed laty zabłysła, a odtąd ma na drodze przyszłego życia przyświecać.

Zadumany skierował się ku domowi i usiadł na ganku, walcząc z sobą i usiłując pokonać wzruszenie w oczekiwaniu chwili, kiedy będzie mógł swoich gości powitać.

Zatopionemu w myślach czas ulatywał bez rachuby; już się krzątano w domku oddawna i okiennice otwarto, a IMP. Michał siedział nieruchomy, nie słysząc może i nie widząc co się wkoło niego działo. Nagle drzwi się uchyliły i na progu ukazała się panna Paszkowska, a spostrzegając gospodarza, żywym ruchem chciała się wstecz cofnąć do sieni, ale już było zapóźno, bo ją spostrzegł gospodarz.

— Dzień dobry — rzekł, podnosząc się pośpiesznie z ławki.

Dalej, zawahał się; słów mu na razie zabrakło.

Panna Karolina lubo niemniej zrazu zmieszana i zarumieniona mocno, prędzej jednak oprzytomniała witając Domańskiego uprzejmym uśmiechem.

— Ach! jak tu pięknie, cicho i spokojnie — rzekła — w tym pańskim zaścianku; a myśmy pana tak najechały... i nikt nam nawet nie powiedział kto tu mieszka! pani generałowa tak się burzy boi! narobiłyśmy panu kłopotu...

— Kłopotu?! — powtórzył p. Michał — ale gdzież tam... owszem...

Słowa mu się urywały znowu, walczył jeszcze z myślami.

— Kto wie — dodał wreszcie z westchnieniem — może to los tak zrządził... umyślnie... dla...

Panna Karolina, milcząc przez chwilę, podniosła nań spokojne i pogodne oczy.

— Los!? — odrzekła — może... ale... czyż pan koniecznie na niego czekać potrzebowałeś!

— Ha... nie wiem — odparł p. Michał — cóż miałem robić?... odepchnięty, wzgardzony...

— Pan?!... chyba przeciwnie, jabym mogła coś podobnego powiedzieć, widząc grzeczności, jakiemi pan obdarzałeś pannę Miecznikównę.

— Miecznikównę!? — zawołał zdumiony, nie pojmując zgoła o kim mowa, pan Michał — jaką Miecznikównę? na Boga!...

Zdziwienie to pana Michała, tak szczere i nie-

udane, dziwne też na pannie Paszkowskiej uczyniło wrażenie; zafrasowała się i stała milcząca.

— Jaka Miecznikówna? — nalegał p. Michał — cóż to jest?... nie rozumiem...

— Panna Czudowska przecie; pan jej nie odstępowałeś prawie.

— Ależ to dziecko! moja najbliższa krewna, siostra; nie widzieliśmy się lat dziewięć, cóż dziwnego? czyżby to mogło być powodem tej... tej zmiany, jakąś mi pani wtenczas okazała?

— Ha! — odparła z wesołym już prawie uśmiechem panna Karolina — cóż pan chcesz?... to nasza broń... użyłam jej może zbyt pośpiesznie... może nierozważnie. Wolałżebyś pan, żebym była... obojętną?... później... czekałam jakiegoś słowa, wyjaśnienia... napróżno...

— Wybaczże mi pani — przerwał drżącym głosem wzruszony p. Michał, żywo podając rękę — możem i ja zawinił, z uniesienia... z goryczy... Zapomnijmy już o tej nieszczęsnej chwili! Niech się te ciężkie dwa lata w naszem życiu nie liczą.

Panna Karolina, niemniej wzruszona wyciągnęła rączkę, którą p. Michał skwapliwie do ust przycisnął.

Jeszcze się splecione dłonie z przeciągłego

nie rozerwały uścisku, kiedy na progu ukazała się generałowa.

— A! dzień dobry państwu! nie tracicie widzę czasu! — rzekła wesoło; a spoglądając bystro to na pana Michała, to na pannę Paszkowską, dodała żywo — więc zgoda? co?

— Zdaje się — potwierdził nieśmiało Domański.

Generałowa zwróciła się jeszcze do panny.

— Jakże?

— A no! *Dieu merci!* — zawołała pani Morawska — *avoyez-donc ma chère Caroline*, no, jakie to ja miałam szczęśliwe przeczucie, żem tu zajechała! Śmiejecie się ze mnie, że się burzy boję! *Et pourtant!* nie mogła ona przyjść w lepszą porę; książę będzie bardzo kontent jak się dowie; *je vais lui raconter cette aventure*. Spodziewam się — dodała, kończąc i zwracając się do pana Michała — że nasz pustelnik zawita wkrótce do Nieświeża.

Tu, ciekawa panna Mirska, także respektowa generałowej, wybiegła do sieni, pod pozorem, że już kawa gotowa; służba zaczęła się uwijać z wynoszeniem rzeczy, i niebawem, ciężka landara pani Morawskiej, furgon z rzeczami i nie-

odstępny JMP. Pióro znajdowali się już na gościńcu do Nieświeża wiodącym.

Domański długo stał na ganku, ścigając wzrokiem oddalających się gości, a gdy wszedł do mieszkania zdziwił się, że przez dwa lata prawie, które tu przepędził, nigdy mu się ono tak pustem i smutnem nie wydawało.

Niespodziewana ta zmiana kazała mu myśleć o przyszłości, która lubo rokowała dawniej wymarzone szczęście, dziś jednak napełniała pewnym niepokojem; gdyż przez tych lat parę JMPan Michał, zapominając o świecie i niedbając o jutro, a żyjąc na owym szczupłym zaścianku, prawie z grosza tylko, zaniedbał też i sprawy swoje tak dalece, że z niepokojem rozmyślać począł nad sposobami zapewnienia bytu już nie dla siebie tylko, ale i dla tej, która mu na całej drodze życia towarzyszyć miała.

III.

W naszej szkole kadetów, założonej przez księcia w Nieświeżu, nauki wojskowe udzielali nam, jakom wyżej rzekł, major Dufort, Belmont

i Moranti, na inne zaś chodziliśmy do szkoły pojezuickiej, w której natenczas rektorem był ksiądz Huniewski. Na wakacye letnie kilkunastu z nas, uboższej szlachty, często zostawało na miejscu w konwikcie, na chlebie księcia; lekcyi już wszelako w tym czasie nie było, tylko częste musztry i ćwiczenia wojskowe, na które książe patrzeć lubił i często nas do zamku nawet powoływał a nieraz i łaskawie z własnych rąk obdarzał. Codzień bowiem IMP. Koszczaj stary kasyer nieświeżski, przynosił księciu rano dziesięć dukatów w złocie, które wojewoda wrzucał do długiej zielonej sakiewki i do kieszeni chował, mając to na różne drobne wydatki. Nieraz też pokazując te dukaty i niby skarżąc się mówił:

— Ot, panie kochanku, jak mnie te plenipotenty wzięli, na co zszedłem! dają mi tych kiepskich kilka czerwonych złotych; więcej, panie kochanku, miałem jakem na Wołyniu służył za kuchcika u pani Łazowskiej.

Co słysząc raz pan Leon Borowski, rzekł:

— Książe wczoraj mówiłeś, że u pani Gałeckiej.

A książe na to:

— Ty-bo zawsze panie Leonie, panie ko-

chanku, szukasz do mnie przyczepki; a to przecie wiadoma rzecz, że pani Łazowska owdowiawszy, poszła później za Gałeckiego, przez co ja i służbę, panie kochanku straciłem.

IMPan Domański, jako mój powinowaty, lubo daleki, po matce, odwiedzał mnie z początku kilka razy w konwikcie, ale później zaniechał i jakem go stracił z oczu, nie widziałem rok z górą, aż zjawił się dopiero w tym roku 1780-ym ku końcowi lipca, co jak się później dowiedziałem, skutkiem było owej burzy, która panią Generałową zagnała do zaścianka pana Michała.

Jakoż rok ten dość gorący obfitszy był od innych w burze i pioruny, które nietylko latem ale i pod jesień w końcu septembra trafiały się jeszcze.

Rok ten był również głośniejszym niż inne w Nieświeżu, z racyi odwiedzin różnych osób dostojnych, a ztąd przyjęć hucznych, balów, fajerwerków i festynów, oraz kilku wydarzeń, które się w mej młodocianej pamięci trwalej zapisały, ile żem był ich świadom, a w części i własnemi na nie patrzył oczyma. Dzień zaś szósty augusta, który wypadł w niedzielę na samo Wniebowstąpienie Pańskie, pozostanie dla mnie na zawsze niezapomnianym. W sobotę bowiem, przed-

tem wyzwany będąc przez owego książęcego dworzanina olbrzyma Chocianowskiego, dla żartu i krotochwili na próbę ręki, jedynie z renomy, żem się dobrze składał na szable, nietylko, że mu się tknąć nie dałem, alem go jeszcze lubo lekko po łapie naznaczył. O czem nazajutrz dowiedziawszy się książę, tak był rad, że mi *eo instante* kazał wypłacić sto złotych, które też zaraz z rąk JMPana Koszczaja otrzymałem; co dla mnie chudopachołka było sukursem nie małym; a prócz tego dał mi własną ręką na pamiątkę szablę bardzo piękną, a tak wyśmienitą i cnotliwą, że mam ją po dziś dzień. Jest ona teraz zostrzona i węższa niż była, w czem niema dziwu, bo mi się wysłużyła zacnie począwszy od Szczekocin i Racławic, potem w Hiszpanii pod Tudellą, Almonacid Olivenca i Berlago, gdzie osobliwszy zdarzył się wypadek, że kamrat mój i przyjaciel duszny, Piotr Rogojski przestrzelony był na flankierach poniżej serca na wylot, i doktorowie kazali mu koniecznie umierać, a on im na przekór w krótkim czasie wyzdrowiał i dłużej żył od tych, co go na tamten świat wyprawiali. Po powrocie zaś z Hiszpanii jeszcze mi owa cnotliwa szabla służyła pod Możajskiem i pod Berezyną. Z dobrej snać pochodziła ręki,

kiedy, tak mniemam, przydała się przecież na coś, a i mnie też w wielu ciężkich potrzebach i różnych wojennej fortuny alternatywach wywiodła bez szwanku. O tych wszelako czasach i sprawach dziś mówić nie warto, ba! i nie wiem azali się nawet godzi; bo teraźniejsi mędrkowie nazywają dziś szaleństwem albo głupstwem to, za co my niegdyś w najwznioślejszym zapale, z dobrej woli i ochoty nieśliśmy łzy, krew i życie nasze na ofiarę. Jako więc o tych dzisiejszych mięszańcach, co się pod prawych synów miano podszywają, przepowiedział mędrzec Pański, że: „narodzeni z ciała będą prześladować tych, co wedle ducha“ [1]), a w drugiem miejscu, że: „ich Bóg jest brzuch“ [2]), tak oni właśnie i swoją drogą idąc, dyabłu albo jego plenipotentom służąc, a na świętości nasze plwając, nie dziw, że preferują za piecem siedzieć, o sobie myśleć tylko i nie mogąc w czem innem, w bluźnierstwach jeno szukać rozgłosu. Ale otem *satis*.

Owóż dnia 6-go augusta, jak opowiadali dworzanie wojewody najbliżsi, Kamiński, stary

[1]) Święty Paweł do Galat. Roz. 4. *p. A.*
[2]) Święty Paweł do Filipen. Roz. 3. *p. A.*

Romanowski, Lebel i inni, książę wstawszy rano i porządkiem, wedle zwyczaju, odmówiwszy ze swej małej łacińskiej agendki pacierze, ponakręcawszy ulubione swe przeróżne zegary i pektoraliki usiadł do kawy, którą gdy kończył znak był, że już mogą przychodzić oficyaliści dworu, plenipotenci i komendanci z raportami i z papierami, które księciu do podpisu podawano. Tu dla ciekawości podać muszę, że Bakowski, szatny księcia albo czasem Lizmeder kamerdyner, dawali znać azali książę jest w złym albo dobrym humorze; w pierwszym razie szedł tylko kto musiał, w drugim cisnął się kto mógł. Tego zaś dnia książę wąsa pomuskał z uśmiechem, Bakowski wróżył dobrze, więc i ruch się rozpoczął na pokojach żwawy. Stawił się tedy naprzód JMP. Devil, komendant zamku, raportując księciu, że wczoraj późno po capstrzyku, gdy nikomu bez wiedzy komendanta z fortecy ruszać się nie wolno, spostrzeżono, że ktoś chodził po wałach; straż więc rzuciła się zapobiegliwie i mężnie, i złapano... kozę, która niewiadomo zkąd i jakim sposobem tam się dostała, a że to było przeciw przepisom, komendant przeto skazał ją na rozstrzelanie, co też i punktualnie spełnionem zostało. Książę, uśmiawszy się z tego

raportu, gorliwość i skrupulatność komendanta pochwalił i w jeszcze lepszy wpadł humor. Po Devilu przedstawił się księciu opiekun mój JMPan starosta słucki, już z gorszą nieco nowiną, że się w Słucku kilkanaście domów spaliło. Wymawiał mu JW. wojewoda i uwagi czynił, że straż ogniowa, która we wszystkich dobrach księcia była ustanowioną, nie musiała być w porządku, na co JWPan Niepokojczycki odparł żywo:

— Co do straży, to zaręczyć mogę WKMości, że u mnie w Słucku już taki jest porządek przyjęty, iż na 24 godzin przed każdym pożarem, cała straż w pogotowiu stoi!

— Otóż widzisz mój starosto, panie kochanku — rzekł na to książę — właśnie to jest źle; bo straż tak długo czekając, głodna i zmęczona, nie może dobrze ratować; dość, panie kochanku, jak na dwanaście godzin naprzód będziesz miał ludzi do ratunku gotowych.

Tu zjawił się JMPan Sabański, marszałek dworu, i wedle raz nazawsze przyjętego porządku, założył księciu kartelusz ze spisem potraw, które miały być podane na obiad i na wieczerzę; co gdy książę aprobował a nie było nic więcej do raportowania, marszałek zwykle odchodził; ale na ten raz, zmieszany nieco i frasobliwy, z nogi

na nogę przestępując, chrząkał i niby zbierał się coś powiedzieć, ale mu snać brakowało odwagi. Spostrzegł to książę, więc wnet zapytał:

— No, cóż tam się stało? panie kochanku, bo już widzę, że waść masz jakąś nowinę, która ci się w gębie nie mieści i przez gardło nie przełazi.

— Nowina — ozwał się wreszcie Sabański — istotnie jest, proszę księcia, ale taka... że jeszcze u nas podobnej nie było.

— Hę? panie kochanku, cóż to takiego? gadaj wręcz bez obrzeczków, a nie chodź tak pod płotem, bo ja tego nie lubię.

Pan marszałek chrząknął jeszcze, snać dla nabrania odwagi.

— Proszę księcia — ozwał się — Saplikiewiczówna [1]) znikła...

Książę poruszył się w krześle żywo.

— Co? znikła Andzia? jakto znikła? jużci dziewczyna, to, panie kochanku nie kamfora; a i tak, miała przecież bardzo piękny pieprzyk na lewym policzku!

— Otóżto — zauważył Sabański — ten pie-

[1]) Najlepsza i najpiękniejsza tancerka natenczas z Nieświeżskiego baletu. *p. A.*

przyk, proszę księcia, nie jednego palił; musiała się z kimś wykraść, boby przecie sama tak nie umknęła.

— Gdzie? z kim? kiedy? panie kochanku.

— Chocianowski mówi, że wczoraj wieczorem była jeszcze w domu, odwiedzali ją tam i obaj panowie Larzaki.

— A on zkąd wie?

— Bo pono chodził także do niej z wizytą.

— Cha! cha! cha! — zaśmiał się książę — to także „chryć do patyny!"

— Petineti bardzo zmartwiony — mówił marszałek — powiada, Saplikiewiczówny w balecie nikt nie zastąpi.

— A no, pewnie, że nie Chocianowski, panie kochanku — odparł książę — ale mniejsza o to! łatwiej o nogi niż o głowę! a powiedz waszmość Petinetemu, że gdyby się znalazła, niechże jej nie bierze napowrót, bo w pośpiesznej drodze nogi sobie nadwereży i... już się będzie ciągle potykać.

Gdy to się na zamku działo, nam w konwikcie kazano wdziać paradne mundury i poszliśmy na nabożeństwo do fary; zjazd był dość liczny i widzieliśmy gości niemało, zkąd też miarkowaliśmy, że pewno będą asamble, albo jakaś

zabawa; uradowaliśmy się przeto, gdy rektor oznajmił po wyjściu z kościoła, że i nam książę przed wieczorem kazał się na zamek stawić.

Racya zaś, jak się okazało, ta była, że ktoś księciu dawniej rozpowiadał, jako król Jegomość sprowadził sobie do Warszawy pewną, nowej inwencyi machinę tak osobliwą, że bez żadnego zgoła paliwa, aby nią tylko pokręcić, sypać miała iskry haniebnie potężne i jakoby nawet tej samej substancyi, co są błyskawice i pioruny; tak, że te iskry nietylko ogień wzniecić mogły, ale nawet i duże zwierzęta, a choćby, broń Boże, i człowieka zabić były w stanie. Książę tedy, wezwawszy księdza Rekwarta, fizyka, profesora naszego, zapytywał go, ażali to może być prawdą? Na co, gdy ksiądz fizyk dał odpowiedź afirmatiwe, książę natychmiast kazał pisać do Paryża, aby mu takąż samą machinę do Nieświeża przysłano.

Owoż, właśnie przed kilku dniami nadeszła była ta osobliwa, jak ją zwano „elektryka," i tej niedzieli miały być, przez naszego ks. Rekwarta *publico* czynione *experimenta*, na które książę sprosił co bliższych sąsiadów, i gości, jakoteż i nam i wszystkim profesorom stawić się kazał, ile że to rzecz była godna widzenia i jakoby

nowa sciencya, której uczącym się zaniedbywać nie należało.

Stawiliśmy się tedy ze starszyzną naszą około czwartej godziny z południa na zamku, gdzie już było obywatelstwa i gości niemało; oprócz sióstr JW. wojewody, z dziećmi i księcia Hieronima, podkomorzego W. Ks. Litewskiego z młodą żoną, Niemką, którzy właśnie co byli z rezydencyi swojej, z Białej, przyjechali, oraz księcia Macieja Radziwiłła, krajczego W. Ks. Litewskiego, był pan Rzewuski, starosta; Sołohub, koniuszy nowogrodzki; Lopot, oboźny; Plater, kasztelan trocki; Slizień, podkomorzy słonimski, jakoteż najbliżsi księcia wojewody przyjaciele, sąsiedzi i domownicy; więc JMPan Michał Rejtan, Borowski, Odyniec, Wendorf, Mogilnicki i wielu innych, których zapamiętać trudno.

Kiedyśmy na zamek przyszli, a byli z nami nauczyciele i przełożeni, ksiądz rektor, major Dufort i Belmont, oraz księża: Osiejowski i Wobec; JW. wojewoda, obejrzawszy się i widząc, że niema jeszcze Morantego, co nam lekcye rysunków udzielał, zapytał, gdzieby on był i dlaczego nie przyszedł? Wszyscy się oglądali wkoło i nikt odpowiedzieć nie umiał; aż wysunął się pan marszałek, oznajmując, że posyłał właśnie,

dając znać Morantemu, który miał w zamku kwaterę, ale okazało się, że go w mieszkaniu niema; a co więcej, ani jego rzeczy żadnych; w izbach zaś śmiecia tylko trochę, kawałki sznurków i papierów, zkąd znać było, że się w drogę pospiesznie pakował.

Usłyszawszy tę relacyę książę, zaśmiał się, machnął ręką i głową skinął tylko, jakoby zrozumiał rzecz.

— A, no — ozwał się — to już teraz wiadomo, z kim Saplikiewiczówna uciekła! Szczęśliwej drogi!

I zwracając się do Dewila, dodał:

— Mości komendancie, panie kochanku, waszmość kozy strzelasz, a nasza forteca, jak karczma przy drodze; Moranti haniebnie cię wywiódł w pole, bo ci jednę kozę pod nos puścił, żeby mógł łacniej z drugą uciekać!

Jakoż i w samej rzeczy okazało się później, że Moranti wykradł tę pannę i zawiózł ją do Petersburga, gdzie jakoby w dworskim balecie Imperatorowej Jejmości figurować miała. Książę jej nie bardzo żałował, bo zbyt tusząc o sobie, stała się była kapryśną, do występów nieraz kazała się prosić i przez to zabawy psuła. Ale byli tacy, co po jej odjeździe w wielką aprehen-

syę popadli, a najbardziej JMPan de Larzac młodszy, który długi czas po niej melankolizował. Ten byłby się z nią i ożenił, czego pono wcale nie uczynił Moranti. I to rzecz dziwna, że Saplikiewiczówna wzgardziła Larzakiem, który był człek z kościami poczciwy i całą gębą chłop piękny, preferowała zaś Morantego, lubo ten był cale szpetny i niebardzo już młody. Takie to są gusta białogłowskie dziwne! To wszelako dodać trzeba, że Moranti miał bystrość i dowcip wielki do rysunków, budownictwa, muzyki, szczególnie zaś umiał wycinać nożyczkami sylwetki, alias konterfekty osób z czarnego papieru; notabene, trzymając ręce za sobą, i to tak podobne, jakoby żywe, utrafiał. Ja sam mam taką jednę księcia wojewody, drugą JMPana Rejtana, a trzecią, z pończoszką w ręku, starej Typerschirchowej, co była niegdyś guwernantką sióstr wojewody i na łaskawym chlebie w zamku siedziała, a miała już lat z dziewięćdziesiąt i książę ją zawsze z Chocianowskim swatał.

Pierwszem tedy zdarzeniem tego dnia była ucieczka Saplikiewiczówny z Morantim; drugiem zaś, najważniejszem dla mnie, łaska księcia i dar jego tej cnotliwej szabli, o czem się wyżej mówiło, i co mnie tem większą przyniosło chlubę,

że na to patrzał dwór cały i tyle dostojnych a dystyngowanych gości. Zaczem ksiądz Rekwart przystąpił do eksperymentów z „elektryką,“ które się wszystkim wielce podobały i dziwowano się nad temi osobliwszemi sztukami, inni się też i żegnali w sekrecie. Był zaś i taburecik niejakiś ze szklanemi nogami, na który kilku odważniejszych siadało, a gdy ich się kto dotykał, iskry z nich wypadały, z rąk, z nóg i z twarzy nawet. Na ten eksperyment namówiono też i starostę nieświeżskiego Wessla, który był dość śmiesznej postury i powszechnie zwano go „peruką,“ że się zniemiecka nosił z wielką pudrowaną fryzurą. Ten gdy siadł na owym taburecie, a zakręcono w machinie, wszystkie włosy na owej peruce poczęły się naprzód poruszać, potem jeżyć i jak druty powstawać do góry, wachlując się tam i sam, jak zboże na łanie, z czego powstał taki śmiech generalny, że się obecni bardzo długo uspokoić nie mogli. A starosta tylko się oglądał wkoło, nie wiedząc zgoła, o co chodzi. Przyniesiono też potem związanego sporego byczka, któremu, gdy ksiądz Rekwart jednę iskrę w łeb, czyli też w nos puścił, ta go na miejscu zabiła; ale gdy rzucał się i drgać już począł, zdychając, białogłowy krzyk wielki

podniosły, jako widok to był dla nich niemiły i przerażający; książę zaś zabitego cielca destynował na psiarnię. Przeciągnęły się te eksperymenta dość długo, kręcili tam i efektów próbowali różni, a sam wojewoda, na ostatku, upodobawszy zabawę, najwięcej. Ksiądz Rekwart zaś, jako *peritus* i w naukach biegły, tłumaczył przyczynę rzeczy, że to jest rzetelnie taż sama siła i substancya, którą widzimy w burzach, błyskawicach i piorunach. Jakoż prawdziwie okazywało się i światło w wężykach jaskrawych i trzask niejakiś i był nawet zbliska pewien zapach siarczysty, który wielu spektatorom dawał do tej sztuki awersyę. Zaraz też ozwał się stary JMPan Chomiński, stolnik oszmiański:

— Acańtwo mówicie, że to ciekawa rzecz, może to być, ale, mosanie, to te Francuzy bezbożniki i farmazony wymyślili. Oho! w tem musi być jakaś siła nieczysta... Pfe! nawet siarką śmierdzi! upadam do nóg acańtwu! ja, mosanie, i znać tego nie chcę!

Śmiano się tedy nieco z JMPana stolnika, czyniono wszelako doświadczenia dalsze, a gdy naładowano wielką z flaszami bateryę, wypadały z niej strumienie ognia w łamanych zygzakach, jako istne pioruny; aż wtem, nagle... grzmieć

poczęło naprawdę i na burzę się zbierać. Wszyscy tedy w popłochu rzucili się wstecz od onej machiny, i okna w sali poczęto zamykać, bo i wicher się zrywał. Zląkł się nieco i sam książę nawet; zwołano więc natychmiast służbę i wojewoda kazał wszystkie te przyrządy w mgnieniu oka wynieść i w piwnicach postawić.

Tak się skończyły owe doświadczenia, któreśmy naonczas pierwszy raz widzieli. Był też na zamku tego dnia i JMP. Michał Domański, dla którego wszelako, jakom dobrze uważał, oczy panny Paszkowskiej lepszą były elektryką, niż ta, nad którą myśmy się dziwowali. Zaraz mi też powiedział, że już wszystko, co do małżeństwa jego, postanowiono i dzień wesela na niedzielę 27 augusta naznaczony. Że zaś to były wakacye, uprosił tamże na zamku będącego pana Duforta, aby mnie uwolnił, gdyż chciał, abym z nim do Szulaków jechał, gdzie mógłbym mu być pomocnym w wielu przygotowaniach, które na przyjęcie przyszłej żony czynił.

Ucieszyłem się wielce z tej nowiny i dziękowałem serdecznie panu Michałowi, że o mnie pamiętał, bo mi, przyznaję się, cały rok ślęcząc nad książkami, a na bruku siedząc, tęskno już było niezmiernie za polami i lasami, a szczegól-

nie za strzelbą i polowaniem. A tu właśnie nazajutrz na noc miał do Szulaków przyjechać łowczy książęcy, JMP. Piotr Kamiński, a z nim JMPanowie Borowski i Morawski Mikołaj, brat generała, i miano obrzucić na próbę jednę knieję sieciami, gdzie się wilki gnieździły, czyniąc haniebne szkody w okolicy.

Tegoż samego dnia przeto, wieczorem, kiedy już deszcz ustał i burza się uspokoiła, wyjechaliśmy z p. Michałem z Nieświeża, radzi, że miasto piec się na dziennym skwarze, pojedziemy nocą i chłodem; a choć do zaścianka było mil siedm z okładem, spodziewaliśmy się stanąć na miejscu nad ranem.

Noc też po burzy miesięczna, jasna i cokolwiek nawet chłodna, w sam raz była do jazdy sposobną. Lekkim skarbniczkiem, gdzie i ja mój węzełek wrzuciłem, pobiegliśmy żwawo, ile że dobre konie pan Michał lubił, a tę parę właśnie kupił był niedawno od JMPana Czudowskiego, który miał sławne stado, co się i dzieciom i wnukom zostało, jak mi zapewniano.

Jeśli kiedy na świecie był człowiek szczęśliwy, to nim chyba naówczas nazwać należało JMPana Michała; przez całą drogę z Nieświeża aż do Cimkowicz, mil prawie cztery, rozpowiadał

mi tylko o swojej narzeczonej; jak w swym cichym zaścianku stara się, zabiega i przygotowywa na jej przyjęcie i co mu jeszcze do zrobienia pozostaje. Wzdychał wprawdzie, że go plenipotenci księcia, może mimo wiedzy i woli pryncypała, zbyli tym lichym i drobnym zaściankiem, że przez dwa lata, żyjąc jakoby bez jutra i swojej własnej znacznie uszczupliwszy fortuny, będzie musiał zapewne szukać jakiegoś większego folwarku w arendę, aby się na nim lepszego kawałka chleba dorabiać; wszelako pocieszał się przyszłego szczęścia nadzieją i ufnością w łasce Bożej, że pracę jego pobłogosławi.

Ja go się też rozpytywałem o cudze kraje i podróże, które odbywał, bom był tego bardzo ciekawy, na co pan Michał odpowiadał ochotnie, gdyż i to go zwracało do wspomnień pierwszego spotkania się i poznania swojej narzeczonej; człowiek zaś zakochany jest jako igła magnesowa, którą bądź jak postawić, zawsze się ona w jednę stronę zwraca.

Tak dojechaliśmy do popasu mało co po północy; tu przespawszy się trochę w karczmie, nim konie zjadły i odpoczęły, przededniem jeszcze, około drugiej godziny, ruszyliśmy dalej. Ale zakosztowawszy snu, już nam się wcale nie

kleiła rozmowa, kiwając się przeto na skarbniczku i drzemiąc przez resztę drogi, dojechaliśmy tak aż do puszczy przed Szulakami, gdzie nas dopiero rozbudził korzenisty w lesie gościniec, a zwłaszcza, gdyśmy się z niego zwrócili na wązką drożynę, która do zaścianka wiodła.

Naprzód zbudził się pan Michał, dał mi pod bok szturchańca i rzekł, poziewając:

— No, dosyć spać! już niedaleko do Szulaków; byłeś u mnie kiedyś, moją chałupę widziałeś, zobaczysz teraz, jak ją wyporządziłem! Jak szklaneczka wygląda! Dobudowałem dwie izby, trochę się i przętów dostało; powiadam ci, aż miło popatrzeć! Koczobryk też nowiuteńki, doskonałej konstrukcyi, dostałem od Czudowskiego, chomąta na modelusz lipskich, kończą już rymarze w Słucku. A będziesz mnie musiał pomódz w porobieniu niektórych porządków w domu; mam i kobierczyki i makat parę pięknych, trzeba jeszcze i ściany trochę przyozdobić.

Rozbudzony przez pana Michała, przetarłem oczy; musiało już być około szóstej godziny, bo słońce się dość wysoko wzbiło i zaczynało dogrzewać, a w gęstwinach, przez które nas wiodła drożyna, po wczorajszym deszczu, podnosiły się

lekkie opary, roznosząc rozkoszną woń ziół leśnych, która mnie, com się wśród puszcz i borów wychował, a teraz na miejskim bruku tak długo zostawał, zdawała się, jakoby nektarem niebieskim, i jak ów szczupak, co go świeżo z wody wyrzucą, chciałem ją całemi ustami i piersiami połykać.

Ledwie jednak podjechaliśmy kawałek mały na tej bocznej dróżce, a konie też po wybojach i korzeniach zwolniły kroku, aż ów cudny zapach, którym się tak delektowałem, ustąpił jakiejś ostrej woni spalenizny i dymu. Zaraz tez ozwał się pan Michał, pociągając nosem:

— Coś tu dym słychać, pewno bestye pastuszki ognisko gdzieś nałożyli; na taką suszę niebezpieczna to rzecz, mogą las podpalić; czujesz?

— Czuję — odrzekłem — nawet coraz mocniej, to musi być niedaleko.

— Jeśli to nie będzie blizko naszej drogi — mówił Domański — to jak tylko przyjedziemy, muszę posłać poszukać; bo jakby się, uchowaj Boże, las zajął, byłaby wielka szkoda, i nasz pan łowczy miałby roboty i strachu niemało.

Jechaliśmy dalej, dym coraz mocniej czuć było, ale napróżno oglądaliśmy się na strony,

żadnego ogniska nie dopatrzeliśmy nigdzie. Gdyśmy wreszcze z ostatniego w gęstym lesie skrętu wysunęli się na polankę i ujrzeli tuż przed nami zaścianek, nagle i jednocześnie ja, pan Michał i woźnica wydaliśmy okrzyk zgrozy i przerażenia.

Przykry, bo też prawdziwie i smutny widok mieliśmy przed sobą.

Z całego zaścianka pana Michała stał tylko lamus, jedna szopka stara i studnia z wysoko sterczącym żurawiem, reszta... kurzące się i dopalające zgliszcza, parę gołych kominów i popioły, a nad tem szeroka warstwa ciągnącego się ku lasom dymu.

Po pierwszym okrzyku oniemieliśmy na chwilę; pan Michał, podniósłszy się z siedzenia, naglił woźnicę do pośpiechu; dopadliśmy wrót i powyskakiwaliśmy ze skarbniczka żywo. Nadbiegł wnet i Sopoćko, zziajany, ochrypły, zmęczony, czarny od dymu i sadzy, w posmolonem i poobdzieranem ubraniu.

Na dziedzińcu walały się w stosach sprzęty domowe, stoły i stołki powywracane, szafki, kufry, statki różne i drobne rupiecie pozgarniane z pośpiechu w kilimki, kołdry i obrusy, a powiązane czterema rogami do kupy. Ludzie z drą-

gami i bosakami zgarniali głownie i pilnowali dopalających się resztek budowli, z których gdzie niegdzie tylko sterczały nad ziemią osmolonych słupów kawałki.

Domek, chatka czeladnia, obory, stajnie, stodoła, wszystko poszło z dymem. Domańskiemu żywo stanął przed oczyma ów sen przykry podczas noclegu generałowej w zaścianku; teraz on dziwnym przypadkiem sprawdził się co do joty.

— Cóż to jest? zkąd ten ogień?! — wykrzyknął, spostrzegając ekonoma pan Michał, blady i przerażony.

— Nieszczęście! wielmożny panie — wołał Sopoćko, podnosząc ręce do góry — piorun jak palnął w oborę, to w mig już i obora i stajnia stały w płomieniach... Wczoraj, proszę pana, była godzina może piąta wieczorem... a potem zaraz i gumno i szopa; to jeszcze Bóg łaskaw, że mogliśmy zawczasu z domu rzeczy powychwytywać, bo zaraz i na dom przerzuciło.

— Cóżeście wyratowali?

— Z rzeczy i pańskich i naszych mało co przepadło, ale zboża, choć niewiele, inwentarz... het! wszystko się popaliło; ino trzy krowy i

jednego konia wyratowaliśmy, bo nie było dostępu.

— Jakim sposobem? — pytał pan Michał — o piątej, to dzień, inwentarz w polu.

— Jak się burza zerwała, przypędzili do domu; ratowaliśmy, proszę wielmożnego pana, jak mogęcy — mówił płaczliwym głosem Sopoćko — ale cóż... kiedy i ludzi do ratunku brakło!... Nieszczęście! niech ręka Boska broni...

Pan Michał z szeroko rozwartemi oczyma, przygryzając wargi, stał, milczący i zamyślony. Westchnął wreszcie głęboko, spoglądając wkoło.

— Ha! — ozwał się spokojnym już głosem — wola Boska! cóż robić... No, rzeczy trzeba poznosić do lamusa; moje wszystkie drobiazgi na górę i my tam się umieścimy.

Zaraz więc wzięliśmy się do roboty. JMP. Michał, jak się naówczas przekonałem, posiadał przeciw wszelkim losu ewentom jakoby pancerz podwójny: wielką moc nad sobą i rzetelną wiarę. Dlatego lubo pierwszy cios silną na nim uczynił impresyę, bo to jest rzecz ludzka, niebawem jednak odzyskał krew zimną i jak ów bystry potok, co napotkawszy na swej drodze przeszkodę, rozlewa się szeroko, nowego ujścia szukając, aż obiegłszy wkoło, wartko się już dalej toczy;

tak i on właśnie czynniej jeszcze, niż zwykle, wziął się do pracy, dążąc wytrwale do zamierzonego celu.

Zaczęło się więc jakie takie porządkowanie, znoszenie rzeczy i sprzętów; wnet posłano do podstarościego w Chrzanowie, prosząc o pożyczenie tarcic i słomy na szałasy i budy; a że zapasy spiżarniane wyniesiono z domu zawczasu, więc choć pod gołem niebem, a na gorącem jeszcze pogorzelisku i przy okopconym domowym kominie, wzięły się kobiety do garnków, nie potrzebując ognia szukać daleko. Zrobiło się niejaką dywersyę w lamentach pani Sopoćkowej, do których mniej miała czasu, zajmując się przygotowaniem obiadu; kiedy niekiedy więc tylko wzdychała, spoconą a frasobliwą fizys obcierając fartuchem.

Gdy ja pilnowałem znoszenia i porządkowania rzeczy w lamusie, gdzie izba na górze była wcale przestronna i jak na lato nawet wygodna, bo i komary tam nie dochodziły, Domański tymczasem, odnalazłszy papier i kałamarz, zasiadł pisać list do narzeczonej, donosząc jej o wszystkiem, żeby też i ona, ulegając bożym zrządzeniom, nie spieszyła się już z przygotowaniami do ślubu; brak bowiem dachu i pomie-

szkania, jako i znaczne poniesione straty, zmuszały do odłożenia wesela na czas późniejszy, którego obecnie nawet ani oznaczyć nie było podobna.

Urządzaliśmy się tedy jak można; szczęśliwie ocalony lamus i szopka, na uboczu stojące, dały na razie i nam i czeladzi przytułek. W domowych sprzętach i zapasach straty były nieznaczne, za co rzetelna pochwała należała się poczciwemu Sopoćce; w inwentarzu jednak, w zbożu i gospodarskich statkach a zapasach klęskę poniósł pan Michał tem cięższą, że szczupła substancya jego nie dawała nadziei rychłego, ani łatwego powetowania strat poniesionych.

W tym frasunku a krzątaninie prędko nam przebiegł czas do wieczora; ale na parę godzin jeszcze przed zachodem słońca ujrzeliśmy szaraban i wóz z myśliwymi, przybywającymi z Nieświeża, panem Borowskim, Morawskim i łowczym Kamińskim, ze strzelcami i służbą. Zdziwieni i zmieszani mocno panowie widokiem pogorzeliska i zniszczenia, powyskakiwali pospiesznie, otaczając nas i dopytując się o przyczynę pożaru.

JMPan Borowski jednak, który nigdy ani humoru, ani fantazyi na długo nie tracił, rozej-

rzawszy się po spalonym zaścianku, machnął ręką tylko i zwrócił się wnet do pana Michała:

— No, strata jest — rzekł — ale niewielka, bo i ten cały zaścianek... co on wart? Powiedz mi też, mój poruczniku — mówił, potrząsając głową — czy to już jest wszystko, coś od księcia za swoje zasługi otrzymał?

— Wszystko; parę włók gruntu, kilka tych strzech starych... ani złamanego halerza więcej nie wziąłem.

Pan Borowski ścisnął ramionami, robiąc dziwną minę.

— Wiesz co — mówił — to ciekawa rzecz! Przecie księcia hojność znamy, a z tego, co o tobie mówi i o czem nieraz wspomina, myślałem, żeś dostał wieś całą gębą! Ale to! dalibóg nie rozumiem!

Uśmiechnął się pan Domański.

— Ani ja też — mruknął zcicha — ale, trudna rada!

Na to wybuchnął niecierpliwie pan Leon.

— Ja przysiągłbym, że książę o tem nie wie!

— Jakże? przecie mi dożywocie podpisał — odparł Domański.

— Cha! cha! — zaśmiał się pan komornik — albo to nasz poczciwy książę czyta choć setny

papier z tych, co mu do podpisu dają? To przecie dobrze wiesz; tu jest albo pomyłka, o czem wątpię jednak, albo jakaś sztuczka! Jabym gardło za to dał.

Pan Michał machnął ręką niedbale.

— Nie każdemu to — rzekł — mój kochany komorniku, mieć taki majątek w zastawie jak waszmość masz od księcia Niehorełę, co i od dziedzictwa lepsze; możesz się śmiać i być dobrej fantazyi; ja tam przedtem żadnego z tych waszych plenipotentów ani komisarzy nie znałem; co mi dali, tom wziął, a zresztą, naówczas i niedbałem o to; ale dziś, mając się żenić, inna rzecz; spaliło się niby niewiele, a dla mnie to klęska, bo i dorobek ciężki i wszystkie nawet moje nadzieje w łeb wzięły; o ślubie teraz nie ma co i myśleć. Jak będziesz wracał, dam ci list do panny Paszkowskiej, bądź łaskaw jej oddać, żeby teraz darmo i przygotowań żadnych nie robiła.

Na to ozwał się pan Morawski:

— To niepotrzebnie czynisz, poruczniku, bo ja pewny jestem, że wam książę wyprawi wesele.

— A co mi potem? — odparł Domański — dokądże ja żonę zawiozę? Jużci trudno do tego

lamusa — dodał, wskazując ręką — bo tam i waszmościom nienajlepiej będzie, za co przepraszam i raczcie wybaczyć.

Wtem zawołał nagle Borowski, za rękę chwytając p. Michała:

— Kiedy tu była ta burza i pioruny?! wczoraj w wieczór? co?

— Wczoraj — pospieszyłem z odpowiedzią — myśmy z panem Michałem po burzy wyjechali z Nieświeża, a tu już zgliszcza tylko zastaliśmy dziś rano.

— Vivat! — zawołał znowu p. Borowski wesoło i potrząsając Domańskiego za rękę, mówił żywo:

— Słuchajże, poruczniku, bądź dobrej myśli, ja... no... nic ci teraz nie powiem, ale... kpem mnie nazwiesz, jeśli ci ten piorun nie przyniesie fortuny.

Domański, ruszywszy ramionami, uśmiechnął się gorzko.

— U ciebie-bo, kochany panie Leonie, wszystko jak po maśle; jeszczem ja nie słyszał, żeby kto majątek na piorunach zrobił.

— No, no — odparł Borowski — a ja ci mówię, nie aprehenduj tego wcale, bądź dobrej fantazyi, ręczę, że na tem nie stracisz. Księcia

przecież znamy dobrze... a ja... no, zobaczymy.

— Już to pewno — potwierdził p. łowczy Kamiński — że nasz książę panu porucznikowi z nawiązką straty bonifikować będzie; to niema co i gadać, i budowle każe postawić niechybnie.

— Eh! głupstwo! — przerwał pan komornik Słonimski — to nie w tem rzecz! No... ale my tu gadu, gadu — dodał — a jutro polowanie musi być.

— Dajże nam, panie Michale, wódki i co jeść, jeśli masz, bo się rozmową nie posilimy, a trzeba rano z gajowymi pomówić, żeby nie pospieszyli obrzucić sieci, póki wilki z żeru nie wrócą.

Poweselał tedy nieco p. Michał, bo to była rzecz wiadoma, że JMPan komornik Słonimski, jako z księciem w zażyłości i komitywie najlepszej będący, kogo wziął w swoją protekcyę, ten już na nią mógł wiele rachować; a czegoby nawet nieraz ksiądz Katenbrink rozumem i wymową nie dokazał, to podczas jednym konceptem pan Borowski sprawił.

Nazajutrz więc ruszyliśmy w las: polowanie się powiodło jak nie można lepiej, bo obrzuciwszy niewielką knieję na moczarach łoziną ob-

szytych, ubiliśmy dwie wilczyce i wilka, strzelcy dziewiętnaście szczeniąt z dwóch gniazd żywcem wybrali; te wziął z sobą w koszach pan łowczy, żeby księciu pokazać; a myśliwi, przespawszy się nieco, nazajutrz czyli we środę *summo mane,* bo przed wschodem słońca wyjechali już z powrotem do Nieświeża, gdzie JMPan Borowski stanąć chciał przed południem, w czem trudności nie było, ile, że konie do przeprzęgu na pół drogi w Cimkowiczach czekały.

Po odjeździe tych naszych gości, rzekł do mnie pan Michał:

— Poczciwy to człek ten Borowski, ale prawdziwie u niego czasem w głowie, jak po śliwkach! Jemu się zdaje, że on u księcia sprawi, co sam zechce! Ale choć książę, niema co rzec, dobry pan, i przyjacielski i hojny jak mało, wszelako, zawsze to pan... panem! jak fantazya i łaska, to do ciebie: „panie i bracie!“ a jak podczas to ten pan brat i za burą sukę niewart!

Na to ja na pocieszenie, ale sumiennie, tłumaczyłem panu Michałowi, że przecie to wszyscy wiedzą i świadczą, jako nasz książę nie tak zgoła, jak się to innym magnatom trafia, bez racyi nie postponuje żadnego szlachcica za ex-

cepcyą wszelako neofitów i niepewnego pochodzenia ludzi, lub wreszcie kiedy znajdzie się taki szaleniec, co z nim sam wojnę zaczyna.

— Nie przeczę ja — odrzekł mi znów pan Michał — że książę wychowawszy się z Rejtanami i pomiędzy samą szlachtą od młodości wzrósłszy, ma ten obyczaj odmienny i niepodobny też cale ani do stryja swego chorążego, ani do Czartoryskich niektórych, ani naprzykład do wojewody nowogrodzkiego, którego niechrześciańska nawet pycha tak dalece rozum zaćmiła, że zapomniał nietylko o tem, iż wszyscy ludzie są jednako ludźmi, ale i o tem nawet, o czem wszyscy wiedzą, że Jabłonowscy nie inną są szlachtą, jako ja i ty. Wszelako zważać trzeba i na to, że cale w innej estymie jest u księcia Rejtan, albo ks. kanonik Katenbrink, albo pan okolniczy smoleński, Płaskowicki, ludzie stateczni i cale poważni, aniżeli Borowski, który choć najlepszy człek, ale w łebetynie u niego jak w stodole na przednówku, a tylko szaloną fantazyą i wrodzonym dowcipem wojuje. Książę to lubi... czasem... wszelako, znam ja go nie od dziś i wiem dokumentnie, że innym on jest zgoła, niż to się ludziom w powierzchowności wydaje.

Tu ja przerwałem, czyniąc uwagę, że częstokroć ludzie z dowcipem a fantazyą dalej od najrozumniejszych zachodzą.

— Tak to mówią — odrzekł mi p. Michał — ale jeśli Borowskiego lubi nawet książę za koncepta, to i tego, uczciwszy uszy, kpa Łopuskiego także za toż samo; gdy z nim tedy komornik do pary staje, niewiele ja sobie tuszyć mogę po jego protekcyi.

Zmiarkowałem więc z tej rozmowy, że lubo pana Michała na chwilę JMPan Borowski pocieszył, nie pokładał on na nim wielkich nadziei, co też widziałem potem dobrze i z zabiegów jego w ratowaniu się po zadanej przez pożar klęsce, przyczem nie zdawał się wcale na niczyją pomoc rachować.

Tymczasem nasi panowie myśliwi, wyjechawszy z zaścianka tak właśnie, jak sobie JMPan komornik życzył, przed samem południem dojeżdżali już do Nieświeża, gdy spostrzegli cały szereg kolasek, szarabanów i jeźdźców, stanowiących orszak księcia, który w tym czasie zwykle, jeśli słoty nie było, codzień odbywał przejażdżkę; udawał się najczęściej do Alby, gdzie w zwierzeńcu kazał przy sobie karmić daniele, oglądał cieplarnię i menażeryę; szczegól-

nie lubiąc drażnić małpy, którym ponadawał różne przezwiska, przypominające pewne, niebardzo przez księcia lubione osoby.

Książę jechał w obszernej odkrytej kolasie, zaprzężonej w poszóstny cug białych andaluzyjskich koni, które nad inne przekładał i nigdy do podróży tylko do spaceru używał; woźnica powoził z konia z forysiem, jak zwykle, a za kolasą stało dwóch hajduków po węgiersku; w kolasie zaś z księciem jechało trzy jego młodziuchne jeszcze siostrzenice, dwie panny Brzostowskie, kasztelanki inflanckie i panna Duklana Morawska, pułkownikówna. Dalej jechały siostry wojewody, goście, dworzanie i domownicy. JMPan Borowski przeto, zbliżając się już do tego orszaku, kazał stanąć woźnicy, oczekując na księcia, który też zaraz spostrzegłszy myśliwych, zatrzymał całą kawalkatę; panowie powyskakiwali z szarabanu na powitanie, a książę, snać w wybornym humorze, zawołał:

— A! jak się masz panie Leonie, jakże się wam, panie kochanku, udało z wilkami?

Na odpowiedź pan łowczy skinął i przyniesiono wnet dwa kosze z wilczętami. Nie można było księciu lepiej dogodzić; uradowany sam wysiadł z kolasy i wywoławszy panny, kazał

szczenięta na gościńcu z koszów powyrzucać, żeby się im lepiej przypatrzeć, jak łaziły tam i sam, przewalając się do góry nogami w nieco głębszych kolejach.

Panny tedy i niektóre osoby z orszaku księcia bawić się niemi poczęły; ale najpierwej prawie nadbiegł JMPan Sauveplan, Francuz, niedawno przybyły, który miał niby spełniać funkcyę sekretarza do zagranicznych korespondencyj; ale Bóg wie, ażali choć jeden list od przybycia swego napisał i miał święte życie, bo tylko jadł, pił i uczciwszy uszy, łgał, jako prawdziwy gaskończyk, od rana do nocy. Ten, że wilków w ojczyźnie swojej, jak żyw był, nie widział, a słyszał tylko o nich, jako o strasznym zwierzu, ujrzawszy wilczęta, jakoś się do nich zbliżał ostrożnie; wszyscy się tedy poczęli śmiać serdecznie, co uważając rzekł książę:

— Co się asaństwo z Francuza śmiejecie, że się boi, nic dziwnego; u nich tam, panie kochanku, króliki to gruba zwierzyna!

Tak jako ten Sauveplan, również wprosił się kiedyś na dwór księcia inny Francuz Lebel; bo JW. wojewoda w dobroci serca nikomu prawie odmawiać nie umiał, a gdy w dni kilka potem marszałek dworu zapytał księcia, jaką Lebelowi

ma funkcyę przeznaczyć? namyśliwszy się chwilę, rzekł wojewoda:

— Ha... panie kochanku, niech Francuz... małp w Albie pilnuje.

Gdy tedy owemi wilczętami a i Francuzem potroszę bawiono się na gościńscu, spytał książę Borowskiego:

— Gdzieżeście to, panie kochanku, znaleźli?

— W małej kniei, niedaleko Szulaków.

— Jakich Szulaków?

— Zaścianek od Chrzanowa — odparł Borowski.

— Aha! wiem, wiem, panie kochanku; o! pamiętam, tam mnie kiedyś ekonomowa poczęstowała jajecznicą z kiełbasą, smakowała mi wyśmienicie, zjadłem całą misę; ale, panie kochanku, gdybym był nie wypił potem pół garnca małmazyi, byłby już dawno po mnie ksiądz Katenbrink odśpiewał exegwie.

— No — dodał książę — a z wilczycami co?

— Zabiliśmy dwie i wilka — odrzekł pan Borowski — ale tam w okolicznych kniejach, jak zapewniają, jest gniazd kilkanaście; nie chcieliśmy ich ruszać, bo pewno tam wypadnie większe polowanie urządzić.

— A! toście się łepsko spisali! — zawołał

książę; tu zwrócił się do łowczego: — mój mości Kamiński, na sobotę wielkie polowanie, niech mi tam w Szulakach dworek wyporządzą na główną kwaterę.

— Cha! cha! — zaśniał się JMPan Borowski — co do dworku w Szulakach, to nie wiem, jak będzie, trzebaby chyba coś innego obmyśleć.

— A to dlaczego?

— Bo książę ten zaścianek oddałeś Domańskiemu...

— No, wiem — przerwał książę — toć mnie on przecie przyjmie w gościnę.

— Przyjąłby, to pewno — mówił pan komornik — ale mu książę przed trzema dniami zadałeś taką klęskę i tak go ukrzywdziłeś, że nieborak dziś... zginął z kretesem!

Książę śmiać się począł.

— Co aspan kpisz, panie Leonie, czy drogi pytasz? mnie, panie kochanku, krzywdzi kto chce; pan Tryzna trzymał odemnie Kołdyczew za psi pieniądz, a później ciągał mnie po trybunałach i kondemnaty wyjednywał! Mnie, panie kochanku, wszyscy drą, a ja... tylko wzdycham i Panu Bogu to ofiaruję; gdyby nie to, panie kochanku, że wracając z Portugalii, wykopaliśmy

z Łopuskim skarby pod Cecorą... terazbym bez butów chodził.

— Wiem ja to, wiem — odparł z pobożną miną pan Borowski — a jednak... z przyczyny, a raczej z fantazyi księcia stało się wielkie nieszczęście, i Domański nieborak poniósł szkody ogromne.

— Ale cóż to jest? panie kochanku, no, gadaj! ty-bo zawsze, panie Leonie, na mnie jakieś awantury wymyślasz.

— Nie jest to, proszę księcia, żaden wymysł — mówił pan komornik — ale święta, najświętsza prawda. Książę chciałeś naśladować Pana Boga albo może Jowisza, kazałeś sobie zrobić jakąś farmazońską machinę do ściągania chmur i fabrykowania piorunów, jak ją tam wzięli kręcić w niedzielę, zwłaszcza sam książę, pod wieczór, aż też i zerwała się burza...

— Ale ja, panie kochanku — przerwał żywo książę — kazałem zaraz machinę wyrzucić.

— Ba! — odrzekł pan Borowski — cóż z tego, kiedy po niewczasie! bo właśnie jedna chmura posłuszna pędziła od Słucka do Nieświeża, na rozkazy księcia, ale była tak pełna, że nie wytrzymała i pękła po drodze... piorun trzasł... i cały zaścianek Domańskiego spalił!

— Czy to może być! panie kochanku — zawołał, uśmiechając się zadowolony z konceptu wojewoda — jakto piorun? prawdziwy piorun?

— A jużci prawdziwy, kiedy budynki pali!

— No, panie kochanku, to psko! szkoda mi biedaka Domańskiego; widno, nie mam ja jeszcze dobrej wprawy do tej machiny. Ale masz racyę, panie Leonie, i chociaż pokrzywdziłem porucznika niechcący, muszę mu to nagrodzić, trudna rada!

— Ja też ani wątpiłem — mówił Borowski — że nasz kochany książę zawsze sumienny i na ten raz do winy się przyzna, jako szczery jednak przyjaciel i sługa, zwracam jeszcze uwagę, że dla Domańskiego to ogromna klęska. Teraz miał się żenić, urwie się i to, bo wyszastał się i przedtem na tym, z przeproszeniem księcia, kiepskim dwuwłókowym zaścianku, przez dwa lata żyjąc z własnego grosza.

— Co aspan gadasz? mój komorniku... z własnego grosza! — zawołał wojewoda — przecież mu dałem folwark porządny; no, bo i wart był tego.

— Jaki folwark? — spytał Borowski.

— A no, Chrzanów z tym zaściankiem.

Potrząsnął głową pan komornik Słonimski.

— On ma tylko te jedne Szulaki; w Chrzanowie, jakem się dowiedział, gospodaruje na skarb księcia komisarz Pawłowski, siostrzeniec plenipotenta Juszkiewicza, tego samego — dodał z przyciskiem — który pono pisał Domańskiemu cessyę księcia na te jedne tylko Szulaki.

Tu książe zaczerwienił sie mocno i sapać począł, jak to zwykle zagniewany już czynił; była chwila milczenia, aż ozwał się wreszcie wcale seryo do JMPana Borowskiego.

— Patrzajże, mój panie Leonie, panie kochanku, co te plenipotenty ze mną wyrabiają!

Spostrzegł się komornik, że zbyt ostre rzucił na administracyę księcia oskarżenie, a że i sam jako zastawnik Niehoreły, wolał mieć z nią dobre stosunki, poprawił się szybko:

— E, to musiała zajść pewnie jakaś omyłka.

Książę prychnął tylko, a rzucił głową i ręką znacząco, potem zwrócił się już do Kamińskiego.

— Jeśli pogoda posłuży, na sobotę z polowaniem do Szulaków, obóz urządzić pod namiotami.

— No, jedziesz z nami do Alby, komorniku? — spytał Borowskiego.

— Niech książę daruje — odrzekł pan Leon —

pojadę już prosto do zamku, zmęczony jestem, odpocznę trochę i przebiorę się przed obiadem.

— A no, to do widzenia.

Wejewoda, nieco zachmurzony, sapiąc jeszcze, wsiadł powoli do kolasy; cały orszak ruszył dalej.

JMPan łowczy Kamiński, natychmiast po przybyciu, rozesłał oznajmienie o wielkiem polowaniu, naznaczonem przez księcia na sobotę; czas był krótki, należało się spieszyć z przygotowaniem wszystkiego. Trzeba bowiem wiedzieć, że na taką wyprawę szło zwykle dwa tysiące piechoty z milicyi księcia, strzelców dwieście, dwa szwadrony ułanów, sześćset do ośmiuset szlachty konno; nadto wozy z sieciami, do czego były osobne muły, w bardzo pięknej z dzwonkami uprzęży, z namiotami szło kilkanaście wielbłądów; psiarnia, gończych sztuk także *circiter* dwieście, prócz chartów, do tego psiarczyki i służba, nie licząc już samego orszaku myśliwych i przyjaciół księcia [1]).

Ale wszystkie te przygotowania na nic się nie zdały, bo we czwartek, po nowej burzy i

[1]) Szczegóły te niewątpliwie prawdziwe, podaje świadek naoczny i uczestnik polowania, z podziwieniem je opisując. Rękopis współczesny w archiwum autora.

gradzie, nastąpiło zimno, jakby w późnej jesieni i nastały słoty, które przeciągnęły się więcej tygodnia.

My zaś tymczasem w Szulakach nie wiedzieliśmy o niczem; tyle tylko było pociechy, że w kilka dni po bytności pana Słonimskiego przyszedł rozkaz z administracyi, żeby natychmiast kosztem księcia odbudowany był zaścianek, o czem zawiadomiono pana Michała. Jakoż zaraz i tracze w puszczy do roboty stanęli. Ale natenczas nie było nawet Domańskiego w domu, bo tegoż samego dnia rano odjechał był w Brzeskie do brata, dla interesów i ratowania się w poniesionych stratach.

Bawił tam pan Michał tydzień z górą i powrócił dopiero w poniedziałek d. 21 augusta; aż też w trzy dni potem, niespodziewanie dnia 24-go, jak dziś pamiętam, we czwartek, zjawia się w zaścianku JMPan Ejdziatowicz, podczaszyc smoleński, dworzanin księcia dawny i zaufany, z listem do pana Michała od samego wojewody. Pismo było ręki JMP. Radziszewskiego z własnym jednak podpisem księcia, co już wiele znaczyło; książę bowiem tak nie cierpiał pióra, że pan Bernatowicz, Mikuć, Radziszewski i inni plenipotenci i sekretarze doprosić się nieraz o jakiś

podpis nie mogli i tygodniami wyczekiwać musieli. Pisał tedy JW. wojewoda, że ponieważ ślub pana Michała naznaczony był na nadchodzącą niedzielę, czyli na dzień 27 sierpnia, życzy więc sobie, aby ten akt zwłoce nie podpadał; żeby więc zaraz nazajutrz JMP. Michał, zabrawszy się do ślubu, do Nieświeża przybywał; książę bowiem, jako przyjacielowi, a dobrze zasłużonemu ojczyźnie i Radziwiłłowskiemu domowi, chce mu sam sprawić, wesele. Co zaś do pomieszczenia się z przyszłą małżonką, *ex re* spalonego zaścianka, żeby sobie tem głowy nie suszył, albowiem za bytnością w Nieświeżu obmyśli się jakoweś na ten *casus remedium*.

Nie było co długo deliberować i nie potrzebuję dodawać, jako pan Michał rad był z tej niespodziewanej, a wlewającej wielką otuchę nowiny. Przyjęliśmy tedy JMPana podczaszyca w naszym lamusie, jakoby jakiego anioła pocieszyciela, którego też tak pocieszaliśmy nawzajem, sławnym, wytrawnym maślaczem od Borucha ze Słucka, że sobie podochocił i brał się już do pistoletów, żeby ćwieki we drzwiach wystrzeliwać, aleśmy go od tej imprezy odwiedli i położył się spać; a jak zaczął chrapać, tom ja aż do rana prawie i oka nie zmrużył.

Duch więc wstąpił nowy w pana Michała; gdy ja zaś byłem tylko jedynym w tych stronach powinowatym, mnie więc zaraz prosił na drużbę, abym pannę młodą do ołtarza prowadził; dla wystąpienia zaś honeste, jak do aktu tak wielkiego przystało, wnet mi darował cale świeży jeszcze mundur swój własny województwa brzeskiego, to jest: kontusz szafirowy z wyłogami amarantowemi, a do tego biały żupan i pas biały, złotem nieco przetykany, z fabryki JMPana Mażdżarskiego Leona w Słucku, któregom dobrze znał; zwano go prezesem, że fabryką całą zarządzał, objąwszy ją po swym ojcu, ten zaś kędyś na Wschodzie jeszcze będąc w tureckiem czyli perskiem państwie, w tym się kunszcie wydoskonalił. Cały ten strój od pana Michała w sam raz dla mnie przystawał, i pierwsza to była również okazya do przypasania i owej cnotliwej szabli, którą mnie JW. wojewoda niedawno obdarzył.

Nazajutrz więc rano wszyscy trzej ruszyliśmy do Nieświeża; książę nas przywitał bardzo łaskawie; ani tego dnia jednak, ani nazajutrz, w sobotę, o spalonym zaścianku żadnej mowy nie było. Szeptano nam tylko na zamku, że

jakoby JMPanu Juszkiewiczowi miała być funkcya plenipotenta odjętą i miał, jak powiadano, dostać „Abszyt niemiecki;“ jakoż i sprawdziło się to w niedługim czasie.

Z przygotowań też widać było, że książę, który, jak wiadomo, i swatać i wesela sprawiać lubił, na ten raz występował suto i prawdziwie po Radziwiłłowsku. Gości sproszonych przybywało sporo; miał być obiad wielki, asamble z tańcami, teatr z baletem, a nawet sztuczne ognie i przy wiwatach salwy z dział zamkowych.

Wszystko też istotnie poszło bardzo pięknie, wedle zamierzonej i ułożonej przez samego JW-go wojewodę planty. Że on jednak nigdy bez niespodzianek się nie obchodził, bo te nadewszystko lubił, gdy więc przed samem południem w niedzielę zapełniły się już sale zamkowe, a państwo młodzi, mając do ślubu jechać, przyklękali, wedle obyczaju o błogosławieństwo prosząc, książę, przy oświadczeniu swych życzeń, podniósłszy ich skwapliwie, skinął wnet na JMPana Bernatowicza, który wyjął papier jakiś z zanadrza i wgłos czytać począł. Był to więc akt formalny, mocą którego książę oddawał JMP. Domańskiemu w dożywo-

cie cały folwark Chrzanów wraz z zaściankiem Szulaki; że zaś nadanie to miało nastąpić przed dwoma laty, co się przez omyłkę kancelaryi nie dopełniło, książę wojewoda przeto, na bonifikatę poniesionej w tem przez JMP. Domańskiego straty, polecał z kasy generalnej wypłacić mu gotówką tysiąc dukatów.

Wszyscy się tedy przy tym akcie rozczulili serdecznie i popłakali jak bobry; wojewoda ad był niezmiernie i w najlepszym humorze; aż wtem JMPan Płaskowicki, okólniczy smoleński, jako mówca wielki, *ex tempore*, wystąpił od strony państwa młodych do JW. wojewody z oracyą przedziwną, w której połowa Olimpu figurowała, że jej ledwie kto coś nie coś zrozumiał, niemniej jednak wielce ją chwalono powszechnie. Gdy skończył, poczęto okrzykiwać i wiwatować księcia, że się szyby w oknach trzęsły; JMP. Borowski zaś, składając nowożeńcom życzenia, rzekł do pana Domańskiego:

— A co, mości poruczniku? nie powiesz chyba teraz, jak mi to w Szulakach mowiłeś, żeś nie słyszał jeszcze, aby kto majątek na piorunach zrobił?

Na zakończenie dodać muszę, że kiedyśmy do Chrzanowa przybyli, zastaliśmy dom tamtej-

szy piękny i obszerny, tak urządzony porządnie, że w nim nie brakowało nic okrom gospodarza; bo i o winie nawet do piwnic nie zapomniano, ile że książę obiecywał wkrótce nowożeńców odwiedzić.

Tak prawdziwie powiedzieć można, że JMP. Domańskiemu szczęście i fortunę przyniosły „pioruny księcia wojewody.“

JARZĄBKOWA NOC.

ZE WSPOMNIEŃ I TRADYCYI.

OPOWIADANIE.

Na wstępie uprzedzam, że tytuł niniejszego opowiadania, z jarząbkami ma związek jedynie tylko... słownikowy; proszę również nie posądzać mnie, że ukułem jakiś neologizm, poważając się korzystać z pozwolenia księcia poetów:

„Dixeris egregie, notum si collida verbum
Reddiderit junctura novum".
(Horat. Art. poet. 48).

Utrzymuję bowiem z szanownym profesorem Małeckim, że nowe wyrazy ludowi tylko tworzyć przystoi, bo on, nie znając żadnych obcych języków, kieruje się najlepiej właściwościami mowy rodzinnej. (Gram. Wiel. T. II, fol. 320). I moja też „jarząbkowa noc" nie jest wcale czemś nowem; wyrażenie się to odwieczne, tylko, jak się zdaje, przekręcone, gdyż powinnoby być raczej: „jarzębata;" ale ja tak podaję, jak słyszałem nieraz i nie z jednych ust przed laty, o czem też z toku samej rzeczy muszę dać ob-

jaśnienie więcej szczegółowe, jako wstęp do niniejszego opowiadania nieodzowny.

Miałem w szkołach kolegę Stasia S. [1]), z którym od początku naszej nauki, aż do skończenia szkół, szliśmy z klasy do klasy i mieszkaliśmy razem; naprzód w powiatowych szkołach Prużańskich u szanownego prefekta Juszkiewicza, który żonaty był z siostrą znanego krytyka Al. Tyszyńskiego, autora „Amerykanki w Polsce," „Rysu historycznego oświecenia Słowian" etc. Poczciwy prefekt „mościbdzieju daj tabaki," jak ojciec czuwał nad nami, co mu nie przeszkadzało jednak zajmować się polityką niezmiernie gorąco, a kiedy rozwodził się nad jaką mową w Izbach francuzkich Ledru-Rollina, co się najczęściej przy obiedzie trafiało, pamiętam, jak mu do zupy łzy jak groch padały.

Dalej poszliśmy ze Stasiem do wyższych szkół Swisłockich, gdzie znowu mieszkaliśmy razem u profesora Frołowicza, który nam geografię i kosmografię wykładał. Ukochany powszechnie profesor nasz Frołowicz, zawsze uśmiechnięty, wesoły i miły, lubił wprawdzie winko, ale niemniej lubił naukę i książki; miał też

[1]) Strzelbickiego.

w swoim domu „na facyatce,“ czyli na górce nad gankiem, założony niemi cały pokoik na wszystkich ścianach od góry do dołu. Biblioteczka to była wcale pokaźna, kilka tysięcy tomów licząca; do niej my starsi mieliśmy zawsze wstęp wolny, z którego też korzystaliśmy bardzo skwapliwie, nieraz nawet z uszczerbkiem urzędowej nauki. Pamiętam, jakeśmy tam ze Stasiem i drugim kolegą Makowskim z wielkiem zajęciem czytali „Argenidę“ Potockiego; bawiła nas wtenczas ta bajka; naprawdę nudne to jest, rozwlekłe, jako poemat wartości nie ma, sądzę jednak, że to dzieło W. Potockiego, dziś, z innych względów, cenionem jest za mało i na większą zasługiwałoby uwagę. Naprzód powiedzielibyśmy, że poemat nie jest właściwie tłumaczonym, ale raczej całkiem przepolszczony, tak jest on nawskróś polski i tak wiele, za wiele, zawiera alluzyj, odnoszących się do własnego kraju. W oryginale prozą, przez Potockiego ułożony wierszem, który często godzien jest autora „Wojny Chocimskiej,“ spotykamy tam porównania trafne i dowcipne, a prawdziwą i niezaprzeczoną wartość mają, nagromadzone w wielkiej ilości i wierszem prawie zawsze wybornym ułożone stare przypowieści i przysłowia nasze.

Przy tem zaś wszystkiem stary język Potockiego ma nieraz tyle siły, zwroty tak oryginalne i czysto polskie, a wyrazy nieznane dziś i zapomniane wyborne i tak dosadne, że ośmielam się powtórzyć, iż „Argenida“ niesłusznie jest zapomnianą.

Czytaliśmy więc ten poemat i bawił nas, bośmy nie byli wybredni, ale oswajał on ze starym językiem, który dla nas był natenczas więcej może zrozumiałym, niż dla dzisiejszej młodzieży; wielu bowiem starszych ludzi, a zwłaszcza na Litwie, używało tych samych nieraz słów, dziś zapomnianych, zwrotów mowy i wyrażeń, któremi się autor „Argenidy“ posługiwał.

Tam to spotkałem wyrazy: „jarzębaty“ czyli pstry, albo nastrzępiony i „jarzębić,“ jako z a k ł ó c i ć, których znaczenie lubo dość zrozumiałe, miałem wkrótce żywem słowem dokładniej mieć objaśnione.

Na wakacye ze Świsłoczy, nie pamiętam już którego roku, wyjeżdżaliśmy ze Stasiem jednocześnie do domu, a że drogę przez mil siedm mieliśmy tęż samą przebywać, złożywszy więc

rzeczy na jedną bryczkę, na drugą usiedliśmy razem i ruszyliśmy wesoło.

Dzień pierwszy lipca od rana już obiecywał być skwarnym ; w powietrzu cisza, nie czuć było najlżejszego wiatru powiewu; około południa też, chociaż słońce wciąż świeciło i dopiekało coraz silniej, piętrzyły się już grube, pozaokrąglane, a ostro rysujące się dziwnych kształtów obłoki-cumulusy, popielatawe od spodu, jaskrawo, biało na grubych krawędziach, oświecone od słońca. Dziwaczne ich kształty i przemiany szerokie pole otwierają zwykle fantazyi; może w nich dopatrzyć co kto chce, począwszy od klęczącego kapucyna do rogatego lucypera; zamki, okręty, orły i słonie.

Wyjechawszy więc na nieco piaszczysty ku Hrynkom gościniec, oba ze Stasiem, gapiliśmy się, pozadzierawszy głowy do góry. Niedarmo bowiem staliśmy na stancyi u Frołowicza, który nam z zamiłowaniem kosmografię i meteorologię wykładał. Zaraz też dopatrzyliśmy, że z poza grubych owych cumulusów, wyżej nad niemi ciągnęły się, na lazurowem tle nieba, długie przejrzyste, a pierzaste pasma, tak zwanych cirrusów, które się z drobnych igiełek lodu składają i wobec niższej warstwy chmur, będących jedynie

parą wodną zgęszczoną, niezwykły dobrej przepowiadać pogody.

Gościniec, który nas ku Prużannie prowadził, przerzyna sławną Białowieską puszczę w jej szerokości całej przez mil pięć prawie; za Hrynkami o milę od Świsłoczy już się wjeżdża w lasy; jest to główny trakt grodzieński, przy którym niewielkie tylko widać osady i szczupłe polanki, oraz kilka karczem i obszerniejszych zajazdów w Niemierży i Rudni nad Narwią, w Popielewie, Kraśniku — siedzibie niegdyś Karpińskiego — i nareszcie w Halenach. Około drugiej godziny z południa, kiedyśmy już w lasy wjeżdżali, zaczęło zlekka, ale przeciągle i raz po raz pogrzmiewać gdzieś w dali, od wschodu. Na szerokim gościńcu, choć w lesie, żeśmy mieli o tym czasie słońce wprost prawie w oczy, jadąc ku południowi, dopiekało nam ono nieznośnie; furman cisnął się pod prawą stronę drogi, żeby cieniu, choć trochę, zachwycić, ale i to niezawsze się udawało i pomagało niewiele. W Rudni przed karczmą stanęliśmy na chwilę dla wytchnienia.

— Oo! coś grzmi, proszę paniczów — ozwał się nasz woźnica — trzeba pospieszać, żeby nas deszcz przed Popielewem nie złapał.

Ruszyliśmy więc, nie czekając dłużej, a jeszcze spore dwie mile mieliśmy do noclegu.

Przy gościńcu w tej stronie puszcza jest dość rzadką, drzew wyniosłych mało, i nie ma tu ona wcale owej majestatycznej powagi, jaką się w niektórych głębszych ostępach odznacza; droga tu jest niezła, jechaliśmy więc dość żwawo.

Tymczasem grzmiało coraz częściej i silniej, widocznie burza się przybliżała, ale jeszcze głównej ławy chmur, zbierających się od wschodu za lasami, wcale dopatrzyć nie było podobna. Wązki pas nieba, któryśmy nad gościńcem widzieć mogli, zdawał się czyściejszym niż wprzódy; przebiegały tylko po nim lekkie i wcale niewinnie wyglądające obłoczki, kierujące się szybko ku wschodowi właśnie, to nam dodawało otuchy, że i burza ku nam, czyli na zachód pociągnąć nie może. Niestety! pomimo lekcyi profesora Frołowicza, mało nam jeszcze znane były tajemnice przyrody; żeby nie ta nieświadomość, moglibyśmy być pewni, że nas czeka burza niechybna i gorsza od innych, bo idąca od wschodu, co się u nas w czerwcu i początkach lipca zdarza. Wlecze się ona zwykle powoli, ale trwa godzinami i nocami całemi, a pioruny sypie bez końca i miary.

Jakoż, wznosząca się powoli ława chmur, ciemno-sina, a blado-żółtawa po brzegach, już się z poza wierzchołków drzew wysuwała, kiedyśmy mieli jeszcze dobry kwadrans drogi do sławnego w Popielewie zajazdu. Furman popędzał konie i gdy my ze Stasiem, zadarłszy głowy, patrzyliśmy w górę, padły właśnie pierwsze krople deszczu, bardzo rzadkie i ciepłe, ale ciężkie i grube, jedna mnie na nos zalewając oczy, druga w sam środek ciekawie otwartych ust mego kolegi.

Ale już i Popielew — chwała Bogu! W ogromnym zajeździe wrota otwarte szeroko, mamy w nie wjeżdżać, kiedy nad głowami naszemi nagle rozlega się suchy, potężny trzask bardzo gdzieś blizko spadającego piorunu, dwa konie potknęły się i przypadły do ziemi, furman przytomny huknął silnie, bryczka podskoczyła na wysokim progu, znaleźliśmy się wreszcie pod dachem.

Wsamczas, bo deszcz rzęsisty lał już strumieniami, z dnia raptownie zrobiła się noc prawie, piorun padał za piorunem, błyskawice przerażającym blaskiem olśniewały oczy, a grzmoty po rozległej puszczy, łamiąc się w tysiączne

echa, nie ustawały ani na chwilę; odetchnęliśmy swobodniej, dostawszy się do zajazdu.

Karczma w Popielewie, położona w samym środku, czyli w połowie gościńca, wiodącego przez puszczę, najobszerniejszą i najporządniejszą była ze wszystkich na tym trakcie zajazdów.

Myliłby się, ktoby myślał, że te obszary lasów, całe jak są, stanowią własność rządową; tak nie jest; z dawnych czasów jeszcze, z nadań królewskich, wiele i niemałych w tej puszczy przestrzeni należy do obywateli posiadających majątki o mil kilka nawet oddalone, bez żadnej z puszczą łączności.

Tak i Popielew należał i dziś należy do rodziny Trębickich z Prużańskiego. Posiadaczem ówczesnym Popielewa był pan Władysław Trębicki, znany badacz dziejów, bibliofil i literat, były podporucznik pierwszej lekkiej bateryi artyleryi b. W. P., ozdobiony w r. 1831 dwoma krzyżami, który, będąc przy samych działach, w zapale bitwy pod Warszawą, zapomniał wedle doświadczenia i regulaminu ust otworzyć, kiedy z nich ognia dawano, od czego ogłuchł zupełnie i na całe życie; być może, iż to chlubne kalectwo, co mu utrudniało z ludźmi sto-

sunki, niemało wpłynąć mogło na zakopanie się jego w swej ulubionej bibliotece. Niemniej był to człowiek w towarzystwie bardzo miły i ujmujący. Dobra jego o kilka mil od Popielewa były oddalone, ale właściciel dbały o ład gospodarski i wygodę podróżnych, wystawić tam kazał zajazd tak obszerny, że w stajniach mogłoby się było pomieścić kilkadziesiąt koni, a w ogromnych izbach i podróżnych niemało. Zdarzało się nieraz, że nas studentów nocowało tam kilkunastu i więcej razem, a nikomu ani ciasno nie było, ani czegoby mógł potrzebować, zabrakło. Jedna rzecz, z owych czasów w Popielewie, utkwiła mi szczególnie w pamięci; były to nieopodal od zajazdu, pod umyślnie zrobionym wązkim, a niezmiernie długim dachem leżące dwie sosny; ale sosny to były! sosny, jakich ani przedtem, ani do tej pory jeszcze nigdy widzieć mi się nie zdarzyło. Równe, gładkie, nie wiem już, ile mogące mieć łokci długości, ale w grubszym końcu, jak po ówczesnym wzroście moim i kolegów moich miarkuję, musiały mieć co najmniej po 48 do 50 cali w przecięciu.

Były to dwie sztuki masztowe, tak zwane „korona,“ o które podobno Trębicki toczył proces z kupcem, co je wyciął nieprawnie.

Kiedyśmy ze Stasiem dobili się szczęśliwie do Popielewa, nie było co myśleć o dalszej podróży; deszcz lał jak z cebra, a burza, błyskawice, nieustające grzmoty i bijące w okoliczne drzewa pioruny nie ustawały ani na chwilę.

My oba, choć jadąc na wakacye do domu, powinniśmy byli mieć najlepsze humory, pod wrażeniem wyjącego i szumiącego wichru, łoskotu gromów i trzasku łamiących się wokoło gałęzi, tak byliśmy wylęknieni, że ledwie z nas czasem który szepnął ciche słowo; niesione do ust łyżeczki z herbatą po zębach nam dzwoniły i na wieczerzę niewieleśmy jedli ze strachu.

— Ależ to burza! — szepnąłem do kolegi.

— Jarząbkowa noc — odrzekł Staś.

— Cóż to za jarząbkowa? — spytałem.

— Mój ojciec podobną noc zawsze tak nazywał.

— A! — odparłem z uśmiechem — przyznam ci się, że wolałbym słowikową.

Siedzieliśmy po wieczerzy czas jakiś, ale oczy nasze się wreszcie kleić zaczęły; pokładliśmy się więc na miękkiem sianie, odmówiwszy pobożniej niż zwykle pacierze i mimo piorunów a błyskawic, co nam przez szerokie okna w oczy zaglądały, usnęliśmy twardo.

Kiedy zbudziwszy się nazajutrz rano i ubrawszy się naprędce, wybiegliśmy ze Stasiem przed zajazd, powitał nas najcudniejszy, jaki w życiu mojem pamiętam, poranek. Słońce, nie wznosząc się jeszcze po nad wysokich drzew wierzchołki, strumieniami światła, co się pomiędzy pnie i gałęzie przeciskały, jak gdyby czystem, lśniącem złotem zdawało się je oblewać, a kryształowe krople wczorajszego deszczu na gałęziach, liściach i na każdej zwieszające się sosnowej igiełce, migotały wszystkiemi barwami tęczy, zmieniającemi się za każdym lekkim wiatru powiewem. Po dniu parnym, cała roślinność puszczy, drzewa, krzewy i mnogość ziół niezliczona, zwilżone i nawalnym deszczem podbudzone do życia, niedającą się określić wonią i aromatem nasycały odświeżone powietrze. Ten oddech lekki, borowy i zapachy tak bezwiednie na wszystkie zmysły działały, że lubo z uczuć naszych wcaleśmy sobie naówczas nie zdawali sprawy, mimo woli i wiedzy zachwycaliśmy się urokiem owego rozkosznego poranku. Całonocna ta burza nie przeszła jednak bez pozostawienia śladów swej gwałtowności i siły; prócz kilku, niedaleko nawet od zajazdu stojących sosen, z rozdartemi od wierzchołków, aż do samej ziemi brózdami,

przy których wisiały kawałki odłupanej kory i trzasek, na świadectwo trafnych piorunów, wiele drzew miało poobłamywane konary, a mnóstwo grubszych i drobniejszych suchych gałęzi, namiecionych przez wicher, zaścielało gościniec. Mieliśmy wielką ochotę, korzystając z tak cudnego wśród puszczy poranku, wybiedz naprzód piechotą, nimby nasze manatki zabrano i pozaprzęgano konie, któreby nas później dogoniły, ale wstrzymało nas błoto i ogromne kałuże rozlewające się co kilkadziesiąt kroków przez całą szerokość gościńca. Niebawem więc wsiedliśmy do bryczki i ruszyliśmy w dalszą drogę.

W Halenach przed karczmą stanęliśmy; tu się nasze drogi rozchodziły; Staś udał się w jedną, a ja, pożegnawszy go serdecznie, w drugą stronę, spiesząc do domu, gdzie też przed wieczorem stanąłem [1]). Zaledwie miałem czas przywitać się z rodzicami i domownikami, opatrzyć zapasy prochu, śrótu i pistonów na wakacyjną pukaninę i wpaść do stajni dla popieszczenia się z moim najukochańszym koniem, kiedy podobnież jak wczoraj i z tej samej strony od wscho-

[1]) Dołhe, pow. Prużański, gub. Grodzieńska.

du, siną i ciemną ławą wysunęła się potężna chmura.

Znowu więc rozpoczęły się błyskawice, grzmoty i pioruny, które, jak poprzednie, całą noc trwać miały.

W wielkiem mieście żadna burza nie robi nigdy takiego wrażenia; tu szlachcic, nie mówiąc już o życiu, z większą częścią całego mienia swego jest całkowicie na łasce tych rozuzdanych wybryków przyrody. I największą więc w Opatrzność Boską uzbrojony ufnością i najzimniejszą krwią obdarzony właściciel tych wszystkich strzech, dachów i zrębów, nad któremi rozlegają się gromy i szaleją co chwila olśniewające błyskawice, nie może być obojętnym widzem owej gry żywiołów.

Ojciec też mój niby spokojnie z fajeczką chodził po sali, coraz jednak to z jednej, to z drugiej strony do okien zaglądał.

— Prawdziwa jarząbkowa noc — ozwał się wreszcie.

— Właśnie — odrzekłem — Staś mówił, że jego ojciec podobną noc straszną tak samo zawsze nazywał.

— A, no — ciągnął ojciec — bo tak się u

nas mówi, ale Stasia ojciec daleko straszniejszą noc miał w swojem życiu.

Tu, na moje zapytanie, opowiedział mi w krótkości przygodę pana Hieronima S.[1]), w lat zaś kilkanaście później dokładniejszą i więcej szczegółową o tym wypadku powziąwszy wiadomość, podaję teraz jak słyszałem, relacyę o owej strasznej nocy pana Hieronima.

Nie wiem, czy ludzie czegokolwiek na świecie nadużywają więcej niż „słowa;“ weźmy naprzykład wyraz „szczęście,“ jak to on bywa zastosowywany? Począwszy od szczęścia w karty, od szczęśliwych, zwłaszcza w teraźniejszych czasach, „finansowych operacyj“ na kieszenie bliźniego, może niemniej bolesnych niż chirurgiczne, od owego sławnego „polskiego szczęścia,“ co to jak ktoś nogi połamie, wyraża się nieodzownie wykrzyknikiem: „a to szczęście, że sobie rąk nie pogruchotał!“ — aż do najwyższego szczęścia w niebiosach, ileż to ludzie wyliczają szczęść rozmaitych; jaka szeroka skala zastoso-

[1]) Strzelbickiego.

wania! Ale jeśli istotne i prawdziwe szczęście niebieskie jest niezamąconem, błogim stanem spokoju, to szczęściem jedynem na ziemi musi być również stan pewnej, o ile być może w świecie najdoskonalszej równowagi ducha i ciała, pokoju i zadowolenia. Najsłuszniej więc zapewne ziemskiem szczęściem nazywają domowe życie dwojga ludzi takich, co siłą najgorętszych uczuć pociągnieni wzajemnie, życia swe i wszystko, co posiadają, w jedno mienie i w jedno połączyli życie; składa się ono bowiem z tysiącznych chwil powszedniego szczęśliwego bytu, któremi się całe zapełnia, gdy najcięższe nawet ciosy jak pojedyńcze gromy przychodzą, a drobne troski niedojrzane giną, na podobieństwo owych plamek na słońcu, których dopatrzy ten tylko, co ich koniecznie szuka, kiedy słońce, mimo tego, zawsze świeci jak świeciło i grzeje jak grzało.

Takiem to błogosławionem słońcem opromienionem było życie pana Hieronima, a ojca mego kolegi, w parę lat niespełna po jego ożenieniu, kiedy nadeszła sławna kampania z 1812 r.

Sierpniowy dzień skwarny zbliżał się już ku wieczorowi; na ganku porządnego wiejskiego dworu siedziała młoda i bardzo piękna kobieta,

w lekkim domowym, ale ozdobnym stroju, pieszcząc się z małą, kilkomiesięczną dzieciną.

Dwór leżał na małej wyniosłości, za nim był sad owocowy, a z prawej strony gospodarskie zabudowania nie przecinały widoku, który od czoła domu, wprost i na lewo rozciągał się na szerokie błonia, oddalone brzozowe gaje, oraz kilka wsi i dworów, co się już ku wieczorowi lekką sinawą barwą zaciągały.

Po dniu znojnym, świeży powiew wieczorny z osiadającą już rosą niósł woń rozkoszną od stogów w dolinie i od zbóż, co wraz z gęstą podszewką trawy upadły przed chwilą pod pracowitym sierpem żniwiarzy. Z pól niedalekich dolatywał gwar wracającej do domu czeladzi, gdy równocześnie też i gospodarz znalazł się już przed gankiem we dworze i zeskoczył raźnie z konia. Był to piękny mężczyzna niedochodzący jeszcze lat trzydziestu, zdrów, świeży, z ciemnym zarostem, a bujnemi kruczej czarności włosami.

— A! przecie wracasz! — zawołała wesoło siedząca w ganku żona.

I poskoczywszy żywo, a huśtając w rękach dziecię, podniosła je ku nadchodzącemu.

— No, pocałuj go — szczebiotała — a teraz

mnie — dorzuciła figlarnie, nadstawiając wpół rozwarte, śliczne, różowe usteczka.

Pan Hieronim, zrzuciwszy lekką czapeczkę i otarłszy uznojone czoło, nie kazał się długo do pieszczot i uścisków zapraszać; usiedli wreszcie oboje na ganku.

Młody gospodarz, odprostowawszy się nieco i wyciągnąwszy, klapnął się zamaszyście ręką po kolanie.

— Wszystko byłoby jako tako — rzekł — żeby nie ta wojna! spasło mi żołdactwo kilkanaście morgów najlepszego owsa z kretesem.

— Nie grzesz, nie narzekaj — odparła żona — żeby tylko tyle biedy! Pan Bóg da, to drugi narośnie; tu u nas w Prużańskiem cicho przecie, a ile to, słyszę, w innych stronach narabowano i napalono dworów!

— No, prawda — potwierdził gospodarz — ale bo, widzisz, moje serce... taki był owies piękny, aż miło... zapomnieć o nim nie mogę, a jak tam pojadę...

— To nie jedź, siedź ze mną — przerwała żona.

— No, trudno...

— Jakto? ze mną już ci trudno usiedzieć! — podchwyciła z uśmiechem — ach! ty... jakiś —

szczebiotała, ściskając niby w złości białe drobne ząbki, potrząsając głową, a pulchną rączką targając lekko ukochanego męża za jego bujne czarne kędziory.

Tu nastąpiły nowe pieszczoty i uściski, przy których świat cały znikał dla szczęśliwej pary, ale przerwał je niespodzianie gruby i potężny głos przed gankiem.

— Laudetur Jezus Christus! a, a! młoda para bardzo przykładna; na takie sentymenta aż patrzyć miło.

Oboje gospodarstwo, jak spłoszone turkawki zwrócili się żywo ku mówiącemu.

Wstępował właśnie na ganek mężczyzna średniego wzrostu, barczysty, z siwiejącą, krótko podstrzyżoną brodą, w długim prostym kitlu płóciennym, w łykowych łapciach, z sękatym kijem w ręce i z sakwami z szarego płótna przewieszonemi przez ramię. Zbliżył się, zdejmując z głowy chłopski słomiany kapelusz.

— A! pan Dołęga Dołubowski [1]) — zawołał gospodarz, wstając na powitanie tego, dziwacznej

[1]) Osoba historyczna, prawdziwa, jako i całe to opowiadanie. Dołubowski był uczonym — doktor filozofii, bogaty, rzucił majątek i prowadził życie Diogenesa, czytaj o nim we wspomnieniach J. I. Kraszewskiego.

postaci gościa, który w swych łapciach i żebraczem prawie odzieniu taką miał minę, jak gdyby był w złotogłów i purpurę ubrany.

— Humillimus servus szanownego pana — rzekł przybyły, kłaniając się poważnie i dłoń podaną ściskając.

— Zkądże Pan Bóg prowadzi? — spytał pan Hieronim.

— A, no, ze świata... ale na ten raz idę od Kobrynia, natknąłem się pod Stryhowem na cały korpus Tormansowa.

— I cóż? — przerwała żywo gospodyni.

— Nic — odparł gość spokojnie — przeszedłem szczęśliwie bokiem, manowcami; nie widzieli mnie nawet, choć ja im się dobrze przypatrzyłem.

— A jakby pana złapali?

— Ee! — mruknął Dołęga — cóżby wzięli od żebraka?

— No, życie! — zawołał gospodarz.

— Życie?! — powtórzył Dołęga, z pogardliwym uśmiechem — *quid quisque vivit, nunquam homini satis cautum est in horas;* tak powiedział Horacyusz, żadnej godziny w życiu pewni nie jesteśmy. A zresztą, cóż to jest życie? a zwłaszcza takie, jakiem go sobie ludzie zro-

bili... głupstwo! niewola. Niedość, że człowiek jest skrępowany nieznośnemi potrzebami własnego ciała, jeszcze nawynajdywał sobie tysiące potrzeb, których jest niewolnikiem, nastwarzał bez miary jakichś towarzyskich względzików... spętanie i zakneblowana gęba nazywa się szczytem cywilizacyi... Tfu! — splunął z gorzkim uśmiechem — to życie! A mnie to na co? ciężył mi już wasz frak, wolę łapcie i chałat; pouczę gdzie abecadła dzieciaków, przez tydzień mam kawałek chleba do sakwy i znowum pan... mam przecie piękny majątek w Kobryńskiem, rzuciłem go, bo to kajdany... *ego sum philosophus mundi...*

— Ależ są obowiązki względem społeczeństwa — przerwała pani.

— Tak, tak, są obowiązki i wielkie i święte — potwierdził gość, kiwając głową — ale im właśnie prawa i bezprawia i wymyślone formy na największej stoją przeszkodzie.

— Albo te wojny! — dodał po chwili — toż to istne barbarzyństwo!

— Oj to prawda — stęknął gospodarz, przypomniawszy sobie swój owies — a co szkody, co zniszczenia kraju... biorą, rwą, nie pytają. Chociaż są i tacy, którym i wojna zyski przy-

nosi; nasz przecie jeden powietnik miliony na dostawach w wojsku zarobił.

— Ale jak gdzie bitwa wypadnie — rzekł Dołęga — to już tam nikt pewno nie zarobi.

— Ba! — odparł gospodarz z uśmiechem — różnie bywa; parę tygodni właśnie temu, jak się bili pod Semenczą niedaleko Prużanny, gdzie cały batalion Sasów Reyniera z ośmiu działami zabrali Kozacy, zdarzył się zabawny wypadek. W czasie tej bitwy, która nie trwała długo, a odbywała się nie dalej jak o pół ćwierci mili ode dworu w Semenczy, tak, że pan Jahołkowski przyglądał się jej z okna w swoim pokoju, właśnie w stodole u niego pierwsze snopki żyta młócono; gdy Sasi zostali rozbici, porozbiegały się ich konie po polu, a jeden, zapędziwszy się z kulbaką i całym moderunkiem, prosto wpadł do otwartej stodoły, przytomny ekonom kazał natychmiast pozamykać wrota, konia złapano, wzięto do stajni, rynsztunki schowano i tak pan Jahołkowski z tej bitwy miał wybornego konia, którego też niebawem za dobre pieniądze sprzedał chorążemu Kraszewskiemu z Dołhego [1]) i u niego dziś ten Sas w dyszlu paraduje.

[1]) Ojcu autora.

Gawęda, wszedłszy na treść wojny, najgłówniejszą i najważniejszą na te czasy, przeciągnęła się do późnego wieczora.

Stary prużański Diogenes nigdzie długo miejsca zagrzewać nie lubił, a ten raz spieszył się jeszcze więcej niż kiedy; jak zwykle więc, poprosiwszy gospodyni o masło do swej podróżnej maselniczki drewnianej, pożegnał się spać idąc i nazajutrz, nim słońce weszło, już go we dworze nie było.

Powiat Prużański widownią był jedynego w całej kampanii 1812 r., bardziej stanowczego wystąpienia posiłkowego austryackiego korpusu Schwarzenberga, który, jeśli nie zdradzał sprawy jawnie, był co najmniej dla niej obojętnym zupełnie, a i tu działał jedynie pod wpływem i naciskiem generała Reyniera.

Prawe skrzydło wielkiej armii Napoleona pod dowództwem księcia Hieronima osłaniał równolegle prawie z niem postępujący korpus siódmy generała Reyniera, przy którym znajdowała się i dywizya Kosińskiego z sześciu batalionów złożona.

Kiedy owe skrzydło z królem Westfalskim kierowało się na Grodno i Augustów, Reynier szedł do Białegostoku; zadaniem jego było osło-

nienie prawego skrzydła wielkiej armii, wiążąc się z nią z lewej strony swojej, gdy z prawej utrzymywał stosunek z posiłkowym korpusem Schwarzenberga, stanowiącym ostatnie już prawie ogniwo ogromnego łańcucha całej masy wojsk, które do kraju wkraczały.

Nadto, póki rosyjski korpus generała Bagrationa zagrażał Księstwu Warszawskiemu, osłaniały je korpusy Reyniera i Schwarzenberga, lubo i Napoleon temu ostatniemu niebardzo dowierzał, ostrzegając w korespondencyi swej króla westfalskiego Hieronima, aby austryackiego wodza nie wpuszczano ani do Modlina, ani do Warszawy.

Bagrationa jednak, mającego niezmyśloną ochotę wkroczenia do Księstwa, odwołano w głąb kraju z rozkazem z dnia 27-go czerwca, zastąpił go zaś wysuwający się z Wołynia nowy korpus Tormansowa; działania więc Reyniera i Schwarzenberga w tę stronę znowu skierowane być musiały, odrywając się już tym sposobem od całego łańcucha armii, która dalej na północ ciągnęła.

Gdy więc Tormansow ukazał się od strony Łucka i Włodzimierza, postępując ku Kobryniowi i Prużannie, Reynier z Białegostoku skie-

rował się na Wołkowysk do Słonima, dokąd też i korpus Schwarzenberga podążył.

Tormansow posuwał się ostrożnie, sił dostatecznych nie mając, aby się z Schwarzenbergiem i Reynierem mierzyć, ale zaszedł traf niespodziewany; generał Markow z dwoma dywizyami w 15 tysięcy ludzi, odcięty będąc od korpusu Bagrationa, który się w głąb kraju posunął, nie mogąc działać na swoją rękę, musiał dążyć do korpusu Tormansowa i posuwając się na Prużannę, wpadł przypadkowo na ów batalion Sasów pod Semenczą, który przewagą sił zniósł do szczętu, a manewrując szybko, złączył się z Tormansowem i powiększył korpus jego do poważnej już liczby 45-ciu tysięcy wojska. Schwarzenberg miał pod sobą 30, a Reynier ledwie 10 tysięcy ludzi; obie armie nieprzyjacielskie lawirowały na niewielkiej przestrzeni kraju, której prawie środkowym punktem była Prużanna; ani jedna wszelako, ani druga strona wcale się gorąco naprzód nie rwały. Kosiński kusił się kilkakrotnie namówić Reyniera do zaczepnego działania, ale Francuz nie był wcale człowiekiem łatwym do namowy; przywykły rozkazywać raczej niż słuchać, na Schwarzenberga nawet przeważny wpływ wywierał, lubo

z pogardliwą prawie zarozumiałością i dość lekko z nim się obchodził.

Reynier dobrym był generałem, zdolnym i doświadczonym wodzem, ale zły, chmurny i namarszczony zawsze, w obejściu był nieznośnym i twardym; jak większa zaś część Napoleońskich generałów, co w wojnie i z wojny od młodzieńczych lat wzrośli, skrupułów nie znał, z życiem i mieniem ludzkiem wcale się nie rachował, a z krwią najzimniejszą często był nieubłaganym i srogim.

Znał też widać dobrze i Napoleon swoich generałów, kiedy w liście do króla Hieronima, datowanym z Gdańska dnia 15 czerwca 1812 r., gdy ciągnąc przez Księstwo Warszawskie, wojska gospodarowały sobie po swojemu, zbyt swobodnie w kraju, pisze mu wyraźnie i zaznacza słowa, *maintenez „Reynier et Vandamme,“* szkoda tylko, że nie było komu powstrzymywać samego króla Hieronima i jego ulubionych gwardzistów. O Vandammie prócz tego wyraził się raz cesarz dowcipnie, że: „Gdybym miał drugiego Vandamma, tobym tego kazał rozstrzelać.“

Namówić więc generała Reyniera niełatwo było Kosińskiemu, mruczał tylko i dmuchał, jak to miał we zwyczaju, za wielką zaś grzeczność

musiał sobie nasz Kosiński poczytać, że Francuz wybąknął wreszcie: „zobaczymy.“

Ale ta ostrożność, a nawet ta nadzwyczaj łaskawa, jak na Reyniera, obietnica nietrudne były do wytłumaczenia; sam on i bez namowy, nie mogąc zapomnieć haniebnie straconego batalionu Sasów i ośmiu dział, co mu zabrano, silne miał postanowienie odwetu; wiedząc jednak o wzmocnieniu się korpusu Tormansowa, jako wódz przezorny, rachował się z siłami i czekał także na posiłki, o które usilnie się starał.

Jakoż, nadesłał mu niebawem generał Loison z Królewca 10 tysięcy ludzi.

Tym sposobem korpusy Schwarzenberga i Reyniera wzrosły już do 50 ciu tysięcy wojska, które śmiało mogło się mierzyć z Tormansowem; pomyślna też dla Francuzów i świetna bitwa stoczona dnia 12 sierpnia pod Horodeczną, o parę mil od Prużanny, o której niżej właśnie powiemy, dowiodła, że Reynier był wodzem zdolnym i doświadczonym.

Niecierpliwy Kosiński, po nadejściu posiłków, znowu się przypominał generałowi, który na ten raz uśmiechnął się nawet i kiwnął głową łaskawie.

Dnia 6 sierpnia ruszyły wojska z pod Słoni-

ma; kierując się na Prużannę ku Kobryniowi na spotkanie Tormansowa; wyszedł Reynier sam naprzód, za nim postępował korpus Schwarzenberga.

Tymczasem nasze młode małżeństwo, spokojnem domowem szczęściem upojone, zapomniało o Bożym świecie.

Pan Hieronim, gdyby się był nie ożenił, swobodny jak przed kilku laty, byłby się zapewne rwał do szabelki i konia, a i teraz wzdychał często i tarł niecierpliwie czarną swoją czuprynę; żona jednak ubłagała go i powstrzymała, przyczem i to dodać trzeba, że gospodarstwo Francuzów w Księstwie Warszawskiem, a wojsk ich, gdziekolwiek się obróciły, zwłaszcza zaś teraz przy wejściu na Litwę, niewielu im zjednać mogło zwolenników.

Cicho było w folwarku położonym na uboczu, dochodziły wprawdzie nowiny o pojawiających się tu i owdzie wojskach jednych i drugich, ale ich nie widziano wcale.

Mała potyczka pod Semenczą, która szczęśliwym trafem mieszkańcom szkody nie przyniosła, przechodziła już w dziedzinę legendy, a główną uwagę zwracały rzadkie i głuche o działaniach wielkiej armii wieści, które z ust do ust

podawane, lotem błyskawicy przebiegały kraj cały.

Dnia 11 sierpnia wypadło panu Hieronimowi jechać do Kobrynia; prosiła go usilnie żona, żeby się wstrzymał z tą podróżą, bojąc się na te czasy sama zostać w domu i niepokojąc się o męża z powodu wiadomości o różnych oddziałach wojsk, które pojawiały się w tych stronach.

Ale sprawa była jakaś pilna, pan Hieronim nie dał się skusić żonie, uspokoił ją, obiecując nazajutrz przed wieczorem wrócić, wziął lekką bryczkę, parę koni, oraz młodego od stajni chłopaka, Iwasia, i po południu wybrał się w drogę, mając nadzieję na noc jeszcze zajechania na miejsce.

Dzień sierpniowy pogodny był i słońce dogrzewało dobrze; pan Hieronim naprzód się jakoś zadumał, a po niejakim czasie oczy mu się przymykać zaczęły i zadrzemał szczęśliwie.

Już był kawał drogi ujechał, kiedy usłyszał nagle:

— Stój, stój! poczekaj!

Chłopak konie wstrzymał, a nasz podróżny, otworzywszy oczy, spostrzegł drugą bryczkę, z którą się miał minąć właśnie i na niej znajomego swego, przyjaciela, Jelca!

— A! jak się masz?

— Dokąd jedziesz? — spytał pan Jelec.

— Do Kobrynia.

— Oho! to lepiej się wróć.

— Dlaczego?

— Tu wskróś rozciągnięty cały korpus Tormansowa, jak kto tam wpadnie na ich forpoczty, natychmiast zatrzymują, prowadzą od Ananasza do Kajfasza, do majorów, do pułkowników, do generałów, indagują i pytają, mnie cztery dni trzymali, ledwiem się wyprosił przez znajomych.

— A! niechże ich! — mruknął pan Hieronim — co tu robić?

— Wrócić się najlepiej — odparł Jelec.

— Ba! kiedy mam pilną i terminową sprawę, możeby ich można objechać?

Jelec głowę pochylił, brwi podniósł i usta wydął znacząco.

— Ha! nie wiem, może... Ale trzeba chyba dużo drogi nałożyć.

Zamyślił się pan Hieronim.

— No — rzekł po chwili — cóż robić... Dziękuję ci, że mnie ostrzegłeś, będę próbował przebrać się bokiem.

Pożegnali się; bryczki ruszyły; podróżny nasz, podjechawszy kilka stai, kazał na pierwszej dro-

dze zwrócić w bok i postanowił z półtorej do dwóch mil posuwać się w tym kierunku, próbując obóz Tormansowa okrążyć.

Rozbudzony, nie mogąc już drugi raz zadrzemać, rozglądał się uważnie na wszystkie strony; już był niedaleko Horodecznej, mając właśnie przejeżdżać w poprzek gościńca, który do niej z Prużanny prowadzi, gdy chłopak, co go powoził, strwożony, wykrzyknął nagle:

— Panie! jakieś wojsko od Prużanny idzie.

Spojrzał pan Hieronim; w istocie na gościńcu wznosił się tuman kurzu i od słońca połyskiwała broń, której brzęk nawet dawał się już słyszeć.

Chłopak wstrzymał konie przed samym gościńcem i zaczął w tył zawracać; zapatrzony na postępujący oddział wojska, ani spostrzegł się pan Hieronim, kiedy już tchórzliwy woźnica popędzał konie i zaczął nazad w cwał uciekać.

— Co robisz? czekaj! — wołał.

Ale chłopak smagał biczem, a konie co sił pędziły.

Tymczasem w postępującym oddziale musiano zwrócić uwagę na uciekających, w jednej chwili bowiem oderwało się od kolumny wojska

jeźdźców kilkunastu i puściło się za bryczką w pogoń.

Pan Hieronim, wiedząc, że uciekać nie miał bynajmniej przyczyny, że się przez to owszem naraża na podejrzenie i że wreszcie dogonią go niezawodnie, ledwie zdołał cugle od chłopaka odebrać i łając go przytrzymywał rozbrykane konie.

Zwolniły wreszcie biegu, ale w tej chwili rozległo się wołanie:

— Halt! halt!

Ukazały się kanarkowe mundury Sasów, którzy otoczyli bryczkę.

Nie pytając się i nie wdając się w żadne rozmowy, ani słuchając, co im pan Hieronim przekładał, zawrócili, obstąpili wkoło i kazali jechać z sobą, wiodąc do postępującego gościńcem oddziału.

Oficer, jadący na przedzie, popatrzył ciekawie na podróżnego, pokręcił głową i nie rzekłszy ani słowa, skinął, żeby bryczkę dalej za oddziałem prowadzono.

Naprożno pan Hieronim chciał się usprawiedliwiać, prosił, żeby go puszczono; pan major pogardliwie tylko ruszył ramionami i nie raczył nawet odpowiedzieć.

Nie było rady, należało się uzbroić w cierpliwość i zdać się na łaskę Opatrzności.

Na parę godzin przed zachodem słońca stanęło wojsko w Horodecznej; niektórzy oficerowie ruszyli wnet na różne strony, dla rozprowadzenia i rozstawienia posterunków, pan major tymczasem w mgnieniu oka wyrugował ekonoma z niewielkiego folwarcznego domku, który natychmiast kazał zamiatać, oczyszczać i porządkować po swojemu.

Wojsko, którego nie było więcej nad parę szwadronów kawaleryi, ustawiło się w porządnym szyku, żołnierze pozsiadali wprawdzie z koni, lecz ich nietylko nie rozkulbaczali, ale mundsztuków nawet nie zdejmowano, widocznie wielka ostrożność była zachowana.

Mały domek ekonoma, sienią na przestrzał w środku przedzielony, składał się z izby większej i alkierza po prawej stronie, z piekarni i śpiżarni po lewej. Folwark stał na wysokiej suchej płaszczyźnie, rozlegającej się przed domkiem ekonoma w plac szeroki i ogromny, zarosły drobną, nizką, a gęstą trawą, która ciągle przez inwentarz przygryzana wyglądała jak gładkie zielone sukno, wyciągnięte na stole.

Zdala, po lewej stronie za domkiem, widać

było rozrzucone obszerne zabudowania gospodarskie, dla których miejsca nie żałowano. Przy dworku zaś samym rosło tylko starych lip kilka potężnych, co już zapewne przez sześć, albo siedm wieków na świat Boży patrzały.

Niewielki wawrzywny ogródek z prawej strony od okien domku zniżał się ku łączce, na której z brzegu, zaraz od dziedzińca stała stara niewielka szopa, na skład siana przeznaczona. Przy tej właśnie szopie w cieniu drzew starych, zatrzymano bryczkę pana Hieronima; nie wołał go nikt, straże tylko zmieniono, musiał więc siedzieć i czekać.

Chłopak, wyciągnąwszy nieco siana z pod koziołka, porzucił go koniom i z ciekawie roztwartemi ustami, stanąwszy pod drzewem, przypatrywał się „żołnierzom.“ Chcąc czy nie chcąc, podróżny nasz, choć z mniejszą ciekawością, musiał się im również przyglądać.

W dworku, o kilkadziesiąt kroków położonym, widział pan Hieronim krzątaninę i przygotowania jakieś, domyślał się, że je czyniono dla pomieszczenia starszyzny wojskowej, co i tem się jeszcze objaśniało, że go nikt o nic nie pytał; widocznie więc czekano na kogoś, a oddział,

który podróżnego pochwycił, musiał być awangardą, czyli przednią strażą korpusu.

Jakoż, domysły te nie omyliły pana Hieronima; niebawem nadciągać zaczęły coraz nowe znaczne oddziały wojsk różnej broni, kawalerya, artylerya i piechota, oraz sztab główny, na czele którego jechał na bardzo pięknym karym arabskim koniu, sam jeden, jak się okazało, generał Reynier.

Był to mężczyzna, mający natenczas lat czterdzieści, średniego wzrostu, niewielkiej tuszy, z twarzą ciemną i ogorzałą, na której niezatarte ślady zostawiło syryjskie, czy egipskie słońce, a zapewne i wojny z barbarzyńcami wschodu; wzrok bowiem i postawa dumna, namarszczone czoło i surowo zaciśnięte usta nadzwyczaj przykre i niemiłe sprawiały wrażenie.

Generał zsiadł z konia przed domkiem, rzucił jeszcze chmurnem okiem wokoło i wszedł do środka; za nim wsunęło się cicho kilku oficerów i major, który przednią strażą dowodził.

W kuchni już się krzątano, przed gankiem ruch był nieustanny.

Tymczasem słońce zaszło i zciemniło się już zupełnie; pan Hieronim zniecierpliwiony, napró-

żno wołał i prosił, aby go do generała puszczono; nie pomogło nic, musiał czekać.

Było już około dziewiątej godziny wieczorem, kiedy z domku wyszedł jakiś wojskowy i z czterema żołnierzami podstąpiwszy do bryczki, rzekł łamaną polszczyzną:

— No, prosim.

Ręką wskazując, żeby podróżny szedł za nim.

— A, przecie! raz to się skończy — mruknął pan Hieronim, zeskakując z bryczki.

W tej chwili otoczyła go warta i przeprowadzono do dworku.

W pierwszej izbie na prawo, przy stoliku, na którym paliło się dwie świece woskowe, stał generał, lewą rękę w bok podparty, prawą niedbale przerzucając jakieś niewielkie zapisane kartki, które szyko przebiegał oczyma.

Podniósł głowę i przenikliwym wzrokiem spojrzał na podróżnego.

Pan Hieronim żywy, a zniecierpliwiony, zaczął po francuzku przekładać generałowi, że go bez żadnej przyczyny zatrzymano, że w pilnej sprawie jechał, i że od wojsk cesarza Francuzów niczego podobnego nie mógł się spodziewać.

Generał chwilę zdawał się słuchać spokojnie, oczy mu tylko połyskiwały i koło ust widać

było lekkie drganie muskułów; nagle tupnął nogą.

— Dosyć! dosyć tego! — krzyknął — jedziesz z obozu nieprzyjacielskiego, dokąd? jakie masz papiery?

Pan Hieronim stał zdumiony, słuchał i uszom własnym nie wierzył, widocznie uważano go jako emisaryusza albo szpiega.

Krew w nim zakipiała na podobne przypuszczenie; już miał wybuchnąć, ale chwila namysłu dała mu rozwagę.

Cóż mógł poradzić przeciw sile i samowoli? Zostawała jedyna rozsądna droga, wyjaśnienia prawdy, usprawiedliwienia się jakiemiś dowodami.

— Jadę z domu — odrzekł wreszcie, siląc się na okazanie zimnej krwi i spokoju — obozu żadnego nie widziałem, jak to już miałem honor generałowi oświadczyć, papiery mam własne, które były mi do sprawy w Kobryniu potrzebne.

To mówiąc, dobył z kieszeni kilka złożonych arkuszy i położył je na stole.

Generał spojrzał; wszystkie były po polsku pisane; ruszył pogardliwie ramionami.

— Nie umiem po rusku — mruknął.

Nieopodal, bardzo służbisto i skromnie stało kilku oficerów; skinął na jednego z młodszych; był to, jak się później okazało, Polak, porucznik Tomaszewicz, z dywizyi Kosińskiego, który jako adjutant zostawał przy sztabie Reyniera.

— Zobacz, co to jest — rzekł generał.

Adjutant wziął papiery nieśmiało, ręce mu drżały widocznie, przejrzał szybko.

— To są dokumenta do jakiejś sprawy sądowej, zdaje się — mówił Tomaszewicz zcicha — że ten pan istotnie...

— Aha! — z szyderskim uśmiechem przerwał generał — znamy się na tych sztukach — skinął głową — zrewidować go!

Zwrócił się i wyszedł do alkierza, w którym znajdowało się kilku wyższej rangi oficerów przeglądających wielką mapę, rozciągniętą na drzwiach, które położono na małym stole, a wyjęto te właśnie, które z pierwszej izby do alkierza prowadziły.

Na rozkaz generała, sierżant z jakimś ordynansem zaczęli ściągać z naszego podróżnego ubranie, aż do butów nawet, przetrząsając wszystko z największą skrupulatnością. Oczywiście nie znaleziono nic podejrzanego.

Tomaszewicz, spostrzegłszy, że generał w al-

kierzu, schylił się nad mapą, podchodząc ostrożnie, rzekł zcicha:

— Zmiłuj się pan, trzeba się jakoś usprawiedliwić, z naszym generałem żartów niema...

— A cóż mam robić? — odrzekł z oburzeniem pan Hieronim — toż to rozbój na gładkiej drodze...

— Pst!... na miłość Boską — szepnął adjutant.

Kiedy nasz podróżny ubierał się już napowrót, stojąc nieopodal otwartego okna, spostrzegł na dziedzińcu drugą indagacyę, która się odbywała z Iwasiem, jego stajennym chłopakiem.

Ten sam sierżant, co był pana Hieronima z bryczki powołał, w obecności jakiegoś starszego oficera, przy latarni, przed gankiem ciągnął chłopaka na spytki. Ale Iwaś stał jak mruk, na żadne pytania ani jednego słowa nie odpowiadał; był niemym i głuchym; stał tylko nieruchomy i patrzył, a gęsto mrugał oczyma. Gdy więc żadne namowy, ani szturchańce nie pomagały, zabrano się do sposobu, który uważano widać za najkrótszy i najskuteczniejszy.

W mgnieniu oka Iwaś leżał na trawie, przytrzymywany przez dwóch silnych Sasów, a brzozowe miotełki, świszcząc w powietrzu, z posza-

nowaniem ubrania, sypały mu się z hojnej i wprawnej ręki na skórę. Ale Iwaś był rodowitym, Rusinem; jak się raz zaciął, może sam nie zdając sobie sprawy dla czego, można go było poćwiertować w kawałki i niktby już z niego nietylko słowa, ale nawet jednego jęku nie dobył.

Ta niekiedy nadludzka prawie wytrwałość jest charakterystyczną cechą Rusinów; faktem jest historycznym, że gdy po Humańskiej rzezi opryszków na pal wbijano, ciągnąc parą wołami za postronki do nóg uczepione, byli tacy, którzy odzywali się z flegmą do operatora: „Pane majstre, krywo ide.“

Iwaś, zacisnąwszy zęby, leżał jak kawałek drewna, przebierał tylko palcami po trawie, niewątpliwie dziesiątki razów starając się sobie porządnie i regularnie obliczyć.

Dano mu pokój wreszcie, oficer splunął ze złości, sierżant go popchnął z zaklęciem i na tem się skończyło.

Ale pan Hieronim na widok tej nieludzkiej sceny nie był już w stanie pohamować swego oburzenia; począł więc głośno wyrzekać na postępowanie władz wojskowych, na samowolę, barbarzyństwo i brak wszelkich względów dla miejscowych mieszkańców, zapowiadając, że bę-

dzie szukał sprawiedliwości, chociażby u samego cesarza.

Oficerowie struchleli słysząc podniesiony głos i oskarżenia podróżnego.

W tym czasie generałowi zdawał właśnie raport o bezskutecznej indagacyi Iwasia, ów gruby saski pułkownik, który ją z pomocą sierżanta prowadził.

Na wyrzekania pana Hieronima wcale nie zwracając uwagi, generał ruszył tylko ramionami, przemówił coś do kilku starszych oficerów, którzy z nim razem znajdowali się w alkierzu; jeden z nich kiwnął głową, drugi machnął ręką z cynicznym uśmiechem, trzeci słychać było jak zwrócił uwagę, że „choć z nim się bawić niema czasu, a puścić nie można, ale już jest późno i noc ciemna", na co odrzekł Reynier krótko:

— A no, to jutro ze wschodem słońca egzekucya! a teraz — dodał, zwracając się do grubego Sasa — wyprowadzić go, zamknąć tu do tej szopy — wskazał ręką — i straż postawić; będziesz mi za niego odpowiadał.

Słowa te słyszał pan Hieronim dokładnie, ale pojąć ich nawet nie umiał; rozumiejąc, nie wierzył jednak w to, co oznaczać miały, sądził, że

nie zrozumiał dobrze obcego języka, że mu się coś przysłyszało, a jednak nie mógł się oprzeć wzruszeniu i niespokojności. Nie wiedział już co się z nim dzieje, nie pamiętał i nie spostrzegł się nawet, kiedy i jak znalazł się zamkniętym w owej szopce przy dworku stojącej.

Jakby w obłędzie jakimś, czy we śnie nawpół rozbudzonym, stał oparty o słup przy wrotach, które zamknęły się za nim z łoskotem.

Z zewnątrz słychać było kroki obchodzących wkoło szyldwachów i zachrypły głos niemca oficera, który je ustawiał, zalecając baczność i uwagę, a gdyby uwięziony próbował uciekać, rozkazując strzelać.

Miarowy krok chodzącej straży słychać było przy każdej ścianie, a z obszernego dziedzińca, na którym wygodnie rozłożyło się kilka kompanji piechoty i jazdy, dolatywał zgiełk i gwar wciąż równy a przytłumiony i tuptanie koni, od którego tentent głuchy dudniał daleko po twardej i wyschłej ziemi.

Straże przy szopie musiały być postawione gęsto, prócz tych zaś co chodzili przy ścianach, dwóch jeszcze stało przy wrotach.

Rozmowa ich półgłosem, w jakiś czas po odejściu oficera zbudziła pana Hieronima z odrę-

twienia w jakiem zostawał; początku jej nie słyszał, urywała się czasem, aż ozwał się jeden:

— Pewno zostali w Słonimie.

— Ale, gdzie tam! — odparł drugi — wyszli i austryacy i polacy z Kosińskim, podobno są na prawem skrzydle; będzie jutro ciepło! oho! zobaczysz!

— Et! a gdzież są russy? ani słychać o nich!

— Aha! niesłychać!? co ty wiesz! Tormansow niedaleko; toż ich szpiega złapali co z obozu jechał.

— Jakiego?

— A no, przecie tego, co tu w szopie siedzi.

— To ten szpieg?

— A jużci ten.

— A huncwot! — zaklął Sas — to go trzeba było powiesić.

— Sierżant Hans mówił — odparł drugi — że generał kazał go jutro, jak tylko na dzień wyprowadzić i rozstrzelać.

Pan Hieronim nie był wcale słabym, albo zbyt drażliwym; owszem, przy bardzo żywym temperamencie, był to człek hartowny i prawdziwie męzkiego ducha posiadał; wszystkie te

jednak przymioty potrzebują pewnego rozwoju walki, jakiejś miary czasu, żeby w całej pełni sił zajaśnieć i ujawnić się mogły.

Cios tak piorunowy i nagły, tak straszny, niezasłużony i niespodziewany, zachwiałby chyba ducha najbardziej bohaterskiego.

Panu Hieronimowi krew jak wrzącym ukropem uderzyła do głowy... zaszumiało w uszach, iskry zdawały się przebiegać przed oczyma, w piersiach dech się zatamował, myśli zmięszały się w jakiś zamęt nierozplątany i bezładny, przechodzący w osłupienie i odrętwienie, w którem jedyna jeszcze iskierka samowiedzy, świadcząc o życiu, kazała tylko powątpiewać o rzeczywistości własnego istnienia na jawie... jeszcze chwila, osłabł — i obsunął się na ziemię.

. . . . . .

Noc, ciemność zupełna, chłód; z różnych stron słychać miarowe stąpania... do koła widać jedne nad drugiemi blade smugi światła wkradające się przez podłużne szpary.

Więzień obejrzał się wkoło, równowaga myśli wracać mu zaczynała.

— Tak! więc to jest prawdą... koniec... za kilka godzin ginę! za co?... to niepodobna!

jakiem prawem? czyż nie ma już na świecie sprawiedliwości? moja biedna nieszczęśliwa żona — dziecina sierota! Boże, Boże! tak byliśmy szczęśliwi! tak szczęśliwi! nie, to być nie może... to się wyjaśni... omyłka, barbarzyństwo! rozbój! Przecież są ludzie na świecie... znają mnie. Za co mam ginąć? za co? dla czego? Czyż nie ma już Boga na niebie, żeby się takie bezprawia działy!?... Szczęśliwe dnie nasze... raj... jak jedna chwila tylko błysnęły... na progu życia tak jasnego i pogodnego, tak ginąć... ach! Boże! Boże!

Gorące łzy toczyły mu się strumieniem, zasłonił twarz rękoma.

I znowu przyszła chwila bezmyślnego prawie osłupienia.

Boleść, zwątpienie, chwilami gniew bezsilny, tysiączne wspomnienia, żal, nadzieja jakaś nieokreślona, rozpacz wreszcie i jeszcze zaufanie w prawo, w sprawiedliwość, mięszały się i krzyżowały w skołatanym umyśle... wstrząsały nim i targały jakby próbując siły wszelkich ogniw, co go w miarowej równowadze utrzymywać miały.

Ciężka to była próba! i zaprawdę duch nielada chyba hartowny mógł z niej wyjść bez zupełnego upadku i rozstrojenia.

Tak mijały godziny za godzinami — cały wiek nieokreślonych boleści...

W szopie już było prawie widno zupełnie; przez mnóstwo szerokich otworów pomiędzy osiadłemi w starych ścianach dylami wkradały się różowe smugi jutrzenki, coraz jaśniej, coraz jaskrawiej.

Pod nastrzępioną i podziurawioną strzechą przelatywały, trzepotały się i ćwierkały wesołe wróble i sikorki, wlatywały jaskółki do gniazd ulepionych skrzętnie w kącikach, niosąc ranny pokarm pisklętom... szczęśliwi rodzice! swobodne ptaszęta!

Dobrze im na tym pięknym świecie, jednem wolnem państwie dla całego stworzenia, bez granicznych słupów, bez łupiestwa i rozboju, bez wszelkich praw i obyczajów, które sobie ludzie jednak dla siebie stworzyli. Zkąd tych praw początek?

Wielki rozum, króla stworzeń, człowieka umie myśleć o jutrze, a więc wszystko się dla tego jutra robi! Ale któż go może być pewnym?

— Wszakże i ja — westchnął pan Hieronim — myślałem o jutrze; mógłżem się spodziewać tego, co mnie z dzisiejszym rankiem spotyka?...

W tej chwili odezwały się trąbki i werble rannej pobudki.

Zbliżała się ostatnia godzina.

Więzień upadł na kolana i modlić się począł... na śmierć — gdy cała przyroda budziła się do rozkosznego życia.

Niebo okrywało się już purpurą i złotem, letni cudowny poranek roztaczał się z całym swym przepychem, z całym wdziękiem świeżości barw i woni.

Złowróżbne wrony tylko, dobrze znając krwawe, jak ich i żarłoczne obyczaje ludzkie, przelatując gromadnie, z krakaniem trzepotały się i obsiadały wierzchołki starych lip poważnych, które nieruchome i spokojne zdawały się marzyć o dalekiej przeszłości i z politowaniem spoglądać na ten ruchliwy świat stworzeń, drobny a różnorodny żywioł tak wątły i krótkotrwały, a w wiecznym z sobą zostający boju.

Jak owe roje chrząszczów co je obsiadały z wiosną, aby po krótkiej chwili istnienia spaść i zaryć się w ziemi, tak przez wiele i wiele wieków widziały one podobne zbiegowiska ludzi — to niedźwiedziemi i rysiemi okrytych skórami, to w ciężkich pancerzach, to w zbrojach skrzydlatych... i wszystko to, jak dziś

owe pstre pod ich konarami rozłożone hufce, kipiało, wrzało kruciuchnem, nietrwałem życiem — leciało z burzą, a po chwili istnienia, jak te muchy i chrząszcze w proch się rozsypywało.

Ile lat, ile pokoleń... ile hardych rozumów, ile zmian pozornych, a wreszcie... toż samo co było!

Z modlitwy, nadziei, z trwogi i bezładnych dumań zbudził pana Hieronima chrzęst wrót, które otwierano. Co się w jego duszy i umyśle działo, Bóg tylko wiedział; powstał jednak dość krzepki i silny, postanawiając sobie do ostatka domagać się sprawiedliwości i upominać się o swoje prawa.

Wszedł ów gruby saski oficer, dwunastu żołnierzy z podoficerem stało przed szopą; żadnych nie słuchając protestacyi pana Hieronima, związano mu ręce w tył i wyprowadzono.

Wołał, że chce się widzieć z generałem, Sas kiwnął głową potakująco, a tymczasem kazał prowadzić mimo dworku, kierując się w pole na wzgórek, tuż za folwarkiem, gdzie zdala widać było czterech żołnierzy stojących z rydlami nad wykopanym już grobem.

Na ganku przed dworkiem znajdowali się

właśnie adjutant Tomaszewicz z jakimś wyższym oficerem francuzkim, szefem sztabu Reyniera, oba stali i rozmawiali, a wcale nie po żołniersku posilali się trzymając każdy w rękach po skromnej szklaneczce mleka i kawałku razowego chleba.

Kiedy nieopodal przechodził oddział żołnierzy prowadzący nieszczęśliwego więźnia na stracenie, francuz rzucił nań okiem i zwrócił się do Tomaszewicza; żywo zamienili słów kilka a szef sztabu zawołał głosem donośnym:

— Halte la!

Gruby Sas zatrzymał konwój.

— Jaki to więzień? — zapytał francuz.

— A... to ten szpieg, co go wczoraj złapano.

— Jakto? ten? to być nie może... ja tamtego widziałem, to jest ktoś inny.

Sas zmięszał się na chwilę, zwątpił, popatrzył na pana Hieronima.

— Hm! — mruknął — prawda, że tamten był dużo młodszy... ale nie, nie... jakże? zkądby się wziął inny... pod strażą był.

— To niepodobna! — zawołał francuz — tu w tem coś jest; prowadźcie go tutaj, za mną, do generała.

Działo się to w tej chwili, kiedy pan Hieronim spostrzegłszy dwóch starszych wojskowych na ganku miał już właśnie wołać, prosić, domagać się sprawiedliwości.

Ten zwrot niespodziewany zamknął mu usta; zajaśniał jakiś promień nadziei, ale nie mógł zgoła zrozumieć ani co się stało, ani co w tem dziwnem położeniu miał począć?

Widocznie i Sas nawet nie był pewnym, czy więzień był ten sam; korzystać z tego i zaprzeć się własnej osoby? może byłoby drogą do ocalenia... ale był przecie niewinnym, zresztą co miał w takim razie mówić? Tysiączne myśli, jak błyskawice przelatywały mu po głowie, kiedy wchodził do dworku.

Wprowadzono go do pierwszej izby, w alkierzu przez drzwi wyjęte widać było zebranych kilku ze starszyzny wojskowej; generał Reynier śledził coś właśnie na mapie, a przed nim tyłem obrócony do otwartych drzwi od pierwszej izby, stał jakiś mężczyzna średniego wzrostu, w długim prostym kitlu płóciennym, w łykowych łapciach, z sakwami na plecach i najpłynniejszą francuzczyzną, spokojnym a poufałym tonem mówił do Reyniera:

— Ależ mylisz się generale... zupełnie źle

was zawiadomiono, Tormansow ma siły rozdzielone, tak jak to wam wskazałem; masz go dziś jak w garści, trzeba korzystać z tej sposobności.

A zwracając się do jednego z oficerów saskich, dodał po niemiecku:

— Wyszlijcie zaraz rekonesans, to się przekonacie.

Duch wstąpił w pana Hieronima, nie mógł wątpić ani na chwilę, poznał starego Dołęgę, takich dwóch postaci nie było na świecie.

Tu stary ku pierwszej izbie okiem rzuciwszy, spostrzegł nieszczęśliwego więźnia z rękoma w tył związanemi.

Stanął osłupiony; patrzył, ruszył ramionami, na twarzy jego malowała się niepewność jakaś i zdziwienie.

— Panie Janie! ratuj, zlituj się! — zawołał pan Hieronim — złapali mnie wczoraj na drodze, wyobrazili sobie, że jestem jakimś szpiegiem i już mnie rozstrzelać mają.

— Mater Dei! — wykrzyknął stary Diogenes, podnosząc ręce w górę i podchodząc żywo — ale cóż się z tobą stało?!... ja w pierwszej chwili poznać cię nie mogłem!...

Wychodził właśnie i generał Reynier z sze-

fem sztabu i innymi oficerami z alkierza; spojrzał na pana Hieronima.

— A prawda — mówił generał do szefa — to chyba ktoś inny... cóż to jest?

Tu spostrzegł Dołęgę zajętego żywą rozmową z panem Hieronimem.

— Co to? znacie tego pana? — spytał.

— Cha! cha! cha! — zaśmiał się stary — ja? od dziecinnych lat; jakżebym go nie znał; to jest obywatel, mieszkaniec tutejszy, ma majątek niedaleko ztąd, znany, szanowany powszechnie; nie rozumiem, co to się stało?

— Jakto? — spytał podejrzliwy generał Reynier — ale pan z początku zdawałeś się go nie poznawać.

— A no, i pewno — odparł Dołęga — mogłem się zawahać, widząc najprzód, że go traktujecie jak zbrodniarza; ale co ważniejsza, przed kilku dniami byłem u niego, toć był młody człek... dziś, starzec prawie...

— A! — zawołał generał — tak! tak! prawda! dziwna rzecz! i myśmy go dziś nie poznali.

Tu skinął, żeby panu Hieronimowi rozwiązano ręce, a podchodząc i kładąc dłoń na jego ramieniu dodał uprzejmie i nie bez pewnego zakłopotania:

— No, no... wybacz pan, wojenny czas, różne rzeczy się trafiają; wolny pan jesteś, wolny... Panowie! — dodał obracając się do oficerów — pewno ten pan nic nie jadł, przyjmijcież go... ja muszę odejść.

I żywym krokiem wyszedł na ganek.

Tu podszedł szef sztabu i rzekł wesoło, wstrząsając za obie ręce pana Hieronima:

— Bardzo rad jestem, że się tak rzeczy szczęśliwie pokierowały; wszystkim nam to było bardzo przykro, ale z naszym generałem...

Rozstawił ręce.

— No, cóż? — ozwał się jakiś Sas spokojnie — to była prosta omyłka.

— Cha! cha! — zaśmiał się Dołęga — piękna mi omyłka! w łeb komu wypalić i powiedzieć, przepraszam!...

Uśmiechnęli się obecni; gawędzono jeszcze chwilę przy śniadaniu, kiedy wszedł żywo Reynier i rzekł zwracając się do pana Dołęgi:

— Tak, tak! miałeś pan słuszność, odebrałem w tej chwili wiadomość i od Kosińskiego, siadaj pan ze swoim znajomym na bryczkę i pospieszajcie w tył ku Prużannie, bo tuby wam za ciepło być mogło. Żegnam... do widzenia!

— Panowie! — dodał do oficerów — za kwadrans sygnały.

W mgnieniu oka rozpoczął się gorączkowy ruch w obozie, a Dołęga z panem Hieronimem, znaleźli się niebawem na prużańskim gościńcu.

Uściskał pan Hieronim starego Dołęgę, nie zastanawiając się zaś wcale nad tem, jakim sposobem ocalał, czuł tylko, jakby się odrodził na nowo.

Nigdy świat nie przedstawiał mu się tak pięknym, jak dzisiaj; nigdy domowe szczęście, którem się cieszył, takim skarbem i rajem, świeże wspomnienia niewypowiedzianych moralnych katuszy, jakie przebył ostatniej nocy, zdawały mu się snem jakimś, niepodobnym do prawdy.

Tymczasem Iwaś żwawo popędzał konie, śpiesząc do domu, bo mu już pilno było podzielić się z ludźmi wrażeniami podróży; lubo te jakie odebrał za pośrednictwem saskiego sierżanta, zostać już miały na zawsze jego tylko wyłączną własnością.

Kiedy podróżni nasi zbliżali się do dworu, w Czachcu, już od strony Horodecznej dały się słyszeć pierwsze strzały działowe.

— Stój — zawołał Dołęga — tu ja wysiądę; jedź waszmość do domu, bo tam żona będzie

niespokojna o ciebie, a ja tu zostanę bliżej; ciekawym jak się rzeczy rozstrzygną.

Zajdziesz pan może do Czachca?

— A właśnie, wstąpię do Bułharyna; z nimi pogawędzić dobrze; niegłupi to człowiek, filozof! i on będzie ciekawy jak się Reynier sprawi. — Dowiemy się wkrótce, do widzenia!

Pożegnali się; bryczka ruszyła.

W parę godzin znalazł się pan Hieronim przed gankiem własnego domu.

Żona wybiegła na jego spotkanie; spojrzała na męża i stanęła zdziwiona i oniemiała.

Pan Hieronim szczęśliwy jak nigdy, począł ją ściskać i witać jak gdyby po najdłuższych latach rozłączenia.

— Co się z tobą stało? mój Boże! — zawołała żona.

— No nic, nic — odrzekł pan Hieronim, niechcąc żony zatrważać opowiadaniem, do którego chciał ją przygotować powoli.

— Jakto nic? zmiłuj się... a twoja głowa?

— Cóż głowa? — macnął się po niej mimowolnie, jakby chciał się przekonać, że mu została na karku.

Wchodzili właśnie do salonu; żona chwyciwszy go za rękę, podprowadziła do zwierciadła.

— No, patrz... zobacz!

Spojrzał pan Hieronim i oczom własnym nie wierzył; bujne i piękne włosy, wczoraj czarne jak węgiel, dziś były... białe jak mleko.

Nie stracił jednak humoru i zwracając się do żony, a wskazując na zwierciadło, zapytał wesoło:

— Jakto? czy to ja?

— Zdaje się — odparła żona.

— A czy będziesz mnie kochać zawsze jednakowo?

Na odpowiedź otrzymał uścisk serdeczny.

Tak pan Hieronim przez kilkanaście godzin nie posiwiał, ale pobielał jak gołąb; to mu przedewszystkiem ocaliło życie i to była owa „jarząbkowa noc“ jego, jak ją nazywał i często wspominał, kładąc ją na dowód, że najstraszniejsze burze na świecie nie mogą dorównać tym, jakie wstrząsać mogą sercem i duszą człowieka.

WOŁODKOWICZE.

1759—1760.

OPOWIADANIE.

...Albowiem wszyscy, którzy miecz biorą, mieczem poginą.
Ew. św. Mat. XXVI, 52.
Per quae quis peccat per eadem puniatur.

Ubliżyłbym chyba łaskawym czytelnikom moim, gdybym śmiał powątpiewać, czy znają „Kwestarza“ Chodźki, albo Rzewuskiego „Soplicę“. Jeden i drugi opisują historyę rozstrzelania Wołodkowicza; wypadek nader w swoim czasie głośny, który cały kraj poruszył. Wiadomość o tem podaje i Kotłubaj w „Galeryi portretów Radziwiłłowskich“, z dokumentów archiwalnych i źródeł autentycznych, z całą sumiennością, jaką odznaczają się prace tego zbyt mało znanego i ocenionego autora; nadto pisze też o tem zdarzeniu i Matuszewicz, kasztelan brzeski, w swoich „Pamiętnikach“.

Porównywając te wszystkie relacye, widzimy, że w każdej z nich są usterki i większe lub mniejsze błędy; przebieg sprawy jednak uka-

zuje się już z tych porównań dość jasno, lubo jej główna sprężyna i pobudki tak surowego, a zwłaszcza nieprawnego osądzenia i stracenia Wołodkowicza, pokryte są pewną mgłą tajemnicy, z po za której, być może, iż w pewnej części przegląda też zawiść stronnictw i wyżej położonych osób. Ale natomiast, wbrew przysłowiu o tajemnych sądach Bożych, tu, gdy działania ludzkie są mniej jasne, za to sąd Boży objawia się w całej swojej potędze.

Rzewuskiego „Soplica“ jest już powszechnie do arcydzieł w literaturze naszej zaliczony; pod tym względem przeto nie ma nic do powiedzenia. Owszem podziwiać nawet tembardziej potrzeba nieporównany talent autora, że umiał wiele z tych obrazków w Soplicy stworzyć prawie z niczego, z ustnych podań i gawęd, ograniczających się nieraz kilku jedynie słowami, krótką wiadomością tylko o samym jakimś wypadku. Ze „Wspomnień“ ks. Dobszewicza dowiadujemy się też rzeczy ciekawej, że jak mówi autor, „połowa prawie pamiętników Soplicy są to wyrazy Abłamowicza“, który był profesorem liceum krzemienieckiego, „obdarzony — jak w innem miejscu wspomina o nim ks. Dobszewicz — nadzwyczajną

pamięcią, bystrością poglądu i pięknem wysłowieniem, mógłby znakomite zająć miejsce między badaczami przyrody, gdyby mniej miał ochoty do gawędy a więcej do pracy". Opowiadanie przeto o Wołodkowiczu w Soplicy z zasłyszanej tylko wzmianki, jak to jasno widać, pomimo tysiąca ciekawych i pełnych charakteru szczegółów, zdających się największą wykazywać dokładność, po bliższem zbadaniu, okazuje się od początku do końca, właśnie w tych wszystkich bez wyjątku szczegółach, fałszywem. Rzecz istotnie, według autentycznych dokumentów, działa się w Mińsku, Rzewuski ją podaje w Nowogródku; zamiast roku 1760, daje rok 1764; zamiast trybunału, mamy w Soplicy sądy kapturowe; zamiast wreszcie Michała Wołodkowicza, jest jakiś Ignacy, który wcale nie istniał; było ich bowiem dwóch braci w tej sprawie Józef i Michał [1]). Ztąd i osoby, występujące u Rzewuskiego podane dowolnie i rzecz jest wprost zrobiona po literacku znakomicie, tylko że w niej słowa prawdy nie ma. Podnosimy to umyślnie, aby wykazać przy tych świetnych twórczych zaletach Rzewuskiego znakomity talent Chodźki, który opisując tę sprawę

[1]) Najstarszy Antoni był w zakonie Jezuitów. (Przyp. aut.)

w „Kwestarzu“ najprawdziwiej, według autentycznych źródeł archiwalnych, oraz ustnych niewątpliwych relacyj, nie podał przecie suchych faktów jedynie, ale ująwszy rzecz w kształt artystycznie obmyślonego opowiadania, żywością ruchu, językiem właściwym epoce i nieporównanem dyalogowaniem, stoi nieskończenie wyżej od Rzewuskiego. Sumienność i umiejętność autora „Kwestarza“ wybitnie też przedstawia się jeszcze w układzie treści samej, która tak jest zręcznie pokierowaną, że oddalając niby Surwinta z Mińska do Białej, potrafił autor uniknąć podawania szczegółów, które mu były mniej znane i niepewne; przenosząc zaś akcyę na księcia Karola, jeszcze bardziej całą powieść ożywił. Opowiadanie Kotłubaja odznacza się ścisłością i niezaprzeczoną prawdą na poszukiwaniach archiwalnych opartą. Relacya zaś Matuszewicza [1]), podająca niby szczegóły zakulisowe i zrzucająca całą sprawę, jak wszystko i wszędzie u tego autora, na intrygi i zawiści stronni-

[1]) Nie rozumiemy dla czego w wydanych pamiętnikach kasztelana brzeskiego, nazwisko jego drukuje się przez „cz“ na końcu, w listach bowiem własnoręcznych, które w archiwum naszem posiadamy, podpisuje się on wszędzie „Matuszewic“. (Przyp. aut.).

cze, lubo może mieć w sobie niezaprzeczenie jakąś część prawdy, we wszystkich szczegółach jednak nie zdaje się zasługiwać na zupełną wiarę. Autor bowiem, sam niepospolity intrygant, we wszystkich sądach swoich jest zbyt zawsze namiętnym, bardzo rzadko bezstronnym, a w tym razie, kiedy z relacyi jego dowiadujemy się mimochodem, że Wołodkowicz blizkim jest krewnym żony autora, on go też przedstawia niemal jako niewinnego baranka.

Na to odpowiadają wszystkie współczesne świadectwa, że ci dwaj bracia Wołodkowicze znani byli w całem województwie z wielce burzliwego charakteru i szalonej fantazyi.

Zamożna bardzo rodzina Wołodkowiczów obszerne po całej Litwie miała stosunki, wielu też wydała ludzi dobrze zasłużonych ojczyźnie, szczególnie w rycerstwie, gdzie męztwem i odwagą słynęli. Szerokie mieli i kolligacye z pierwszemi w Rzeczypospolitej domami; jako: Druckich-Sokolnickich, Ogińskich, Połubińskich, Dorohostajskich, Bułhaków, Paców, Sliźniów, Chrapowickich, Kierzgajłów-Zawiszów, Lubeckich, Przeździeckich, Tyszkiewiczów, Brzostowskich, a przez nich i Radziwiłłów, Szczyttów, Horwatów i wielu innych.

Obaj bracia Wołodkowicze, Józef i Michał, byli towarzyszami pierwszych młodzieńczych wybryków księcia Karola Radziwiłła, „Panie Kochanku“, kiedy jeszcze był miecznikiem litewskim. Młody książe broił, podsycany przez wielu dworaków, co go otaczali; ale przyszły wreszcie czasy inne i ważniejsze sprawy ojczyste, którym się książe po śmierci ojca hetmana na czele domu swego stanąwszy, całą duszą poświęcił; ustatkował się więc niebawem. Pierwsi zaś towarzysze jego hulanek dwaj Wołodkowicze nie wiele — jednak z czasem — ostygli, ufni też w przyjaźń potężnego księcia, dawnych wybryków nie poprzestając, często się ludziom dawali we znaki.

Michał Wołodkowicz w dwudziestu kilku leciech życia ogromnej był i niezwykłej siły, a nieustraszonej determinacyi; w rycerskim zawodzie niktby mu był nie sprostał i zaszedłby daleko, ale czasy były zbyt spokojne, a nadmiar ten jego szalonej fantazyi szukał ujścia przy każdej okoliczności. Zagorzały myśliwy, z jednym tylko oszczepem, bez rusznicy zwykle szedł na polowanie na niedźwiedzia; dość to o sile jego i odwadze przekonywa. W gruncie był nawet dobrym i uczciwym człowiekiem, ale

gdy mu wino w głowie zagrało, rozpasanym i zuchwałym bez granic, a że pił niepomiernie, więc też burdy i ekscessa wyprawiał bez końca. Podpiwszy, nie wahał się nad wykonaniem najszaleńszych pomysłów. Jakoż ciężyła nad nim widać ręka Boża, bo na rok niespełna przed swoją ostatnią awanturą w Mińsku, za którą gardło dać musiał, otrzymał jakby wyraźne o swym nieszczęsnym losie ostrzeżenie.

Opowiadanie, które zamieszczamy poniżej, poczerpnięte z ustnych podań, nieznane było nawet, jak się zdaje, autorowi „Kwestarza“, boby je był niezawodnie zużytkował; podajemy je zaś tem skwapliwiej, że wypadek ten nietylko jest ciekawym i pouczającym, ale nadto w zupełności objaśnia nieznaną dotąd przyczynę, z której wynikła nieszczęśliwa sprawa w trybunale Michała Wołodkowicza.

W roku 1759 słynął w Nieświeżu z wielkiej świątobliwości, pobożności i wymowy jmć. ksiądz Obłoczymski, dominikanin[1]), który z mocy

[1]) Gorliwy ten kapłan, prawie za świętego przez współczesnych był uważany. Raz w czasie kazania wstrzymał się i rzekł nagle: „Król umarł!“ August III tegoż dnia w Dreznie rozstał się ze światem. Wspomina o nim w Pamiętnikach swoich J. U. Niemcewicz. (Przyp. aut.).

otrzymanego b r e v e, jeszcze od Benedykta XIV papieża, zaprowadził był pobożne misye po całej prowincyi. Jeździł więc po miastach, gdzie przy solennych nabożeństwach, z uczestnictwem miejscowego duchowieństwa, uczył katechizmu, wykładał i objaśniał zasady wiary i z wielką gorliwością, namaszczeniem a zapałem kazał do ludu, który też zewsząd cisnął się tłumami i z gorącą skruchą a prawdziwym duchowym pożytkiem słuchał nauk świątobliwego kapłana.

Zjechał ks. Obłoczymski i do Mińska w końcu maja 1759 roku, gdzie też z pomocą miejscowych zakonników: Dominikanów, Franciszkanów, Bonifratrów i Karmelitów rozpoczął swoją świątobliwą pracę. Misya trwała dni kilka; ludu Bożego lubo i w środku tygodnia zjeżdżało się coraz więcej, gdy zaś nadeszła niedziela, tem więcej jeszcze gromadziły się tłumy. Od rana w farnym kościele msze po mszach wychodziły, spowiadano się u licznych konfesyonałów, z największą zaś niecierpliwością oczekiwano szczególniej owego Bożego słowa, które swym potężnym głosem a porywającą wymową głosić miał świątobliwy ksiądz Obłoczymski przed samą sumą.

Był tam natenczas w Mińsku i pan Michał Wołodkowicz, który swoim zwyczajem, pomimo odprawiającej się misyi i ogólnie podbudzonego ducha pobożności, dobrawszy sobie stosowną kompanię, pił, hulał i dokazywał od dni kilku.

Gorszono się tem powszechnie, ale rady na Wołodkowicza nie było. Aż na parę dni przed ową niedzielą, ks. Obłoczymski z ambony kazać począł o pijaństwie z wielką siłą i grozą, wykazując, jakie ten haniebny zwyczaj pociąga za sobą skutki, jak pijaństwo pozbawiając człowieka rozsądku i wszelkiej pamięci, popycha go do rozlicznych szałów i zbrodni, a strącając na ostatni szczebel upodlenia, stawia nawet niżej od każdego zwierzęcia. Gdy zaś począł wyliczać rozmaite w pijaństwie popełniane występki, zdawało się jakoby czytał z dnia na dzień istne *curriculum vitae* i całą litanię wybryków jmći pana Wołodkowicza.

Słysząc to kazanie, pan Michał aż pobladł, ale nie ze skruchy, niestety, lecz raczej z niepomiarkowanej pasyi, bo choć praktyki religijne wypełniał, a do kościoła chodził i natenczas przecie był dobrze podpity.

Wyszedłszy tedy z nabożeństwa, już sobie księdza Obłoczymskiego na wąs namotał, a zna-

lazłszy się z towarzyszami na swojej kwaterze, przedrwiwając z kazań i kaznodziei, asekurował, że to wszystko bzdurstwo, że onby jeszcze lepiej, niż ksiądz katecheta mógł prawić, a jakby zechciał i toby potrafił, że całe te gromady ludu prędzejby za nim, niż za księdzem Obłoczymskim poszły. Dalej tedy szły śmiechy i pijatyki, a herezye różne wyprawiała owa cała wataha Wołodkowicza, nie zważając ani na kapłańskie nauki, ani na uwagi stateczniejszych ludzi. Aż nadeszła niedziela; ludu zebrało się jeszcze więcej niż kiedy, i przed samą sumą wstąpił ks. Obłoczymski na kazalnicę. W kościele nastała taka cisza, że słychać było tykotanie pektoralików po pańskich kieszeniach i brzęk much, co się w oknach kościoła roiły, ale że był dzień gorący i główne drzwi wielkie stały otworem, więc i z podwórza dolatywał szmer miejski i świergotanie ptactwa, co się przy kościele kręciło.

Kiedy po odczytaniu ewangelii zaczynało się już kazanie, wśród owej ciszy powszechnej nagle z przed kościoła dała się słyszeć jakaś dziwna muzyka, brzękadła, bębenki, beczenia, fleciki, kwiczenia, śmiechy i najdziwaczniejsze jakieś głosy. Zrazu nie zwracano na to uwagi, ale

chwila za chwilą przy tych wszystkich osobliwszych odgłosach, gwary, śmiechy i hukania z zewnątrz coraz bardziej wzrastać poczynały, a jednocześnie w kościele, co był wprzód ludem Bożym jak nabity, stawało się coraz przestronniej; ścieśnione pierwej tłumy słuchaczy przerzedzały się coraz bardziej. Aż niebawem doszło do tego, że zaledwie kilkadziesiąt osób poważniejszych w ławkach lub zakątkach zostało. Kościół jakby kto wymiótł świecił gołą posadzką i stał pusty prawie, a zgiełk i hałas przed nim zagłuszał niemal słowa kaznodziei.

Ksiądz Obłoczymski spoglądał najprzód ze zdziwieniem, parę razy zamilkł był na chwilę; uważając wreszcie, że się coś niezwyczajnego stać musiało, przerwał naukę, zszedł z kazalnicy i gdy zakrystyan coś mu szepnął do ucha, wezwawszy dwóch jeszcze księży i dwóch ministrantów z dzwonkami, sam w komży, jak stał na ambonie, środkiem nawy skierował się ku otwartym wielkim drzwiom kościoła; za nim też pociągnęła i reszta pobożnych słuchaczy.

Wyszli wszyscy przed kościół i tu uderzył ich widok zgoła niespodziewany.

Cały tłum, który przed chwilą z największą

skruchą zdawał się słuchać słowa Bożego, zebrany był teraz przed kościołem; gwar głośny, zgiełk, śmiechy, żarty, hukania, nawoływania rozlegały się dokoła; gawiedź cisnęła się i popychała, szerokiem kołem otaczając hece jakieś i widowisko. Była tam muzyka i brzękadła, bębny i piszczałki, które przygrywały skokom i łamanym sztukom dwóch niedźwiedzi, małpy i najosobliwiej poprzystrajanych cyganów, a po nad tym całym tłumem na wysokim wozie jmć pan Wołodkowicz okrakiem na beczce z miodem siedzący, w otoczeniu swej nieodstępnej drużyny, częstuje widzów i słuchaczy, zachęcając do wesołej zabawy.

Zgrozą przejęty kapłan i garstka pobożnych co mu towarzyszyła, stali chwilę w milczeniu.

Ale wnet skinął kaznodzieja na dwóch ministrantów, chłopaczków małych, którzy w komeżkach z dwonkami wysunęli się naprzód, lud rozstępować się począł, a za nimi posuwając się księża, stanęli niebawem wprost niemal i w bliskości wozu, na którym znajdował się Wołodkowicz. Cisza też nastała wśród zawstydzonego tłumu, który powoli w całości swej, jakoby

woda falując, zwracać się począł w stronę kościoła.

W tej chwili kaznodzieja podniósł głos potężny, a w krótkich słowach tylko do zbałamuconego przemówiwszy ludu, natychmiast zwrócił się do Wołodkowicza, głównego sprawcy owego zgorszenia, gromiąc go z taką siłą, że i on sam i ci, co mu towarzyszyli, struchleli i oniemieli pod wrażeniem tych gorących słów kaznodziei, — i strach ich ogarnął tem większy, że ten sam lud, który przed chwilą dał się pociągnąć i obałamucić, opamiętawszy się teraz, nagle skruchą i wstydem przejęty, dość licznemi głosami począł już na nich szemrać złowrogo, ksiądz Obłoczymski zaś, kończąc wreszcie swoją do Wołodkowicza przemowę, rzekł, jakby proroczym duchem natchniony:

— Przyjdzie na ciebie Bożej kary godzina! i ty, który dziś dla świętokradzkiej igraszki odwodzisz lud od przybytku Pańskiego, pomnij! abyś sam dla tego ludu nie stał się strasznego widowiska przedmiotem!

Tu kapłan zwrócił się do kościoła, a za nim skwapliwie posunęły się całe tłumy, świątynia

zapełniła się w jednej chwili, zabrzmiały organy i rozpoczęło się nabożeństwo.

Wołodkowicz, umknąwszy do swego mieszkania, chciał niby z początku nadrabiać miną, ale że wielu nawet z jego towarzyszy zaraz go już pod kościołem opuściło, zły i zawstydzony niebawem z Mińska wyjechał.

Jmć pan Józef, brat Michała, Wołodkowicz, starosta krasnosielski [1]), który się przytem wojskim starodubowskim też pisał, lubo wstrzemięźliwszy nieco, niemniej był zuchwałym, choć nie tak jak Michał odważnym, ale za to zgoła przewrotnym człowiekiem. Mieszkał w województwie Mińskiem, gdzie w majątku swym miał duże jezioro, którego część brzegu dotykała posiadłości niejakiego Jacynicza [2]), będącego dawniej na dworze rodziców obu Wołodkowiczów, których też w młodych latach był prawie piastunem. Jacynicz miał tam mały folwarczek i rachował, że stare lata spokojnie przepędzi pod skrzydłami swych niegdyś pupil-

[1]) Starostwo Krasnosielskie, w wojew. Mińskiem; Kotłubaj i Matuszewicz mylnie tytułują Józefa Wołodkowicza starostą Krassowickim. — Krasnesioło, wieś piękna i obecnie jest w posiadaniu Wołodkowiczów. (Przyp. aut.)

[2]) Pamiętniczek Wejty. (Przyp. aut.).

lów, którzy rej wkoło wodzili. Ale panu staroście zachciało się kupić ów folwarczek od Jacynicza; szlachcic osiadły od dawna, przedać go nie chciał, ile, że pan starosta długów miał po uszy, a skrupulatnością w stosunkach z ludźmi wcale się nie odznaczał. Wołodkowicz zły, począł mu więc po sąsiedzku robić tysiączne przykrości. Tratowano zboże, obdzierano i grabiono ludzi pod pozorem pilnowania granic, przyczem zabierano bydło, przeszkadzano w rybołowstwie, wydzierano ryby i sieci — słowem dzień i noc na żadnym kroku Jacynicz nie miał spokoju. Proces i sprawa z Wołodkowiczem, który ją postrachem, stosunkami i pieniędzmi mógł bez porównania silniej, niż Jacynicz popierać nie wiele ubogiemu obiecywały. Biedny szlachcic stękał i nie umiał sobie poradzić; trwało to czas dość długi, aż wreszcie do rozpaczy przywiedziony, wpadł na pomysł osobliwy. Oto chcąc się zemścić na Wołodkowiczu, kazał ubrać w kontusz snop, czyli jak na Litwie mówią kul słomy, który położywszy nad brzegiem jeziora i rozciągnąwszy niby człowieka, bito nahajami, a Jacynicz pytał:

— Kogo to bijecie?

— Pana Wołodkowicza — odpowiedzieli ludzie.

— Za co?

— Bo nam szkody robi, drze, grabi i bydło zabiera.

— Czy tak? — pytał, niby niedowierzając Jacynicz.

— A tak, tak, proszę pana.

— A no — mówił szlachcic — to bijcież dobrze, aby go rozumu nauczyć.

Uczynił sobie tedy pan Jacynicz igraszkę i niejaką satysfakcyę, ale niebawem o tym despekcie dowiedział się pan starosta. Gdyby tak na pana Michała, wpadłby natychmiast w pasyę i zrobił może najazd na Jacynicza; pan wojski wszelako innego był autoramentu człowiek. Zniósł to niby w cichości, niebawem nawet pogodził się z Jacyniczem, bydło zabrane pooddawał i zdawało się, że już między sąsiadami najlepsze nastąpiły stosunki. Cieszył się Jacynicz tą szczęśliwą zmianą i gdy go pewnego dnia pan starosta uprzejmie na obiad zaprosił, z największą skwapliwością pośpieszył.

Po obiedzie i dość sutych libacyach wyszli panowie na ganek i gawędząc, a chodząc, znaleźli się nad brzegiem jeziora.

Tu nagle spytał pan starosta Jacynicza:

— A kogo to niedawno waszmość biłeś nad jeziorem?

Gość zmięszał się nieco.

— Chłopca — odrzekł, — bo mi wlazł w szkodę.

— O! nie — odparł Wołodkowicz — widziałem dobrze, że to był ktoś w kontuszu.

Przyparty do muru, przyznał się Jacynicz do wybryku, ale usprawiedliwiał się, że był natenczas podpiłym. Na nic się jednak to tłumaczenie nie zdało; starosta wnet huknął na ludzi, rozciągnięto Jacynicza nad jeziorem i posypały się sute batogi.

— A kogo tu bijecie? — pyta Wołodkowicz.

— E, to panie kul słomy — odpowiadali ludzie.

— A no, to młóćcież dobrze! — zachęcał starosta.

Jacynicz zbity, dostawszy sto i jeden batogów, zwykłą porcyę Wołodkowiczów, zapozwał starostę do grodu. Tu osądzono Wołodkowicza dość lekko, na sześć niedziel wieży cywilnej i zapłacenie dwustu kóp groszy.

Byłoby się na tem skończyło, bo Wołodko-

wicz nawet nie protestował i śmiejąc się dowodził, że wieżę cywilną odsiedzi sobie u Bernardynów, gdzie razem i rekollekcye wielkanocne odprawi. Ale Jacynicz, sądząc się pokrzywdzonym, apelował w Mińsku na kadencyę ruską do trybunału, którego marszałkiem natenczas, w 1760 roku obrany był Michał Sapieha, starosta puński, a wice-marszałkiem Michał Morykoni, starosta porawski.

Sapieha trzymał z Czartoryskimi a z Radziwiłłami był w niezgodzie, że zaś Wołodkowicze uważali się zawsze za Radziwiłłowskich stronników, mógł mieć Jacynicz niejaką nadzieję dobrego obrotu swojej sprawy, tembardziej, że i z wice-marszałkiem Morykonim oddawna Wołodkowicze, a zwłaszcza pan Michał, byli w złych stosunkach. Zwątpił wszelako, dowiedziawszy się, że właśnie Michał Wołodkowicz, za Radziwiłłowską forsą, obrany został deputatem na trybunał województwa Nowogródzkiego, przyczem dano mu i podskarbstwo trybunału. Nadto jmć pan Józef Wołodkowicz liczył i na niektórych deputatów; nadewszystko zaś spodziewał się silnego poparcia w Zenowiczu, pisarzu trybunalskim, z którym był w dobrej komitywie; ten zaś, jako wielkiej zręczności i biegłości jurysta

nie mały miał wpływ na całe koło deputatów.

Na tym to sławnym trybunale wytoczyła się owa sprawa Michała Wołodkowicza, o której mówiliśmy z początku, opisana przez Rzewuskiego i Chodźkę. Ale pomijając relacyę Soplicy, jako całkowicie błędną, ta, którą autor „Kwestarza“ podaje w swym niezrównanym obrazku, lubo najzupełniej prawdziwa, nie tłumaczy nam wszelako wcale przyczyny, która skłoniła Wołodkowicza do owej burdy, jak nie podaje jej również ani Matuszewicz, ani nawet Kotłubaj; była nią zaś, jak się okazuje sprawa Jacynicza z Józefem Wołodkowiczem.

Opierając się przeto na obszerniejszych, a nieznanych dotąd podaniach, które po zestawieniu z innemi źródłami sprawę tę w wielu szczegółach wyjaśniają, podajemy choć w skróceniu opis owego pamiętnego w dziejach litewskiego trybunału wypadku, tembardziej, że jest on ściśle z naszem początkowem opowiadaniem związany.

Reasumcya trybunału w Mińsku odbyła się dnia 7 stycznia; wedle prawa bowiem, akt ten następować był powinien w pierwszy poniedziałek po Trzech Królach; że zaś one w tym roku

1760 wypadały w niedzielę, zaraz więc nazajutrz trybunał został otwarty. Marszałek Sapieha, nie długo zabawiwszy w Mińsku, dla spraw jakichś domowych odjechał, zdając kierownictwo sądów na wice-marszałka Morykoniego. Sprawa Jacynicza dość widać wysoko stała na regestrze; przypadła bowiem mało więcej, niż we trzy tygodnie po otwarciu trybunału, w piątek dnia 1 lutego.

Jmć pan Michał Wołodkowicz, jako brat Jólefa, nie mógł w niej do kompletu sędziów nazeżeć; mocno jednak u kolegów sprawę pana wojskiego po swojemu popierał: zaprosiwszy bowiem dnia tego sędziów na obiad do kwatery, poił ich ile im się dało wlać, przyczem i sam ciągnął jeszcze lepiej od wszystkich.

Po obiedzie, gdy wice-marszałek i deputaci powrócili na sądy, gdzie miał właśnie zapaść ostateczny wyrok w sprawie Jacynicza, jmć pan Michał z przyjaciółmi pozostał w domu i pił dalej wesoło. Pod wieczór jednak ciekawy jak się sprawa rozstrzygnęła, dobrze już podpity pojechał do pałacu Przeździeckiego, referendarza wiel. W. Ks. Lit., gdzie trybunał zasiadał. Tu zastał kolegów *in conclavi*, czyli na namowie, przywiózłszy zaś z sobą jeszcze wina, chciał sę-

dziów częstować, przyczem zwrócił się do Morykoniego z życzeniem, żeby kazał tamże *ad conclave* zwołać doboszów i fajfrów od trybunalskiej piechoty, dla wtórowania wiwatom. Morykoni coś mu pono na ten koncept grubo odpowiedział, a jednocześnie, że regenci właśnie w sprawie Jacynicza pisali wyrok, który miał być ogłoszony, dowiedział się Wołodkowicz, iż trybunał skazał brata jego, już nie jak sąd grodzki, na sześć niedziel wieży cywilnej i dwieście kóp groszy, ale na cztery tysiące kóp i trzy miesiące wieży *in fundo*. Wpadłszy więc w wściekłość ciął szablą w stół, około samej ręki wice-marszałka, i jak niektórzy dowodzą, uszkodził nieco stojący blizko krucyfiks; a gdy Morykoni się uchylił, ściągnął sukno ze stołu i zarzuciwszy je na wice marszałka, chciał tak bezbronnego siekać. Ale w tej chwili uchwycił Wołodkowicza za połę Dłuski, deputat lidzki, którego jmć pan Michał ciął zaraz po ręce, kiedy zaś Dłuski zaczął uciekać, gonił za nim i już przyparłszy do kąta, byłby go na miejscu zabił, gdyby nawzajem nie obronił Dłuskiego Morykoni, schwyciwszy wpół Wołodkowicza i wyrwawszy mu szablę, którą na środek izby odrzucił. Tak rozbrojony jmć pan Michał spo-

korniał nagle i prosił, żeby mu już dano pokój.

Uspokoił się więc niby; tymczasem zmrok już zapadał, prace się przerwały, zaczęto rozmawiać i wyrzucać Wołodkowiczowi jego burdę, wykazując mu powagę sądu. Dłuski też, któremu rękę nieco opatrzono, począł skarżyć się, że został niewinnie okaleczony. Na to nowy paroksyzm szaleństwa napadł Wołodkowicza, zaczął lżyć Dłuskiego i rzucił się znów na niego, a dopadłszy do swojej szabli, gdy właśnie światło wnoszono, porąbał świece. Zrobił się nowy rozruch, wniesiono więcej światła, Wołodkowicz rzucał się i łajał, wszyscy się jednak mieli na baczności i wice-marszałek zadzwonił na czytanie dekretu, a jmć pan Michał nałajawszy się do syta w niepohamowanej furyi, wybiegł wreszcie z izby sądowej.

Tu podajemy dalsze relacye, przytaczając i składając dosłownie charakterystyczne opisy współczesne, o ile one się wzajemnie dopełniają.

„Zdawało się — pisze Kotłubaj — że ta burda na tem się zakończy; ale szał winny jeszcze nie przeszedł u Wołodkowicza. Udał się na hauptwacht, zabrał tam gwałtem doboszów

i fajfrów od chorągwi, asystującej trybunałowi i wyszedł na ulicę. Tu spotkał Dominikanów, idących z marami po umarłego — dziwny omen zaprawdę — tych rozpędził, mary zatrzymał, doboszom i fajfrom kazał grać appel żałobny, a sam śpiewał *Requiescat in pace*. Po takiej ceremonii poszedł z wizytami do deputatów. Najprzód wpadł do Dłuskiego i do Pietrzkiewicza, deputata wiłkomierskiego, których nie zastawszy w domu okna im powybijał; w kwaterze marszałka Sapiehy porozpędzał ludzi; na ostatek udał się do Morykoniego, który był wówczas na wieczerzy u pisarza trybunalskiego, Paca. Pociągnął i tam Wołodkowicz z całą swoją watahą; werwał się do mieszkania Paca z dobytą szablą, narobił wrzawy i hałasu, nakoniec zwalił się z nóg i bez pamięci odniesiony został do swojej kwatery".

Z pamiętników Matuszewicza dowiadujemy się, że Pac był spokrewniony z Wołodkowiczami, siostra bowiem jego była za Michałem Wołodkowiczem, starostą hajońskim [1]). Jakoż

[1]) Michał Wołodkowicz, starosta hajoński był stryjecznym stryjem braci, Michała i Józefa Wołodkowiczów, żonaty był z Teresą Pacówną, córką Krzysztofa, pisarza W. K. Lit. urodzoną z Krystyny Sapieżanki, wojewodzianki mścisławskiej. (Żychliński, Złota księga T. V. Przyp. aut.).

Pac, pisarz trybunału, chcąc tę sprawę załagodzić, nazajutrz w sam dzień N. P. Maryi Gromnicznej, zaprosił do siebie na wielki obiad Morykoniego i całe trybunalskie koło, w celu pogodzenia zwaśnionych.

„Tam za staraniem Paca — pisze Matuszewicz — między wice-marszałkiem i Dłuskim a Wołodkowiczem z drugiej strony, rekoncyliacya stanęła i wszyscy rozumieli, że już to głębokiem zagrzebano milczeniem".

W tem miejscu prostujemy jedyną omyłkę, jaka się z braku dokumentów wcisnęła w opowiadanie autora „Kwestarza", z którego wypadałoby, że gdy Wołodkowicz zrobił ową burdę w trybunale, wzięto go zaraz do aresztu. Tak jednak wcale nie było, jak zresztą wszystkie urzędowe korespondencye i niewątpliwe źródła wskazują. Owszem, nastąpiła niby zgoda, jak to widzimy z powyższej relacyi Matuszewicza, co najsumienniejszy badacz Kotłubaj potwierdza. Przyczyną tej omyłki była niewiadomość o sprawie Jacynicza, w której czytany dekret dnia 1 lutego dał powód do awantury Wołodkowicza; drugi dekret, na śmierć już w sprawie tej burdy na Michała Wołodkowicza, wydano dnia 12 lutego i wtenczas go też zaraz pochwycono. Te

dwie sprawy u Chodźki i u Rzewuskiego zmieszane są w jedno i ztąd rzecz cała staje się nieiasną.

„Deputaci trybunalscy — powiada Kotłubaj — wyprowadzeni z cierpliwości ostatnim postępkiem Wołodkowicza, postanowili nie puścić go bezkarnie; atoli na razie nie mogli nic uczynić, albowiem wielu deputatów z racyi zbliżających się sejmików rozjechało się do domów. Wołodkowicz zaś, jak gdyby nic nie było, zasiadał na sądach, decydował w sprawach pomimo ostrzeżeń kilku sobie życzliwych, aby się wydalił z Mińska".

Kotłubaj nie umie wytłumaczyć dlaczego pomimo ostrzeżeń przyjaciół pan Michał urzędował i dalej przesiadywał w Mińsku. Rzecz ta jednak staje się zupełnie zrozumiałą z opowiadania Matuszewicza, któregośmy wyżej przytoczyli, że Morykoni i Dłuski pogodzili się z Wołodkowiczem na obiedzie u Paca. Nie miał więc jmć pan Michał powodu do żadnej obawy i ufając ich słowu, widocznie nie przypuszczał rzeczy haniebnej, czyli... zdrady.

O tej zdradzie też szeroko rozpisuje się Matuszewicz, który jako całe życie wpleciony w naj-

różnorodniejsze intrygi, szczególnie też lubuje się zawsze w drobnostkowych opisach wszelkich robót podobnych, — a powodowany nienawiścią jaką, lub namiętnością stronniczą, zbyt często nie wchodzi ani w rzetelne i uczciwe ludzkich działań pobudki, ani nawet w prawdopodobieństwo wiadomości, które podaje. Opowiadanie przeto jmć pana kasztelana brzeskiego nie bardzo zasługiwałoby na wiarę; niestety jednak, z wyżej przytoczonego ustępu Kotłubaja widzimy, że istotnie, pomimo pozornej zgody, widocznie dla zyskania czasu i przygotowania krwawego odwetu w złej wierze tylko przyjętej, Morykoni i deputaci uknuli spisek przeciw Wołodkowiczowi i jak pisze Kotłubaj (ut supra) postanowili nie puścić go bezkarnie. Głównym działaczem, jak się zdaje, był tu Morykoni z Wisłouchem, pisarzem trybunalskim kadencyi mińskiej. Ci ułożyli „plantę“ działania, a dla łatwiejszego zyskania poparcia u góry, opisawszy całą awanturę z wielką przesadą, wysłali natychmiast jeden raport do kanclerza lit. Fr. Mich. Czartoryskiego, drugi do Mniszcha, marsz. nadw. koronnego, trzeci „przez Tatara dniem i nocą“, do Sapiehy, podkanclerzego lit. do Bychowa, gdzie bawił właśnie Michał Sa-

pieha, marszałek agitującego się trybunału. Jakoż, z dat korespondencyi, które w rozmaitych źródłach spotykamy, widać już jasno, że owo pogodzenie się u Paca było ze strony Morykoniego pozornem jedynie i nie przeszkodziło do natychmiastowego podjęcia zabiegów przeciw Wołodkowiczowi.

Ta skryta i podziemna robota i knowanie zemsty rozmyślne, nie wygląda wcale dla działających pochlebnie i z wielkiem podobieństwem do prawdy godzi się przypuścić, że nieszczęśliwy Wołodkowicz był kozłem ofiarnym, ścierających się naonczas dwu stronnictw: Sapieżyńskiego i Czartoryskich z Radziwiłłowskiem, do którego Wołodkowicz należał. Podobnych bowiem, jak ten jmci pana Michała, wypadków możnaby wyliczyć i przedtem niemało i nie uchodziły też bezkarnie; ekscesantów skazywano na wieżę i grzywny, ale tak bezprzykładnego sądu i egzekucyi, jaką wykonał miński trybunał, w całej historyi nie można znaleść przykładu.

„Deputaci przyjaciele Czartoryskich — mówi Matuszewicz — zaczęli sprzysięgać się formalnym juramentem na zgubę i życie Wołodkowicza i na sekret tej okrutnej planty. Tymczasem Żaba, deputat witebski, jeden ze sprzy-

siężonych, nie mogąc wołającego zatłumić sumienia, poszedł na spowiedź do Karmelitów w Mińsku i tam na spowiedzi wyjawił całą konjunkcyę na zgubę Wołodkowicza, i że skoro tegoż samego dnia Wołodkowicz przyjedzie na sądy, zaraz cała chorągiew trybunalska izbę sądową opanuje, rzecz wezmą do namowy i zaraz na gardło Wołodkowicza osądziwszy, już go żywego nie wypuszczą. Prosił Żaba, deputat witebski, *extra sigillum confessionis*, karmelity, żeby się starał przestrzedz Wołodkowicza, aby tego dnia na sądy trybunalskie nie przychodził i albo raczej wyjechał z Mińska, albo się do klasztoru schronił".

Jakoż karmelita, porozumiawszy się ze swymi przełożonymi, ostrzegł, prosił go i modlił na wszystko, żeby do trybunału nie szedł; ale uparty jmć pan Michał ani chciał wierzyć, ani słuchać. Karmelita przez całą drogę do gmachu trybunalskiego błagał go na wszystko, żeby się wrócił, a gdy już miał na wschody wstępować, upadł mu do nóg raz jeszcze; ambicya jednak i zuchwalstwo przemogły.

Wołodkowicz wszedł do izby sądowej.

Na to tylko czekano.

Gdy miejsce wśród deputatów zajął, a przez

ten czas trybunalska warta napełniła przedsionek, wnet deputat Dłuski zwrócił się do wicemarszałka, aby kazał ustąpić stronom, co gdy nastąpiło, zażądał złożenia sądu na Wołodkowicza za popełnione w dniu 1 lutego ekscesa. Słysząc to Wołodkowicz, zaczął łajać sędziów i Morykoniego i rwać się do szabli; ale nie zważając na to, wice marszałek naznaczył natychmiast t u r n u m do dania sentencyi, poszły wota i większość osądziła na rozstrzelanie; natychmiast też i dekret do protokółu wpisano. Wołodkowicz sądził naprzód, że to są tylko pogróżki; postrzegłszy jednak dekret już wpisany, rzucił się, aby go wydrzeć z księgi; czego gdy mu uczynić nie dano, w największej już pasyi porwał krucyfiks ze stołu, wołając:

— Tego Pana Boga się wyrzeknę, a was wszystkich dyabli pobiorą!

Nie zważając na to, gdy już chorągiew trybunalska zajęła salę, kazano rotmistrzowi Krajewskiemu ująć Wołodkowicza; ten, widząc już jawną zgubę, chciał wyskoczyć przez okno, ale tu mu prawdziwie niedźwiedzią przysługę oddał „głupi przyjaciel“ Czerniewicz, deputat kowieński, który z o b a w y, a b y s i ę n i e p o t ł u k ł,

przytrzymał Wołodkowicza. Zawleczono go do kurdegardy i wnet okuto w kajdany.

Działo się to dnia 12 lutego 1760 roku.

Nie odsądzono obwinionego od funkcyi deputackiej, nie dano mu obrońcy, nie zachowano wymaganych form prawnych, ani uwzględniono żadnych okoliczności; dekret zresztą, według brzmienia swego miał być spełniony we trzy dni, a wykonano go w pięć godzin, bojąc się, aby przyjaciele obwinionego nie przeszkodzili; wreszcie — rzecz niedająca się już niczem usprawiedliwić — sądzili go ci, którzy sami byli drugą, przeciwną stroną w tej sprawie. Słusznie też wszystkie te uwagi zamieścił książe hetman Radziwiłł w liście, pisanym do króla z dnia 14 lutego roku 1760.

Tu wracamy do naszego głównego opowiadania, poczerpniętego z miejscowej tradycyi o awanturze jmci p. Michała przed kościołem w Mińsku w czasie nabożeństwa.

Wiadomość o niesłychanym sądzie i wyroku na Wołodkowicza, o wzięciu go, okuciu i naznaczeniu egzekucyi już za godzin kilka, rozbiegła się z nadzwyczajną szybkością po mieście, wzbudzając powszechną zgrozę, a nawet współczucie

dla delinkwenta pomimo znanych szaleństw jego i wybryków.

Dziwnem zrządzeniem Opatrzności, znajdował się właśnie natenczas w Mińsku i sławny ów nieświezki katecheta, dominikanin ksiądz Obłoczymski, który w nieszczęsną widać chwilę, gdy Wołodkowicz w roku zeszłym niedźdwiedzi i cyganów przed kościół sprowadził, przepowiedział mu, jak gdyby duchem proroczym, że on sam stanie się widowiskiem dla ludu.

Gdy więc późnym już wieczorem wieść o losie Wołodkowicza dobiegła i do księdza Obłoczymskiego, pośpieszył on natychmiast na miasto dla powzięcia wiadomości pewniejszych i szukania sposobów ratunku dla skazanego. Przekonawszy się jednak niebawem, że już żadne zabiegi wyroku zmienić nie mogą, około jedenastej godziny w nocy udał się na hauptwacht z zamiarem zaniesienia więźniowi choć jakiejkolwiek religijnej pociechy i skłonienia do skruchy i pojednania się z Bogiem.

Pomimo spóźnionej pory, mnóstwo osób snuło się po ulicach, a gęste tłumy ludu zapełniały rynek; noc była dość widna, w pałacu Przeździeckiego, gdzie trybunał zasiadał, wszystkie okna jaśniały. Gęsta warta, otaczająca kurde-

gardę nie chciała zrazu wpuścić księdza Obłoczymskiego, ale porucznik Sielanko pobiegł wnet do jmci pana rotmistrza Krajewskiego, który natychmiast księdza przez straże przeprowadzić kazał, ponieważ sam miał właśnie po spowiednika dla delikwenta posyłać.

Gdy wszedł ks. Obłoczymski, zastał Wołodkowicza, pomimo okowów, któremi z urąganiem brzękał, podrzucając je nogami po ceglanej posadzce, w najlepszej fantazyi na ławie, przed stołem, zastawionym butelkami wina, w części już wypróżnionemi.

Zdumiał się pobożny kapłan, widząc to zuchwalstwo czy lekceważenie; nie było to wszakże ani jednem ani drugiem; Wołodkowicz bowiem ani chciał wierzyć, ani przypuszczał nawet, by życie jego istotnie zagrożonem być miało. Zmieszał się jednak, spostrzegając wchodzącego spowiednika; a gdy niebawem i rotmistrz Krajewski, dobywszy zegarek oświadczył stanowczo, że ma rozkaz o godzinie pół do trzeciej w nocy do egzekucyi wyroku przystąpić... osłupiał. Oprzytomniawszy po chwili, zaczął łajać sędziów i wykrzykiwać; odwoływał się do samego wyroku, że mu w nim trzy dni zostawiono; groził, że lada chwila nadbiegnie zbrojno

brat jego Józef, albo książe Karol Radziwiłł; rzucał się i miotał długo, aż wreszcie, jakby z sił opadł, oniemiał znowu... zwątpił... począł płakać gorzko i narzekać...

Tu rozpoczęła się miłosierna praca księdza Obłoczymskiego. Rotmistrz kazał wszystkim wyjść do pierwszej izby i Wołodkowicz ukląkł do spowiedzi. Cisza nastała w kurdegardzie jak w kościele, żołnierze nawet tak byli wzruszeni, że żaden nie śmiał słowa przemówić. Upłynął tak czas dosyć długi, aż dał się słyszeć głos księdza, zaczynający Psalmy pokutne:

— *Beati quorum remissae sunt iniquitates.*

I drżące, a łkaniem przerywane odpowiedzi penitenta:

— *Et quorum tecta sunt peccata...*

Słysząc to jmć pan rotmistrz Krajewski, westchnął i rzekł cicho do porucznika Sielanki:

— Ot, mój Boże! widać to nie był człowiek tak zły i modlić się musiał, kiedy Psalmy pokutne na pamięć umie.

Niektórzy z żołnierzy łzy ocierali ukradkiem, a porucznik nie mógł się od chlipania powstrzymać.

— Niech licho porwie taką podłą służbę, jak

nasza — mruknął Krajewski; ale wnet umilkł obejrzawszy się na żołnierzy.

Tymczasem z drugiej izby dalej słychać było głos księdza Obłoczymskiego:

— *De profundis clamavi ad te Domine.*

I znów przytłumione responsa Wołodkowicza:

— *Domine... Domine exaudi vocem meam...*

Szły tak najprzód Psalmy pokutne, potem modlitwa przy konających, aż około drugiej godziny wyszedł ksiądz Obłoczymski blady i zmęczony, po Eucharystyę, aby Sakramenta święte penitentowi, *in articulo mortis* udzielić.

Imć pan rotmistrz, zapanowawszy widać nad własnem wzruszeniem, miał już twarz zupełnie spokojną a nawet surową.

— Druga godzina — ozwał się, spoglądając na pektoralik — niechże się jegomość śpieszy, bo już mamy tylko pół godziny.

— Śpieszyć się będę — odparł żywo spowiednik — ależ przecie zaczekacie.

— Nad pół godziny ani jednej minuty — rzekł Krajewski spokojnie.

— Ależ bój się Boga! rotmistrzu!

Krajewski ruszył ramionami i ręce rozstawił.

— Boga się boję — odparł — alem żołnierz, służba nie drużba; trybunał to, nie ja i sądzi i w kajdany kuje i strzela; mój obowiązek... słuchać — a kto tu nie praw, ten przed Bogiem odpowie.

Ksiądz wybiegł żywo, a rotmistrz przechadzając się po izbie, potrząsał głową i mruknął powtarzając z cicha:

— Oj, że odpowie, to odpowie...

O drugiej w nocy kościół stał zamknięty, tam i napowrót do kurdegardy było też drogi kawałek; śpieszył się zacny kapłan jak mógł, obudził zakrystyana, zapalono latarkę, weszli wreszcie do świątyni i ks. Obłoczymski brał właśnie puszkę z komunikantami, gdy nagle... gruchnęło razem kilkanaście strzałów, a po małej chwili jeszcze strzał jeden cichy i przytłumiony. Ksiądz o mało puszki z rąk nie wypuścił; nie wiedział, co się stało. Miałżeby to już być wyrok spełniony? Może przyjaciele przybywali z odsieczą? Postawił więc puszkę, a zakrystyana posłał na zwiady; ale ten nie bawił długo, ledwie wyszedł na ulicę, od snującego się ludu zawiadomiony został, że Wołodkowicza już rozstrzelano.

Stało się to ściśle według rozkazu, o godzinie pół do trzeciej w nocy.

Z sześciu kul, cztery ugodziły w pierś skazanego, dwie odbiły się od srebrnego ryngrafu z wizerunkiem Matki Boskiej, który, jak się okazało, Wołodkowicz zawsze nosił przy sobie; ale gdy powalony czterema strzałami, męczył się jeszcze i rzucał, podoficer dla skrócenia mu cierpień, ostatnim strzałem z pistoletu w ucho, dokończył ofiarę.

Przepowiednia księdza Obłoczymskiego sprawdziła się na Wołodkowiczu w zupełności.

Tejże nocy jeszcze jmć pan wice-marszałek i wszyscy deputaci, którzy do owego sądu należeli, chyłkiem wynieśli się z Mińska, każdy w inną stronę.

Spełniła się więc, czy gorliwa sprawiedliwość, czy służalcza uległość stronnictwu, czy osobista krwawa zemsta Morykoniego?

Powszechny głos do tego ostatniego przychylał się zdania. Lubo znano bowiem zuchwalstwo, opilstwo i nieuchodzony temperament Wołodkowicza; lubo uznawano, że przykład kary potrzebny był dla zachowania uroku, siły i powagi najwyższego sądu krajowego, ale też wszyscy i to uznawali, że ten sam sąd najwyższy

sam siebie gorzej niż ów awanturnik znieważył, przez wyrok zgoła nieprawny, nieprawy a prawdziwie nieludzko surowy. Nieprzyjaciele nawet Wołodkowicza oburzali się na ten postępek trybunału, a szczególniej na głównego kierownika tej sprawy, Morykoniego, który nigdy nie miał wielu przyjaciół; zarzucano mu bowiem, że jak prawdziwy Włoch, był przekupny, podstępny i mściwy.

Jakoż, wszystkie te cechy jego charakteru, zdawały się ujawniać w nieszczęśliwej sprawie Wołodkowicza. Ale coby może uszło we Włoszech, nie ze wszystkiem się w Polsce godziło. Ciekawi też byliśmy dalszego biegu tej sprawy; wszelako głucho o niej wszędzie.

Kotłubaj tylko wspomina, że Wołodkowicze rozpoczęli byli prawne kroki przeciw sędziom i wicemarszałkowi trybunału, że sprawa ciągnęła się aż do chwili bezkrólewia i wreszcie upadła.

O Morykonim doczytać się też gdziekolwiekbądź trudno, — i na tem skończylibyśmy nasze opowiadanie, lecz szczęśliwym trafem w jakichś starych papierach trafiliśmy na zżółkły i wypłowiały arkusz [1]) z kopią ciekawej

[1]) Archiwum autora w Romanowie.

bardzo „Suppliki jmć. pana Morykoniego starosty porawskiego, do króla Augusta III-go“, która nam daje o obrotach jmć. pana wicemarszałka późniejszych pewne objaśnienia, a nadto wykazuje przytem, że głos powszechny nie usprawiedliwiał Morykoniego, i zdanie to, jak widać, sam dwór nawet podzielał, skoro pan wicemarszałek zaraz z początku swej supliki tłómaczyć się musi, że jest niewinnym i działał tylko wedle litery prawa. Prośba ta pisana w rok po rozstrzelaniu i po ucieczce Morykoniego, anno 1761, brzmi jak następuje:

„Jak prędko W. K. Mość uwiadomiony byłeś *de attentatis* Michała Wołodkowicza, oświadczyłeś zaraz przez ministrów swoich trybunałowi W. Ks. L. natenczas sądzącemu się, żeś żądał, by zażyte były prawa na poskromienie niecnoty. Te Mił. Panie prawa Królestwa twego naznaczają *positive* karę śmierci na tych, którzyby się stali winnymi takowych ekscesów, do jakich się udał tenże Wołodkowicz. Ja natenczas i kolledzy moi nic więcej nie uczyniliśmy, tylko posłuszeństwo prawu i W. K. Mości zachowując, sądziliśmy tego, który śmiał był podnieść świętokradzką rękę przeciwko

powadze W. K. Mości, obciąwszy deputata jednego *in actuali exercitio* funkcyi swojej będącego[1]). Ten dekret, którego wszystkie przyczyny i okoliczności są wiadome W. K. Mości, jest początkiem i okazyą nieszczęśliwej sytuacyi mojej, a to mnie przymusza udać się z głęboką pokorą do pańskiej jego protekcyi. Przestrzeżony byłem nietylko przez listy, które gotów jestem prezentować przed W. K. Mością, ale i ustnie przez ludzi, którzy świadczyć będą jak tylko zobaczą trybunał imparcynalny (?), że Józef Wołodkowicz, brat nieboszczyka, z adherentami i klientami swymi, rezolwowani są mścić się własnemi rękami śmierci Michała Wołodkowicza, godząc na łapanie osoby mojej. Miałem informacyą, że kupa zbrojna tych ichmościów, zebrawszy się, mówiła śmiało przed ludźmi suspicyi niepodlegającymi, zbliżając się ku miejscu, gdzie mnie znaleźć spodziewali się, w znaczną broń opatrzeni — Słyszeliście

[1]) Przebieg sprawy, którą opisaliśmy wyżej, wykazuje całą fałszywość tłómaczenia się Morykoniego; dwór słusznie nakazywał karę, ale chodziło o to, czy była ona istotnie prawnie, uczciwie i po ludzku zastosowana. (Przyp. aut.).

o śmierci historyą Strutyńskiego [1]), usłyszycie wkrótce o drugiej większej. Wątpiłem jeszcze w rzetelność tych relacyj, i miałem jechać do dóbr moich Nidok [2]). Skorom się dowiedział, że już ci ichmość tylko byli o półtorej mili od Sołów, gdziem się znajdował, natenczas nic mi nie zostało do salwowania, prócz ucieczki. Chciałem szukać jak najprędzej *asylum* u tronu W. K. M., ale gdy wszystkie drogi na prostym trakcie zamknięte przez zasadzki były, musiałem udać się do Kurlandyi, a ztamtąd przez Prusy, krążąc do Polski, unikając tym sposobem pilnujących na mnie nieprzyjaciół moich. Moc ich i pogróżki takie są, że dla nich nigdy powrócić nie mogę do Litwy, ojczyzny mojej i dóbr moich, tamże będących; jeżeli mnie sprawiedliwa protekcya W. K. Mości nie zasłoni od zawziętości. Odważyłem się supplikować pokornie W. K. Mość i upra-

[1]) Strutyńskiego, starostę szakinowskiego, jadącego karetą, zabito zdradziecko z pistoletu w Wilnie, d. 13 Czerwca 1761; miał on sprawę z Ciechanowieckim, starostą opeskim, także krewnym Wołodkowiczów, którego o to morderstwo posądzono. Ze wspomnienia o tej sprawie widać, że supplika, na której daty miesiąca niema, po tym wypadku już była podana. (Przyp. aut.).

[2]) Pod Wiłkomierzem. (Przyp. aut.).

szać jak najuniżeniej o jak najmocniejsze zalecenie każdemu z ministrów W. Ks. Lit. osobliwie, ażeby starali się wszelkiemi sposobami poskromić tych *turbatores* spokojności publicznej, a mojej osobie obmyślić bezpieczeństwo, które każdy obywatel mieć powinien pod sprawiedliwym W. K. Mości rządem" etc. etc.

Co się dalej stało ze sprawą Wołodkowiczów i z osobą wystraszonego wicemarszałka, trudno się o tem gdziekolwiek doczytać. Czas i ważniejsze krajowe wypadki, zatarły pierwsze wrażenia i uśmierzyły rozdrażnione namiętności; z pożółkłych kartek tylko starych szpargałów, wyzierają jeszcze niekiedy wrażenia chwili, szczątki myśli, a ślady uczuć i działań tych, co przed nami żyli, których kości już dawno spróchniały, a ubiegłe lata i pamięć o nich nawet przysypały zapomnienia popiołem.

KOŚCIUSZKOWIE.

WIADOMOŚCI

Z ARCHIWÓW WŁASNYCH W ROMANOWIE PODLASKIM.

Z powodu podniesionego zapytania o miejscu urodzenia generała Tadeusza Kościuszki, autor artykułu umieszczonego w „Kłosach“ (Nr. 797), podaje wiadomość, iż miecznik brzeski, Ludwik Kościuszko, ojciec generała, trzymał Mereczowszczyznę nie od Sapiehów, lecz od Czartoryskich. Wiadomość ta zapewne ztąd powstała, że całe dobra Kossowskie, do których Mereczowszczyzna należała, przeszły istotnie w późniejszych czasach w posiadanie ks. Czartoryskich.

Dla objaśnienia tej sprawy, mając u siebie obszerne archiwa, przedsięwziąłem poszukiwania, odnoszące się do rodziny Kościuszków wogóle i do stosunków ich z Sapiehami. Papierów i akt w tym przedmiocie znalazło się sporo; na teraz jak najtreściwsze podaję objaśnienie.

W „Historycznych Pamiątkach“ Święckiego, wydanych przez ś. p. Juliana Bartoszewicza,

znajduje się genealogia Kościuszków, ale, dla skrócenia, boczne linie w niej pominięto; niema przeto wymienionych wielu członków tej zasłużonej rodziny, których imiona co krok w starych papierach spotykać się dają. I tak, w archiwach Romanowskich znajduję:

1709 roku na dokumencie z grodu Trockiego, podpisany C. D. Kościuszko, sędzia grodzki Trocki.

1712. Kazimierz Franciszek, koronny podczaszy Piński, żonaty z Joanną Bielikiewiczówną, stolnikówną Rzerzycką, lokował sumę złp. 8,000 u Stanisława Potockiego, starosty Rubieszowskiego (później wojewody Bełzkiego), natenczas dziedzica hrabstwa Romanowskiego, za co trzymał w zastawie wieś Sosnówkę, z dóbr klucza Romanowskiego, z folwarkiem Zaderyczowskim.

Rzecz dziwna, że obecnie nietylko owego folwarku około wsi Sosnówki w dobrach Romanowskich niema ani śladu, ale, co większa, że o nim nawet u ludzi miejscowych pamięć zaginęła.

1717. Na akcie podpisany Paweł Kościuszko Siechnowicki, pisarz grodzki Brzeski.

1717. ditto, Ambroży K. Siechn., sędzia

grodzki Brzeski, który pierwej także był pisarzem grodzkim. W młodym wieku, będąc na sejmiku w Brześciu i należąc do stronnictwa Sapieżyńskiego, czyli do tych, co „przepędzali“ z sali sejmikowej Ludwika Pocieja, później hetmana W. X. L., a natenczas podkomorzego Brzeskiego, tak się „żwawo stawił“, że szablą ciął w głowę Pocieja[1]).

1721. Na akcie podpisany Franciszek Kościuszko, skarbnik Brzeski.

1754. Inny Franciszek Kościuszko, syn Ambrożego, należał do tych, co na sejmiku w Brześciu nie chcieli do laski dopuścić Flemminga, podskarbiego W. X. L., i nieco go tam nawet poturbowali; a gdy podskarbi, zaperzony na szlachtę, chcąc się dowiedzieć nazwiska, zapytał Kościuszki: — „co ty za jeden?“ — ten odparł żywo: — „a ty co za jeden?“[2]).

Kościuszkowie od najdawniejszych, aż do ostatnich czasów, w przyjaźnych byli stosunkach z Sapiehami. Nim przedstawię rzecz o Mereczowszczyznie, dodam tu jeszcze, że znakomity i zacny marszałek czteroletniego sejmu,

[1]) Matuszewski, „Pamiętniki“.

[2]) Tamże.

Kazimierz Nestor Sapieha, złożywszy wszelkie poprzednie swoje dostojeństwa, w roku 1794 zaciągnął się pod chorągwie generała Tadeusza Kościuszki, jako prosty ochotnik, i lubo sam był przedtem generałem artyleryi litewskiej, zaledwie zgodził się przyjąć stopień kapitana tejże broni.

Folwark Mereczowszczyzna wchodził w skład dóbr klucza Kossowskiego, w powiecie Słonimskim, i gdy dobra te należały jeszcze do Jana Sapiehy, starosty Bobrujskiego, już Ludwik Kościuszko, miecznik Brzeski, trzymał od starosty Bobrujskiego w zastawie folwark Mereczowszczyznę. Po śmierci Jana Sapiehy, starosty Bobrujskiego, spadły dobra Kossowskie na syna jego Piotra, wojewodę Smoleńskiego, który dwa razy był żonaty: 1-mo z Zofią Skowrońską [1]),

[1]) W monografiach hr. Kossakowskiego mylnie podano imię Skowrońskiej, Marya. Starosta Bobrujski wszedł był w układy z feldmarszałkiem kniaziem Mężykowem o ożenienie syna swego Piotra (później wojewody Smoleńskiego) z córką Mężykowa, Maryą. Obszerne układy ciągnęły się długo, podpisano wreszcie ugodę i nastąpiły zaręczyny, ale cesarzowa Katarzyna I, przed samą śmiercią przedstawiła Mężykównę za żonę dla następcy swego, Piotra II, a w jej miejsce dla Sapiehy, synowicę swoją, Zofię, córkę Karola

rodzoną synowicą Katarzyny I, Cesarzowej rosyjskiej; 2-do z Joanną Sułkowską, córką łowczego koronnego, pierwszego ministra saskiego. Tu dodamy nawiasem, że był to ów sławny Sułkowski, któremu los tak szczęśliwie dopisał, iż, wyszedłszy z rodziny szlacheckiej, wcale niezamożnej, do dziś dnia siedzącej na Litwie, pomknął się do najwyższych dostojeństw, zdobył ogromne bogactwa i tytuł książęcy, a założywszy ordynacyą, na długie czasy utrwalił byt i świetność rodziny. To powodzenie jednak drogo okupione było; córki bowiem jego i synowie łowczego koronnego, urodzeni z Niemki, pierwszej żony jego, hrabianki Stein-Jettingen, prócz nazwiska, nie mieli w sobie nic polskiego, i rodzinnym językiem z wielką zaledwie trudnością posługiwać się mogli. Wszystkie listy pani wojewodzinej Smoleńskiej, których sporą

Skowrońskiego. (Druga córka tegoż, Katarzyna, była za generałem Korffem, najmłodsza zaś, Anna, za Worońcowem). Cała sprawa Sapiehy i Mężykowa, nadzwyczaj ciekawa i w szczegóły obfita, zawarta w oryginalnych z podpisami dokumentach i korespondencyach, znajdujących się w posiadaniu naszem, potrzebowałaby osobnego opisu; dodamy tu jedynie, że Marya Mężykówna zmarła panną w 18-tym roku życia, będąc wraz z ojcem na wygnaniu 1729 r. w Berezowie. (Przyp. aut.).

ilość posiadamy, pisane są nieodmiennie po francuzku; a gdy wypadło w sprawach jakich napisać coś po polsku, dodaje w końcu sama pani wojewodzina: „proszę poprawić moją polszczyznę“ (list do ks. Elżbiety Sapieżyny, wojewodzicowej Mścisławskiej). Piotr Sapieha ożenił się z Sułkowską (korespondencye) w roku 1751. Wesele odbyło się w Gdańsku dnia 17 Lipca, ale małżonkowie niedługo z sobą żyli; wojewoda był gospodarz zabiegły i do kraju przywiązany, pani wojewodzinie nie smakował pobyt ani w dobrach litewskich, ani w wielkopolskich. W prędkim bardzo czasie frunęła za granicę, gdzie też do końca życia przewałęsała się między Wiedniem, Dreznem, Florencyą, Wenecyą i Paryżem. Listy do męża i krewnych pisane są oczywiście po francuzku zawsze — ze wszystkich kątów świata, a między kilkudziesięciu przez lat kilkanaście całkiem po polsku i z Polski niema ani jednego. Z tej drugiej żony, Sułkowskiej, wojewoda Smoleński nie miał dzieci, ale ze Skowrońskiej, pierwszej żony, miał syna Jana, który w roku 1756 pisał się starostą Gorzdowskim [1]), a mówiono o nim,

[1]) Akta sprawy Kossowskiej. Starostwo Kossowskie,

„że miał wiele złych nałogów“ [1]); jakoż rozwiodła się z nim po kilku latach pożycia Elżbieta z Branickich, siostra Xawerego hetmana, późniejsza wojewodzicowa Mścisławska. Wojewoda Smoleński, gdy na niego po ojcu, Janie staroście Bobrujskim, spadły dobra Kossowskie, oddał je synowi w roku 1756, lecz już za starosty Bobrujskiego były one znacznemi obciążone długami. Młody więc dziedzic miał się z czego wyrabiać, gdyż długi dziadowskie, zaciągnione czasu najścia Szwedów z Karolem XII, prawie wartość dóbr przewyższały. Większa część folwarków w dobrach Kossowskich i w starostwie Zdzitowskiem zostawała w ręku dzierżawców i zastawników. Prócz Ludwika Kościuszki, który z dawna siedział w Mereczowszczyznie, trzymali inne folwarki, albo mieli na obligach sumy, na dobrach oparte, a zaciągnione przez starostę Bobrujskiego: Antoni Sieniuta, stolnik Owrucki, Józef Woroszyłło, skarbnik Piński, Franciszek Grabowski, oboźny Brzeski, sędzia grodzki Starodubowski, Daniel

od którego zwykle go wszyscy tytułują, później mu dopiero ojciec rezygnował. (Przyp. aut.).

[1]) Matuszewicz, „Pamiętniki“.

Wojniłłowicz, Jan Trzeczkowski, starościc Bugnowski. Mieli też wierzytelności Przezdzieccy, Niesiołowski, starosta Cyryński, a nawet OO. Jezuici rezydencyi Słonimskiej, w których imieniu występuje superior JMX. Damazy Marchocki. Najnatarczywszym jednak wierzycielem okazuje się JW. Paweł Wojowski Kryjer[1]), starosta Siemiński; temu szczególnie Mereczowszczyzna do smaku przypadła: w ogólnej sumie złp. 297,910, lokowanej u starosty Bobrujskiego, pretendował, że 27,000 oparte są specialiter na folwarku, trzymanym w zastawie przez miecznika Brzeskiego. Dłużnicy[2]) zaczęli się już napierać o wierzytel-

[1]) W dokumentach piszą się czasem i Krejer, własnoręcznego podpisu nie spotkaliśmy, powinno zaś być niewątpliwie Krygier, rodzina pruska, znana i nobilitowana u nas z przezwiskiem Wojowski; tak samo spotkaliśmy nazwisko Rosenberga z dodaniem „Różogórski", z epoki również Augusta II; dzisiaj odwrotnie — nazwiska polskie przeniemczają... czasy się zmieniły. (Przyp. aut.).

[2]) Jan hrabia na Wieluniu, Kuźminie etc. Sapieha, starosta Bobrujski, zaciągnął był również na dobra swoje w roku 1727 dług 23,000 talarów bitych od kniazia Aleksandra Menżykowa, feldmarszałka rosyjskiego, podczas układów o ożenienie syna swego z jego córką; po zerwaniu projektowanego małżeństwa, mimo odbytych zaręczyn, wy-

ności swoje w r. 1743; sprawa toczyła się w trybunale W. Ks. L. w latach 1744, 1745 i 1749, aż wreszcie 1753 r. trybunał naznaczył podobno po raz trzeci exdywizyą dóbr Kossowskich stanowczo, pomiary i detaxacyą folwarków, za silnem popieraniem sprawy przez owego p. Krygiera; ale od czegoż byli rzecznicy, mecenasi i patronowie? Porozumieli się tedy zastawnicy z dziedzicem, panów dywizorów nie dopuszczono do czynności, komorników, czyli mierniczych, porozpędzano na cztery wiatry i w dodatku zawinięto się tak, że na jesiennej kadencyi mińskiej wypadł dekret, przedłużający sprawę na korzyść Sapiehów i zastawników.

W tym właśnie stanie dobra Kossowskie spadły po Janie, staroście Bobrujskim, na Piotra, wojewodę smoleńskiego, który je oddał synowi, jakby dla zabawki i wprawy w wyrabianiu się z najcięższych kłopotów. Miał więc roboty nie mało p. starosta Gorzdowski: biegał z Warszawy do Wilna, kręcił się między Mińskiem, Nowogródkiem i Słonimem. Sprawa, popychana z jednej, ale silnie hamowana z dru-

nikły ztąd sprawy zawikłane. Oblig oryginalny, potwierdzony w grodzie Słonimskim 27 Stycznia 1727 r. (Przyp. aut.).

giej strony, ciągnęła się latami; ale w r. 1756, podniesiona razem przez wszystkich prawie wierzycieli, przybrała groźniejsze rozmiary. Zastawnicy, siedząc w oddanych sobie folwarkach i mając pewność wszelką, a w stosunku do lokowanych sum procent od nich znaczny, nie mieli interesu popierania exdywizyi; do sprawy jednak wspólnej poniewoli pociągani byli drogą prawną przez wierzycieli, mających sumy na obligach. Stosunki przeto dziedzica z zastawnikami, mimo toczącej się sprawy, były najlepsze a często nawet, jak mówiliśmy wyżej, działano wspólnie dla odparcia natarczywości innych wierzycieli.

W sierpniu 1756 r. pan starosta Gorzdowski, jadąc z Sokołowa do Słonima, wstępuje do pp. miecznikowstwa Brzeskich, z którymi Sapiehowie zawsze zostawali w nienaruszonej przyjaźni; tu, suto i gościnnie przyjmowany, bawi dni parę, aby się porozumieć ze swymi zastawnikami i dzierżawcami, którzy mając pierwszeństwo lokowanych kapitałów przed owym panem Krygierem, mogli, ułożywszy się *amabiliter* przy kieliszku z dziedzicem, pozwać niby Sapiehę o potwierdzenie swych praw i tym sposobem popsuć szyki Krygierowi. Jakoż się ułó-

żono; już pan starosta miał odjeżdżać, ale nie zapominajmy, że to były tak zwane „saskie czasy“: musiano się dobrze bawić, gdy pan starosta trzeciego dnia „zaniemógł haniebnie“; trzy tygodnie w Mereczowszczyźnie „bawił się łóżkiem“; pielęgnowano go oczywiście z troskliwością największą, pani miecznikowa prażyła ziółka dniem i nocą, sprowadzony ze Słonima „cyrulik“ siedział nieodstępnie, gospodarstwo rozpadali się, aby dogodzić i odchuchać gościa tak dostojnego. Pan starosta, umiejąc troskliwość szanownych gospodarstwa oceniać, kiedy już do zdrowia przychodzić zaczął, daje panu miecznikowi skrypt, czyli dokument w „znacznej sumie“, zapewniający nadal bezpieczne posiadanie folwarku Mereczowszczyzny, aby z niego nie mógł być w żadnym przypadku wyrugowanym, który to dokument, dla większej pewności, zaraz *stante pede* przyznano urzędownie w Magdeburgii Żyrowickiej. Tu nastręcza się ciekawa uwaga: dlaczego nie dojechano dalej o dwie mile do Słonima, ażeby go porządnie i jak należy oblatować w grodzie? Chodziło widocznie o pośpiech i o tajemnicę na czas jakiś; gdy bowiem akta grodzkie dla każdego kto potrzebował i w każdym czasie były dostępne, niko-

mu nie mogło przyjść na myśl, aby szukać czegoś tuż pod bokiem w nędznej Magdeburgii Żyrowickiej, a co więcej, jak się okazuje, JMP. Krygier miał cały sąd grodzki słonimski za sobą. Była więc racya nie śpieszyć się do Słonima.

Sapieha ozdrowiawszy odjechał, pożegnany przez wszystkich serdecznie, a układy, poczynione cichutko w Mereszczowszczyźnie, niebawem wprowadzono w życie; zaraz bowiem dnia 8 Października Hrehory Rożkowski, generał (woźny) J. K. M. powiatu Słonimskiego, kładzie w Sokołowie i w Słonimie ojcu, wojewodzie smoleńskiemu i synowi, staroście Gorzdowskiemu, pozwy na Trybunał W. X. Lit. kadencyi Nowogródzkiej, na prawne poparcie urodzonego Ludwika Kościuszki, miecznika województwa Brzeskiego, pułkownika; ditto Sieniuty, Woroszyłły i innych, „o approbatę praw zastawnych zapisów, consensów „et omnis tituli“ dokumentów, possesorów etc.“ ale o exdywizyi niema ani mowy. Tymczasem JWP. Krygier, spostrzegłszy, co się święci, tak się żwawo uwinął, że w pięć dni potem, to jest 13 Października, już uzyskał „in contumationem“ ferowany dekret Grodu Słonimskiego na reindukcyą

do dóbr Zdzitowskich i Kossowskich, przyczem nie poskąpiono sobie jeszcze i skazania Sapiehów na „banicyą doczesną i wieczną!“ Zaraz też p. Gedeon Przecławski, podsędek powiatu Słonimskiego, będąc „a parte actorea requisitus“, po wydaniu od siebie i po podanem przez generała *solita juris praxi*, czterema niedzielami obwieszczeniu *in termino coincidenti*, to jest dnia 12 Listopada, poważnie zjechał na grunt z przyzwoitą assystencyą dla reindukcyi, czyli wprowadzenia na nowo JWP. Kriegera. Ale ponieważ było cztery tygodnie czasu od pozwu do przybycia tych gości, tak przeto panowie possesorowie, jako i ekonomowie potrafili się dostatecznie na przyjęcie ich przygotować i skończyło się na tem, że znowu od bram z niejaką konfuzyą wrócić się musieli.

Były więc prawne sztuki na sztuki, a wszystkie te wybiegi prowadzono na to tylko jedynie, ażeby sprawę przedłużyć i przez ten czas postarać się o pieniądze do spłacenia natrętnego wierzyciela Krygiera, który gdyby się był raz do dóbr dostał, jużby go ztamtąd z pewnością niepodobna było wysadzić. Ale trzykroć sto tysięcy złotych gotówki na owe czasy była to suma tak znaczna, że i na największe dobra do-

stać jej nie było łatwo. Taki więc taniec nie mógł trwać długo; zmieniono plan działania i zaraz w następnym 1757 r. Sapiehowie wezwali swoich wierzycieli i podali sami dobra Kossowskie do taksy i exdywizyi, z zapewnieniem jednak bezpieczeństwa dawnym zastawnikom, przyczem i wojewoda Smoleński stanął jako wierzyciel, z racyi zapisów po matce swojej; był to w istocie najlepszy i najspokojniejszy sposób dalszego jeszcze przedłużenia sprawy. Dnia przeto 10 Marca Trybunał W. X. L. kadencyi Nowogródzkiej feruje dekret exdywizyi dóbr Kossowskich, co uspakajało nieco wierzycieli i pozwalało zyskać na czasie, ponieważ czynność pomiarów i szacunków mogła się ciągnąć latami. JWP. Frąckiewicz, podstarości Piński, Rostocki, sędzia Słonimski, oraz Wyganowski, pisarz grodzki Brzeski, naznaczeni *in continuatione* zaczętej dawniej taksy i exdywizyi, do której dwaj pierwsi już roku 1744 po raz czwarty pono zabierać się mieli; Wyganowski zaś zastąpił pierwej tęż czynność pełniącego JWP. Grekowicza z tej racyi, że Grekowicz był teraz podwojewodzim Smoleńskim, a zatem, jak opiewa dokument, *ex munere officii sui* od JWP. wojewody Smoleńskiego dependo-

wał. Była to jednak zbyteczna, jak się zdaje, skrupulatność prawna, ponieważ województwo Smoleńskie od czasu traktatu andruszowskiego w 1667 r., prócz dwóch powiatów, do Polski już nie należało. Ztąd tytuły wojewody i pod wojewodziego były jedynie czczemi tytułami *in partibus infidelium*, a pan Grekowicz przypadkowo tylko i nominalnie znalazł się w tej mniemanej dependencyi; dodać wszelako należy, iż pozostałe dwa powiaty: Siebieżski i Newelski, w imieniu całego województwa sejmikowały w Wilnie.

W tym więc rzeczy porządku JWP. Ludwik Kościuszko miał już zapewnione spokojne posiadanie Mereczowszczyzny, tembardziej, że ubezpieczony był szczególnemi zapisami starosty Gorzdowskiego, a sprawa weszła na tor regularny i właściwy. Ale pan starosta Gorzdowski sprawy miał mocno zawikłane, a przebiegli trybunalscy juryści rozmaite swoje i niezliczone posiadali wybiegi.

Gdy więc JWP. miecznik Brzeski, nie domyślając się niczego, siedział sobie spokojnie w swojej zastawie, a zamieniwszy oręż na lemiesz, doglądał zagona, naraz, jak piorun z jasnego nieba, dnia 18 Października 1757 roku

zjawia się w Mereczowszczyźnie JP. Stefan Józefowicz, generał J. K. Mości (tak się podpisywał) i kładzie mu „oczywisto“ pozew przed Sąd Tryb. W. X. L. na przypaść mającą w Mińsku kadencyą, treści następującej:

„August III, z Bożej łaski Król Polski, W. X. Litewski, Ruski, Pruski, Żmujdzki etc., dziedziczny Xiąże Saski i elektor“.

„Urodzonemu Ludwikowi Kościuszkowi, Miecznikowi Brzeskiemu, ze wszystkich dóbr leżących, ruchomych, sum pieniężnych *ubique locorum* będących, przykazujemy tym pozwem, ażebyś za onym przed Sądem Trybunału Gł. W. X. L. w roku teraźniejszym, 1757, w Mińsku sądzić się mającym, sam stawał i skutecznie na cy.... (uszkodzone*) i prawne poparcie JW. urodzonego Jana Hrabi (sic) Sapiehy, Wojewodzica Smoleńskiego, starosty Gorzdowskiego, który pozywa, mieniąc o to: iż co obżałowany W. J., trzymając folwark Mereczowszczyznę, w powiecie Słonimskim leżący *ad fundum* hrabstwa Kossowa przysłuchający *(sic)* prawami zastawnemi od antecessorów JW. actora zawiedziony dekretami trybunal-

*) Cytacyą. (P. A.).

skiemi *circa possesionem* Obłgo [1]) J. W. utwierdzony, którego wespół z całem hrabstwem Kossowa urodzony Żłcy [2]) Dltr [3]) za zapisem wieczysto zrzecznym, darowanym od ojca swego JW. urodzonego wojewody Smoleńskiego, zostawszy aktorem i dziedzicem, gdy w roku przeszłym 1756 *in Augusto* jadący z Sokołowa do Słonima, zajechał do Obłgo W. J., w tymże folwarku Mereczowszczyznie rezydującego, tam *infelici fato*, słabością zdrowia złożony, przy niedziel trzy *lectaliter decumbebat*, Obłny W. J. w tym czasie przeciwne prawu i słuszności na krzywdę żałującego delatora uprojektowawszy przedsięwzięcie, dokument niejakowy mając napisany (udając przed żałującym, że nic onemu szkodzić nie będzie i że tylko na approbatę possesyi folwarku Mereczowszczyzny jest napisany) przez JW. żałującego aktora n i e c z y t a n y (?) czasu obłożnej choroby do podpisu podał. Jako (uszkodzone [4]).....cy, nie mając na ten czas takowej *adlatus* osoby, którąby namieniony dokument, czyli zapis przeczytała i szko-

[1]) Obżałowanego.
[2]) Żałujący.
[3]) Delator.
[4]) Żałujący. (P. A.)

dliwie w nim wyrażone punkta remonstrowała, do podpisu nakłonionym *et per adinventos modos* obżałowanego. W d. do przyznania w Magdeburyi Żyrowickiej przyprowadzonym został; a zatem w pośledniejszym czasie, tak z zaszczycania się obżałowanego W. J., jako też z przeczytania wyrażonego dokumentu informowawszy się, iż jest szkodliwy, ile, gdy w nim znaczna summa *de nullo dato et accepta cum detrimendo* substancyi JW. żałującego delatora obżałowanemu W. J. zapisana; *et alia contenta prejuditiosissima* pokładzione najdują się, *ex inde* przeciwko takowemu niezwyczajnemi sposobami wyprokurowanemu dokumentowi JW. żałujący delator manifestowawszy się, *ante omnia* do komportacyi onego *insimul* z extraktem Magdeburskim Żyrowickim *sub nexu Juramenti* do skasowania tegoż dokumentu *in omnibus punctis et clausulis*, do uznania eliminacyi drugiego i przywiedzenia do przyznania do pokarania paenami z prawa ściągającemi się, do nagrodzenia szkód, strat i expens prawnych *ex occasione* obżałowanego W. J. ponoszących i ponieść mających i to wszystko, co czasu prawa (nieczytelne) . . . *sius deducentur. Salva melioratione*

tej żałoby. Pisano roku 1757 Mca 8-bra 15 dnia.

Ignacy Przeździecki
Pisarz Ziems. Star. mp.

Na pozew Trybunału W. X.
L. Kadencyi Mińskiej."

(Następuje relacya Generała Józefowicza o podaniu pozwu w Mereczowszczyznie JW. Ludwikowi Kościuszkowi, Miecznikowi Województwa Brzeskiego i dalej,

„Roku 1757 M-ca Octobra dwudziestego dnia *comparendo personaliter* generał *supra* wyrażony ten kwit swój relacyjny podanego pozwu na urzędzie J. K. Mości Grodzkim Słonimskim zeznał, przyjąłem.

Kmierz Rahoza.
Rotm..... (nieczytelne[1]) Grodz. St. Sł."

Dokument szkaradny, który, wzięty sam w sobie, więcej obwinia Sapiehę, aniżeli Kościuszkę; przeczytawszy go, należałoby chyba wszystkie papiery w kąt rzucić, gdyby nieznanym był obyczaj i sposob prowadzenia spraw w owym

[1]) Rotmistrz Słonimski i namiestnik starostwa; — z innego dokumentu. (Przyp. aut.)

czasie, oraz gdyby nie znajdowały się przy tem na szczęście i inne papiery a w szczególności najważniejszy i ciekawy list Sapiehy do miecznika Brzeskiego, który zamieszczamy niżej. Wszystko to, rozjaśniając ciemne ścieżki, po których zdawała się postępować ta sprawa, w zupełnie ją odmiennem przedstawia świetle. Gdy bowiem starosta Gorzdowski w Marcu tegoż 1757 r. podał dobra Kossowskie do exdywizyi, wzywając wszystkich wierzycieli swoich do komportacyi, czyli składania dokumentów z pretensyami, natenczas, jak się okazuje JMP. miecznik Brzeski owego skryptu, otrzymanego od Sapiehy w Mereczowszczyznie, nie przedstawiał wcale; czego jasno dowodzi pozew wyżej przytoczony. Była to uczciwa delikatność ze strony miecznika, który, widząc z przebiegu sprawy zapewnione posiadanie zastawu, póki-by się coś przynajmniej nie zmieniło, ze szczególnych dla siebie zapewnień korzystać nie chciał. Doradcy jednak, juryści Sapiehy, nie dowierzając nikomu, musieli i starostę Gorzdowskiego niepokoić, przedstawiając, że miecznik Brzeski byłby w możności później, na mocy skryptu starosty, uciążliwe jakie stawiać warunki. I oto wysłano ów niemądry pozew do

Mereczowszczyzny; ale mógł Sapieha z panem miecznikiem porozumieć się drogą prywatną, nie oddając tej sprawy w ręce jurystów.

Tu już niepodobna bez zarzutu pozostawić starostę Gorzdowskiego, któremu widać do liczby „złych nałogów," o których Matuszewicz[1]) wspomina, doliczyć należy i nieoględność i łatwowierność dla doradców zbyteczną. Uwaga ta nastręcza się z konieczności, zważywszy, że po zapadłym w roku 1760 dekrecie trybunału co do wszelkich pretensyi possesorów, tenże sam starosta Gorzdowski taki oto pisze list do JMP. miecznika Brzeskiego, (Kartka ćwiartkowa Nr. 89)

Kopia listu od JW. starosty Gorzdowskiego, do JWPP. Kościuszków, miecz. Brzes. pisanego.

„Jak nieskończenie cieszę się, że świętej sprawiedliwości dekret, ferowany przez trybunał W. X. Lit., pokassował wszystkie w posessyi zostających kredytorów pretensye, tak nie mniej ubolewam nad tem, że i WW. Państwo,

[1]) I w tytule, i w całych pamiętnikach Matuszewica wydawcy piszą go przez *cz* na końcu; my posiadamy w archiwach Romanowskich wiele listów oryginalnych kasztelana brzeskiego, w których się zawsze podpisuje: Matuszewic. (Przyp. aut.)

których przyjaźń i dobre serce sobie szacuje, pod jego podpadacie prassę. Bodaj się zawsze to święciło przysłowie: przyjaźń bez interesu. Najlepszą winienem wprawdzie wdzięczność W. Państwu, nie tylko za wygadzanie mi w moich potrzebach, nietylko za grzeczne przyjęcie, ale też i za pieczołowitość w chorobie mojej, za co niech nie tylko Bóg W. Państwu będzie nagrodą, ale też i ja przez wszelkie sposoby i dowody, które tylko dać dobra przyjaźń może, odsługiwać W. Państwu nie omieszkam. Musiał to być krótkowidzący malarz, który z mojej obrzydłej niewdzięczności W. Państwu wymalował obraz, co mogliście sami zawsze widzieć, że moje serce pod istnej rzetelności i prostoty wydawało się farbą. Spodziewam się, że dalsze okoliczności i konjunktury będą mi świadkiem oczywistym, że jakem raz zaczął, tak być nie przestaję z zwykłem uszanowaniem obojga WWPP. życzliwy i uniżony sługa.

J. Sapieha.

Z listu tego pokazuje się więc, że ów sławny dokument, aktywowany w Żyrowicach, nie mógł być w samej rzeczy ani podstępnym sposobem zdobyty, ani dla Sapiehy straszny, ani

wreszcie z niego pan miecznik korzystał; owszem, zdaje się, że ten, jak i inne, był skassowany, a starosta Gorzdowski tłómaczy się ze swego postępowania; nadto widać, że Kościuszce niepokojące jakieś wieści co do starosty szeptano do ucha, że wskutek tego pisał do Sapiehy i otrzymał właśnie tę odpowiedź, która, mimo wszelkich pozorów, utwierdza nas w tem przekonaniu, że obu stronom w uczciwem postępowaniu względem siebie żadnych zarzutów uczynić nie można.

Miecznikowstwo też i nadal pozostali w spokojnem posiadaniu Mereczowszczyzny, exdywizya bowiem i na ten raz nie przyszła do skutku; zaraz następnego, 1761 roku znalazł się z grubemi kapitałami Jerzy Flemming, podskarbi W. X. L., który nabył całe dobra Kossowskie i zastaw Ludwikowi Kościuszce na dalsze lata potwierdził. Tegoż 1761 r. dnia 19 Listopada wydaje Flemming córkę Izabellę za księcia Adama Czartoryskiego, ale dóbr, jak się zdaje, nie oddał córce, gdyż w roku 1764 sam wykupuje od Kościuszki folwark Mereczowszczyznę za 54,500 złp.*); umiera Flemming w Grudniu

*) Lipiński i Baliński. (Przyp. aut).

1771 roku w Warszawie i dopiero na ks. Czartoryskich dobra po nim spadają. Kościuszkowie przeto pierwej wyszli z Mereczowszczyzny, aniżeli ona w Czartoryskich przeszła posiadanie.

Tą więc, na oryginalnych dokumentach opartą relacyą, prostujemy wiadomość, podaną mylnie, jakoby Lud. Kościuszko nie od Sapiehów, ale od Czartoryskich trzymał wyżej wspomniany folwark w zastawie. Nadto zaś z powyższego okazuje się jeszcze, że miecznikowscy Brzescy już od 1744 r. aż do wykupu folwarku, to jest do 1764, przez lat dwadzieścia stale mieszkali w Mereczowszczyznie, a nie w Siechnowiczach; gdy zaś generał Kościuszko przyszedł na świat w roku 1746 i ochrzczonym był w Kossowie, zdaje się przeto nie ulegać wątpliwości i to, że się w Mereczowszczyznie urodził.

Na zakończenie dodamy jeszcze, że w powiecie Włodawskim jest wieś Dołholiska, niegdyś także Sapieżyńska, o trzy mile od Sosnowicy, rezydencyi dawnej hetmana Sosnowskiego; tu przebywał generał Tadeusz Kościuszko po powrocie swoim z Ameryki, a zatem około 1784 r. W starej bardzo, drewnianej cerkiewce, która upadła nie dawniej, jak w 1865 r., na ołtarzu zawiesił był generał order swój Cyn-

cynata z rąk Washingtona otrzymany; oglądaliśmy go niegdyś na własne oczy. Pamiątka ta przetrwała była na miejscu aż do roku 1856, w którym znikła z ołtarza. O ile mogliśmy się dobadać, order ten dostał się był do archeologicznych zbiorów ś. p. Karola Bejera, co się z nim dalej stało, nie wiemy.

Romanów, d. 21 października 1880.

POMNIK

POSTAWIONY PRZEZ KOSCIUSZKĘ W DOŁHOLISCE.

Omnia reliquit servare rem publicam.

Należałoby mi dla rozszerzenia niniejszego artykułu, bawiąc się w dyalektykę, zacząć od wykazania ważności wszelkich starożytnych zabytków i drogich narodowych pamiątek; ale niestety, musiałbym w takim razie powtórzyć *mutatis mutandis*, to wszystko, co pisali już ludzie w rozmaitych językach i od lat bardzo wielu. A że w ostatnich czasach, przy tak zwanym „rozwoju piśmiennictwa“ u nas, podobnie nowych rozpraw i wiadomości jest podostatkiem, wolę przeto odesłać szanownego czytelnika po objaśnienia w tym przedmiocie do źródeł właściwych, i aby ich nie szukać daleko, wskażę naprzykład nasz „Przegląd Archeologiczny,“ wydawany od roku, który ze wszech miar na poparcie i największą zasługuje

uwagę. Nie wdając się więc w długie rozprawy, przystępuję do rzeczy.

Jest u nas na Podlasiu, nieznana wcale szerszej publiczności, nie ciekawa może z pozoru, ale nieocenionej historycznej wartości pamiątka.

Jadąc z Włodawy do Wisznic, we wsi Dołholisce, po prawej stronie gościńca, naprzeciwko drogi do dzisiejszego dworu wiodącej, widzieć może podróżny pomniczek mały, parołokciowej wysokości, murowany, prosty, nieozdobny, w czystem polu stojący, nad którym gałęzie kilku drzew starych zwieszają się powiewne, płaczące i smętne. Ogólny wyraz tego ustronia dziwnie jest jakiś tęskny i zagadkowy; niema tu bowiem w blizkości kościoła ani cmentarza, pomniczek więc nie jest chyba nagrobkiem? Mimowolnie przeto rodzi się pytanie: co on oznacza? jaką kryje w sobie tajemnicę? Nim go czas, albo ludzka złośliwa ręka zagładzi, dla zachowania śladu tej drogiej pamiątki, śpieszę o niej podać objaśnienie.

Folwark Dołholiska wchodził w skład dóbr Sapieżyńskich, szeroko tu niegdyś na Podlasiu naszem rozłożonych. Panowie ówcześni, jeśli bywali w stolicy, to gośćmi jedynie; wyjeżdżali

niekiedy i za granicę, ale rezydencye stałe miewali nieodmiennie, jak ziemianom przystało, w dobrach swoich na wsi. Dzisiejszy, nie nasz wcale rodzimy obyczaj, stałego mieszkania w mieście, nieznanym był w dawnych czasach. Rezydencya przeto i dwory pańskie urządzane były i utrzymywane w głównych dziedzicznych siedzibach, zkąd ród cały pochodził, pomniejsze zaś folwarki najczęściej wypuszczano w arendę, czyli dzierżawę, albo je za pożyczane summy w zastaw oddawano. I szlachta również lubiła trzymać się swoich kątów i najczęściej w obrębie tylko własnego Województwa, gdzie ich z dziada pradziada znano, nabywała majątki, albo brała dzierżawy.

Kościuszkowie, jako Brześcianie, także się rodzinnych stron trzymali. Dawne Województwo Brzeskie rozciągało się w stronę zachodnią, aż do wsi Zbulitowa, pod Radzyniem — gdzie i ciekawy, odwieczny z napisami kamień leży na pograniczu — i do Parczewa, a rzeczka Piwonia stanowiła tu granicę Litwy i Korony. Folwark więc Dołholiska leżał wtenczas w Województwie Brzeskiem a w latach mniej więcej 1774 — 1786 wiadomem jest, że go trzymał w dzierżawie jeden ze szwagrów generała Ko-

ściuszki. Według miejscowej i rodzinnej tradycyi był nim JMP. Estko, stolnik Smoleński, żonaty z Anną, siostrą generała; oba więc szwagrowie mieszkali w tych stronach, i drugi bowiem, Żółkowski, chorąży wołkowyski, który miał za sobą Katarzynę Kościuszkównę, siostrę Anny, trzymał z dóbr Sławatyckich (raczej Bialskich) od r. 1764 folwark Kuzawkę nad Bugiem, pod Sławatyczami. Ztąd właśnie w roku 1776 puścił się Kościuszko w podróż do Ameryki, na galarze, odpływającym ze zbożem „na frior“ do Gdańska (pamiętnik Jana Soroki, „Tyg. Illustr.“ d. 24 września 1881 r.), pożyczywszy od Ks. Generała Ziem Podols. pięćset dukatów na drogę, które, *stante pede*, wyliczył mu kasyer księcia, Skowroński, na stole w karczmie w Sławatyczach, gdzie książę, jadąc z Różanki do Brześcia, popasał. W tych stronach więc obaj szwagrowie generała, jak się pokazuje, dorabiali się chleba, i Kościuszko bawił tu u nich w roku 1784 po swoim z Ameryki powrocie.

Według miejscowego podania, miała w Dołholisce przy córce mieszkać staruszka matka generała, co-by istotnie i dłuższy pobyt jego w tych stronach tłomaczyło zupełnie. Wiadomość ta tembardziej-by podobną była do praw-

dy, że JM. pani Miecznikowa była już wdową w 1761 r., a w 1764 opuściła Mereczowszczyznę, po otrzymaniu od Fleminga spłaty sumy zastawnej [1]). Nie gdzie indziej więc, jak przy córce zamieszkać mogła, ile że w tym właśnie czasie Kościuszko, przebywając i w Siechnowiczach, żył tam zupełnie sam jeden, jak to widzimy z wiadomości, podanych przez Siemieńskiego [2]). Tu również w Dołholisce, w odwiecznej cerkiewce unickiej, która się 1865 roku zawaliła i w proch rozsypała, oglądaliśmy nieraz sami, zawieszony niegdyś przez generała, jako *ex voto*, otrzymany z rąk Waszyngtona order Cyncynata, a raczej znak stowarzyszenia, w kształcie orła, z napisem: *Omnia reliquit servare rempublicam.* Znikła ta szanowna pamiątka z cerkiewki około 1856 roku, i jak mówiono, dostała się podobno do zbiorów ś. p. Karola Bajera.

Włościanin z Dołholiski, Chwedor Lewczuk, starzec 90-letni, zdrów i czerstwy, bo do ostatnich dni życia pracował, zmarły w 1863 roku, opowiadał, że „gdy był małym chłopcem, mło-

---

[1]) Lipiński i Baliński. „Staroż. Polska."

[2]) „Żywot Tad. Kościuszki." Kraków 1866.

„dy pan Kościuszko *(sic)*, bawiąc tu, murował „pomniczek, dziś na polu stojący, sam własne- „mi rękoma, a on (Chwedor) cegły mu poda- „wał; (był w tem miejscu dawniej ogródek przy „starym folwarku, którego fundamenta do dziś „dnia widoczne); że, gdy pomniczek był skoń- „czonym, zjechało się dużo gości i z Sosnowicy „Państwa; że było natenczas bardzo piękne „nabożeństwo w cerkiewce, i ten młody pan „Kościuszko krzyż swój z wojny na ołtarzu „zawiesił."

Przyjrzyjmy się bliżej, co nam to podanie przynosi: Staruszek Chwedor miał lat 89 do 90 w roku 1863, gdy to opowiadał; miał 10 do 11 w czasie budowania pomniczka; data więc bytności Generała w Dołholisce pada na rok 1784, czyli zaraz właśnie po przyjeździe jego do kraju. Poważna krytyka wykazała oddawna całą fałszywość bajki, ukutej, jak się okazało, w angielskich gazetach o rzekomem przez Kościuszkę wykradzeniu panny Sosnowskiej [1]); owszem, wiadomem jest, że, bawiąc w Warszawie, po powrocie z Ameryki, bywał Generał w do-

[1]) Siemieński. „Żywot T. Kościuszki."

mu Lubomirskich [1]). Stosunki więc przyjacielskie nie były zerwane, ile, że i Hetman Sosnowski nie żył; umarł bowiem w Ratnie d. 31 Grudnia 1785 r. [2]); potwierdził to nieraz w opowiadaniach swoich i staruszek p. Stanisław Sosnowski, (z linii bocznej, adoptowanej przez Hetmana), ostatni, niedawno zmarły, dziedzic Sosnowicy [3]).

Z relacyi przeto sędziwego wieśniaka rozwija nam się żywo cały obrazek, pewnej, może najpiękniejszej, chwili, z życia Generała, kiedy po ośmnastoletniej wędrówce, okryty chwałą, wróciwszy do kraju, i krótko tylko, przejazdem zabawiwszy w Warszawie, gdzie go król dość zimno przyjął, śpieszy naprzód do stóp ukochanej i stęsknionej matki; tu buduje ów pomniczek na pamiątkę powrotu i zawiesza na ołta-

[1]) Panna Ludwika Sosnowska, w której się Kościuszko kochał, wyszła, wkrótce po wyjeździe jego do Ameryki, za Józefa Lubomirskiego, później Kaszt. Kijows. (1775); druga Sosnowska, Katarzyna, poszła za Józefa Platera. (Kossakowski „Monografia“ T. II.)

[2]) J. Bartoszewicz.— Józef Sosnowski, Pis. Zbiór. Ohrzyki.— „Gaz. Warsz.“ 1784, Nr. 5.

[3]) Do ojca jego Szambelana S. do Sosnowicy przyjeżdżała jeszcze w 1820 r. staruszka, pani Platerowa, z pięciu pannami respektowemi w odwiedziny.

rzu wiejskiej cerkiewki swój znak Cyncynata, a na powitanie bohatera i solenne owej pamiątki uczczenie, zjeżdżają się liczni sąsiedzi, a nawet Państwo Sosnowscy; więc Hetmanowa, zawsze przyjazna Kościuszce, a może Lubomirscy i Platerowie. Pomijając zgodność dat i znanych szczegółów historycznych, charakter tego epizodu tak się z charakterem epoki zgadza, że, już przez to samo, podanie to uważamy za najprawdziwszy i żywo w pamięci ludu przechowany obrazek z przeszłości. Tu nastręcza się pytanie: dlaczego Kościuszko stawia ową pamiątkę na cudzym gruncie, nie na własnej skibie w Siechnowiczach, gdzie miał też i cerkiewkę podobną, w której mógł swój order zawiesić? Na to nam właśnie odpowiada podanie o pobycie matki Generała w Dołholisce, bliskość państwa z Sosnowicy i chwile radosnego uniesienia po powrocie do swoich, — więcej niepotrzeba.

Po wyjściu Dołholiski z dzierżawy szwagra Kościuszki, trzymał ją Stolnik Paszkowski w zastawie za sumę 24,200 złotych, mając nadto lokowane jeszcze w skarbie dziedzica, Księcia Józefa Sapiehy, Krajczego W. Ks. Lit., złp. 38,000, i procenta zaległe, co ogółem 74,280

złp. wynosiło [1]). Dołholiska też wraz z całemi dobrami w r. 1802 przez Księżnę wdowę Teofilę z Jabłonowskich, Krajczynę, i syna jej Aleksandra Sapiehę, sprzedaną została, a idąc po rękach, przeszła wreszcie w posiadanie dzisiejszego jej właściciela, p. Witolda Ratajewicza.

Tradycya o pobycie Kościuszki żyje tu, przyrosła do ziemi, ale ją odgrzebywać, szperać i szukać jej trzeba; nie każdy to lubi; nie jeden przeto zadawał sobie to pytanie: jaka była myśl Generała w stawianiu owego pomnika? Wiedziano coś o stosunkach jego, z niedaleko, o parę mil ztąd odległą Sosnowicą, przypuszczano więc, że drogie wspomnienia lat młodszych skłoniły Generała do zostawienia tu po sobie pamiątki.

Tak myślano powszechnie i pomniczek stał sobie spokojny na ustroniu, rozsypując się wprawdzie i psując potrosze, ale nietknięty i nienaruszony, aż około r. 1853 osiadł był na lat kilka w Dołholisce nowy dzierżawca, p. J. z Grodzieńskiego. Dawna tradycya, co jak blady ognik świeci na starej mogile, doszła i do

[1]) Archiwum własne w Romanowie.— „Sumy należące ze skarbu Sapieżyńskiego obywatelom Galicyjskim."

jego wiedzy; a człowiek to był, jak się okazuje, według nowo u nas do nowych pojęć ukutego wyrazu, p o z y t y w n y, w marzenia nie wierzył, ani się nie bawił. — Pomniczek, a nie nagrobek żaden? — powiedział sobie — cóż to jest? do czego? coś w nim chyba być musi? Ciekawym był, ale ostrożnym i dowcipnym człowiekiem; zaczekał więc cierpliwie, aż mu się skończyła dzierżawa, i dopiero w przeddzień wyjazdu, do rozświecenia swej wątpliwości stosując najnowszą doświadczalną metodę, zabrał się do roboty, chcąc się przekonać, czy tam w środku czegoś nie ma? Jakoż nie potrzebował, na szczęście, pomniczka rozrzucać; ledwie bowiem z boku kilka cegieł poruszył, znalazły się dwie, zalane smołą, z papierami butelki, które tam szczęśliwie i cało siedemdziesiąt lat przeleżały; co w sobie kryły?... Nie wiadomo. Papiery poszły w świat, ale pomniczek ocalał i nie mniej jest drogą pamiątką dla tych, co dziś jeszcze do pamiątek przywiązują cenę. Przezorny dzierżawca, zabrawszy z sobą ten ostatni dochód z dzierżawy, nazajutrz wyjechał; wieść się jednak o tem odkryciu lotem błyskawicy rozeszła; upomniano się o papiery, p. J. nie zaprzeczał

nawet ich znalezienia i obiecywał odesłać, ale... skończyło się na obietnicy.

Oto są wiadomości niewątpliwe o pomniczku Kościuszki, które nam się zebrać udało.

SOSNOWICA

I WSPOMNIENIA O KOŚCIUSZCE.

Do wiadomości, poczerpniętych bądź ze starych papierów i dokumentów, bądź z tradycyj ustnych, które podałem w „Kłosach“ o rodzinie Kościuszków [1]) i o samym Generale z czasu pobytu jego na Podlasiu [2]), dołączam obecnie opisanie starej rezydencyi, niegdyś Hetmana Sosnowskiego, Sosnowicy [3]) uświęconej nieśmiertelną pamięcią Generała. Miłość nieznanego młodego oficera ze Szkoły Kadetów, niebogatego szlachcica, dla córki Hetmańskiej, chociaż i ten Hetman niedawno również urósł był z małego ziemianina; miłość bez nadziei, cnotliwa, piękna i cicha, byłaby na wieki pozostała nieznaną światu, gdyby ów skromny kadet nie zolbrzymiał na bohatera, przy którego sławie owa świetność het-

[1]) „Kłosy,“ Nr. 810 i 811 roku 1880.
[2]) „Kłosy,“ Nr. 874 i 875 roku 1880.
[3]) Gubernia Siedlecka, powiat Włodawski.

mańska znikła, jak przelotny blady meteor przy słonecznym blasku.

Wówczas to poczęli się ludzie dopytywać, kto jest ten nieznany Generał? Odgrzebywano stare dzieje i ukuto do smaku ówczesnego zastosowaną baśń romansowo-rycerską o wykradzeniu Panny Ludwiki Sosnowskiej [1]). Zkąd ona urość mogła? Domysły nasze niżej podamy, tu przystępujemy do opisu Sosnowicy, prawdziwego, nie wymarzonego, jak to ktoś niedawno uczynił, powtarzając i bajeczkę ową o wykradaniu Hetmanówny.

Ława piasków, bagien, karłowatych sosenek, czasem piękniejszych lasów i nieco urodzajniejszych gruntów nizinnych, ciągnie się wzdłuż gościńca z Włodawy na Wołoską-Wolę, Sosnowicę, do Ostrowa; gościńcem tym, po żółtym szczerku, wlokąc się noga za nogą, wyjechawszy wreszcie z ostatniego lasu, szeroką, pięknie staremi drzewami ozdobioną drogą, podróżny przybywa do owej starej rezydencyi hetmańskiej.

Z lewej strony, od przyjazdu, widzimy naprzód obwiedziony dokoła murem, piękny i ob-

---

[1]) L. Siemieński.— Żywot. T. Kościuszki.

szerny kościół, który zdobią od czoła, po rogach okalającego muru, dwie potężne i wyniosłe dzwonnice. Pierwszy kościół drewniany założyła tu w XVII wieku Katarzyna z Zamiechowskich Sosnowska, żona Oktawiana, Miecznika Bracławskiego, pułkownika pancernej chorągwi JKM. Jana Kazimierza, którego syn, Paweł, Generał Lejtnant wojsk W. X. Lit. cudzoziemskiego autoramentu, bezdzietny dziedzic Sosnowicy, usynowił ojca Józefa Sosnowskiego, późniejszego Hetmana, dla utrzymania majątku w imieniu rodziny. Teraźniejszy zaś kościół założyła w końcu XVIII wieku żona Hetmana, Tekla z Zenowiczów, starościanka Snitowska, córka Franciszka Zenowicza, który był marszałkiem Trybunału Lit. w roku 1772. Wnętrze kościoła piękną klasyczną architekturą przypomina wiele innych świątyń, stawianych u nas pod koniec XVIII wieku za panowania Stanisława Augusta, ale są tu skarby sztuki, o których do tej pory nigdzie nam jeszcze żadnej wzmianki nawet spotkać się nie udało. Są tu bowiem w dwóch bocznych ołtarzach bardzo piękne obrazy Franciszka Smuglewicza: N. P. Maryi z lewej, a Św. Józef z prawej strony; nie wie o nich Rastawiecki, lubo w swoim Sło-

wniku Malarzy skrzętnie wylicza wszystkie tego artysty dzieła. Nadto w głównym ołtarzu znajduje się również wielkich zalet, bardzo piękny obraz, przedstawiający Trojcę Świętą, za znaczną podobno sumę przez fundatorkę z Włoch sprowadzony. Przed kościołem plac obszerny oddziela nizkie ogrodzenie od dziedzińca dworskiego, dzielącego się jeszcze na dwie części. W pierwszej, przestronnej i szerokiej, na lewo stoją zwaliska i mury po spalonych niegdyś długich i obszernych wojskowych koszarach hetmańskich; ztąd przez mostek, którego między staremi drzewami dojrzeć trudno, bo i rowu śladu prawie niema, wjeżdża się na dziedziniec mniejszy; tu, z lewej strony były niegdyś stajnie z mieszkaniami, dziś tylko resztki murów po dawnem spaleniu, z prawej znajduje się dobrze jeszcze zachowany duży piętrowy skarbiec, na którym zdala widnieje napis: A. D. 1770, w głębi zaś sama rezydencya hetmańska, której korpus główny jest wcale niedużym, nie ozdobnym i bez piętra domkiem szlacheckim, mogącym mieć najwięcej czterdzieści kilka łokci długości, bez ganku, z małą tylko facyatką nad środkowemi od wejścia głównemi drzwiami. Budowla ta murowana, ale nizka, z małemi okna-

mi, samą strukturą swoją zdradza czasy o wiele dawniejsze, niż samo hetmaństwo Sosnowskiego i jego dziedzictwo Sosnowicy, a z wszelkiem prawdopodobieństwem odnieść ją należy do czasów Jana Kazimierza, za dziedzictwa Pawła lub Oktawiana Sosnowskich Ta siedziba nie wystarczała już dla ich usynowionego potomka, który, dosięgnąwszy godności hetmańskiej, szerzej rozłożyć się potrzebował. Powiększoną więc została owa rezydencya pierwotna przez dobudowanie po czterech jej rogach tyluż kwadratowych pawilonów, mieszczących w sobie każdy po dwa lub trzy pokoje. Na lewo z obszernej sieni apartamenta niegdyś pani Hetmanowej i panien zachowały jeszcze wszelkie ślady dawnych ozdób i urządzenia, szerokie u dołu lamperye, a ściany ujęte w kadry, czyli obramowania, w których umieszczone były niegdyś obicia albo szpalery. Obecna dziedziczka, pamiątki te szanując, nie zmienia nic; zostały więc nawet jeszcze i sprzęty z czasów hetmańskich, a między niemi piękny stół w stylu Ludwika XVI, przy którym, jak miejscowa tradycya podaje, odbywały się owe pamiętne lekcye, Hetmanównom przez Kościuszkę dawane. Stół ten zostaje do dziś dnia w tym samym pokoju,

w którym się nauki panien odbywały, w lewym tylnym pawilonie, od strony obszernego, pełnego drzew starych, ogrodu [1]), który się za tą dawną rozciąga siedzibą.

Tak się dziś owa świetna niegdyś rezydencya hetmańska przedstawia.

Znając Sosnowicę i mieszkańców jej od lat wielu, starałem się odgrzebać tutejsze wspomnienia przeszłości, i póki czas jeszcze, pochwycić choć jakikolwiek wątek dawnych miejscowych tradycyi. Jakoż, mimo lat ubiegłych, rachując na cześć powszechną, która imię bohatera naszego otacza, nie zawiodłem się wcale.

Z opowiadań, jakie słyszałem niegdyś z ust ś. p. Stanisława Sosnowskiego, ostatniego dziedzica Sosnowicy, jak również siostrzenicy jego, p. Niepokojczyckiej, właścicielki dzisiejszej, okazuje się, że za ich pamięci żył stary ulubieniec niegdyś hetmański, hajduk Joachim, i drugi również wiekowy sługa, którego obowiązkiem było nakręcanie i regulowanie wszystkich zegarów we dworze; obaj ci wetarani, do ostatnich lat swoich opowiadali o Kościuszce i stosunkach jego z domem Sosnowskich. Z tych podań

[1]) Siemieński niewłaściwie to nazywa lewą oficyną.

miejscowych nie podpadających żadnej wątpliwości, okazuje się, że ze wszystkich biografów Generała jeden tylko Siemieński [1]), rozpytując się, szperając i porywnywając różne wiadomości, najlepiej, najdokładniej i zupełnie zgodnie z prawdą wyjaśnił całe przejście sławnego romansu Kościuszki z panną Ludwiką Sosnowską; z wyjątkiem tylko nikomu do tej pory nieznanego wypadku, który, lubo jest epizodem, niemającym pozornie żadnego związku z tą sprawą, niemniej jednak mógł być powodem do ukucia bajki o porwaniu i wykradzeniu panny Ludwiki. Prawdą więc jest, że Kościuszko szukał dla swych miłosnych zamiarów pomocy, naprzód u protektora swego, Księcia Generała Ziem Podolskich, że ten mu poradził udać się z tem do Króla, który zbył go tylko morałami, a sądząc, że Kościuszko mógłby się o wykradzenie panny pokusić, zawiadomił o wszystkiem samego Hetmana. Koledzy Kościuszki, wojskowi, namawiali go do tego, wówczas modnego bardzo przedsięwzięcia, i jak się zdaje, mogli poczynić nawet na swoją rękę pewne przygotowania w tym celu, mimo jego woli i wiedzy;

[1]) „Żywot Kościuszki.“ Kraków 1866.

bądź co bądź, to pewna, że Kościuszko wrócił z Warszawy do Sosnowicy, ani myśląc wcale ważyć się na krok stanowczy. Tu jednak zastał już stan rzeczy zmieniony: Hetmana w domu nie było; sama pani Hetmanowa, uwiadomiona przez męża i zastraszona, miała się na ostrożności. Kościuszko znalazł cały dwór w ruchu: Hetmanowa wybierała się w podróż jakąś; powozy i furgony stały na dziedzińcu, znoszono i pakowano rzeczy, a panny siedziały gdzieś pod czujnem okiem zamknięte w dalszych pokojach; gdy zaś gospodyni przyjęła go bardzo chłodno, ledwie kilku obojętnemi słowami, Kościuszko, widząc zniszczone już wszelkie nadzieje, natychmiast opuścił Sosnowicę.

W okolicy tej, jak wiadomo, mieszkali dwaj szwagrowie Generała: Estko, Stolnik Smoleński, żonaty z Anną, siostrą Kościuszki, w Dołholisce, o parę mil odległej od Sosnowicy, i Żółkowski, Chorąży Wołkowyski, żonaty z drugą siostrą jego, Katarzyną, w folwarku Kuzawce, nad Bugiem pod Sławatyczami. W tych stronach, jak się zdaje, musiał natenczas bawić Generał, ponieważ wkrótce potem postanowiwszy wyjechać z kraju, właśnie w Kuzawce siadł na

galar, który go dowiózł do Gdańska, zkąd puścił się w daleką wędrówkę do Ameryki [1]).

Tak skończył się ów sławny romans naszego bohatera; ale w tym samym czasie właśnie zdarzył się w Sosnowicy inny, wcale niezwykły, a przynajmniej głośny natenczas wypadek, lubo zapomniany wkrótce, a dziś już wcale nawet nieznany, który szczęśliwym trafem udało się nam odgrzebać w miejscowej tradycyi, a zdaje się on być wielce prawdopodobną przyczyną podań późniejszych o jakimś zamachu, wykradzeniu się i ucieczce zakochanej pary.

Rzecz tak się miała.

W miasteczku Parczewie, o trzy mile od Sosnowicy stał z rosyjskim garnizonem swoim kapitan Markow, który przyjeżdżał niekiedy do Hetmana z atencyą, a przyjmowany grzecznie, korzystał z gospodarskiej uprzejmości tem chętniej, że mu wpadła w oko i niezmiernie się podobała jedna z panien, będących we fraucymerze samej Hetmanowej. Panna z czułem sercem, jak widać, nie umiała być srogą; tra-

[1]) Pomniczek w Dołholisce. „Kłosy“ Nr. 874 i 5, r. 1882 przez Kajetana Kraszewskiego.

dycya nie podaje, jak się ci państwo porozumieli, ale to jest rzeczą pewną, że w tym samym czasie właśnie, kiedy Kościuszko wrócił na chwilę do Sosnowicy, a pani Hetmanowa w podróż się wybrała, pan Kapitan z wielką zręcznością potrafił cichaczem w nocy wykraść z Sosnowicy swoją Donzellę, która uciekła z nim pokryjomu, ku wielkiemu zmartwieniu pani Hetmanowej i nieskończonym plotkom, w okolicy powtarzanym.

Gdy w lat wiele później imię Kościuszki zasłynęło w świecie, kiedy poczęto skwapliwie wyszukiwać wszelkich szczegółów z całego życia i przeszłości Generała, wówczas to, jak pisze Siemieński, pojawiła się najpierwej w dziele Ségura: *Tableau des evenements politiques de l'Europe*, owa wiadomość o wykradzeniu Hetmanówny przez Kościuszkę, a gdy się Generał upominał o sprostowanie tego fałszu, autor utrzymywał, że wyczytał o tem w jakiejś gazecie angielskiej. Jest przeto rzeczą wielce do prawdy podobną, że miłość Kościuszki i panny Sosnowskiej, przechodząc z ust do ust, wraz ze współczesną, dość głośną, awanturą jednej z panien respektowych pani Hetmanowej, zmieszano w jedną romansową całość i wytworzono tym

sposobem ową ciemną bajkę, na którą pierwszy promień światła rzucił dopiero Siemieński, a niepodpadające wątpliwości podania miejscowe, któreśmy tu zamieścili, być może, iż utwierdzić potrafią staranne poszukiwania Siemieńskiego, wykazując przytem z jednej strony ich całą prawdziwość, a z drugiej zaś oczyszczając z zarzutu młodzieńczej lekkomyślności imię bohatera, całemu światu znanego ze swej czystości a prostoty uczuć i z niezłomnej cnoty.

TAKTYKA PANA ROTMISTRZA.

OPOWIADANIE.

Maj 1809 roku dość był piękny i pogodny, a nawet pomimo zbliżających się trzech sławnych świętych, ktorzy zimno zwykle przynoszą, dzień 11-ty, Czwartek, przed samym Pankracym, byłby może jak wśród lata ciepły, gdyby nie powiew północno-zachodniego wiatru, który jeszcze wiosenne przypominał chłody; niebo jednak pokrywało się lekkimi falowato układającymi się obłoczkami, zapowiadającymi czas coraz cieplejszy. W polach czerniły się świeżo podorywane ugory; ale że siewy już pokończono, była więc chwila nieco zmniejszonej roboty, z której też po wsiach i folwarkach nietylko próżniacy, ale i pracowitsi nawet korzystali chętnie. W siołach, pod wieczór, roił się lud, choć niezbyt czasem na przednowku syty, niemniej jednak zawsze raźny i ochoczy; a że był czas wojenny, jeśli się gdzie pokazało wojsko,

wysypywało się co żyło na ulice. Tak właśnie było i tego dnia koło południa we wsi Suchawie, gdy zdala od Wyryk ukazały się na gościńcu jakieś ruchome kolumny, wśród których gdzieniegdzie migotały odbitym jaskrawym słońca blasku groty lanc, albo jasne pochwy pałaszów. We wsi wysypała się ludność cała; młodzież i wyrostki powdrapywali się na płoty, drzewa i chałupy, baby trwożliwie kupkami trzymały się bliżej domów, gospodarze, najmniej ciekawi i niebardzo tej nowości radzi, pojedyńczo wychodzili na środek ulicy i milcząc, kiwali albo pokręcali głowami; i we dworze też ruch był niemały. Co żyło tylko, wyroiło się na podwórze, najdobitniej stwierdzając uwagę pewnego starego szlachcica, który zwykł był dowodzić, że żaden gospodarz nie wie nigdy, ile gąb jego chlebem się żywi, a jedyny sposób przekonania się o tem albo uderzyć w bęben czy w trąbkę, jakoby wojsko szło, albo, jak to dawniej bywało, sprowadzić na podwórze niedźwiednika z uczonym ze smorgońskiej szkoły „maruszką;“ nie ostanie się wtedy ani jedna żywa dusza pod dachem, i dopiero gospodarz wszystką gawiedź i stołowników swoich policzyć może. Tak było na ten raz i w Suchawie; wy-

biegło wszystko co żyło, wyglądając ku gościńcowi, na którym zdala jeszcze niewiele się dojrzeć i rozróżnić dawało.

Dwór w Suchawie dość obszerny, drewniany, ale stary i w ziemię zapadły, z sadem i niewielką liczbą drzew starych, obrócony był czołem ku zachodowi, właśnie w stronę gościńca od Wyryk. Tu, do jednego z bocznych okien podbiegła i stukać poczęła stara gospodyni, imć pani Krzymowska.

— Panienko! panienko! — wołała żywo — wojsko jakieś idzie, niechno panienka na ganek wyjdzie, zobaczy...

Nie trzeba było dwa razy tego wezwania powtarzać; wnet też z domu wybiegła dzieweczka jasnowłosa, niebieskooka, może 18-letnia, rumiana i hoża, w skromnym, domowym kubraczku; włosy w grubych warkoczach splecione jak korona, starodawnym obyczajem okalały jej głowę.

— Gdzie? gdzie? — spytała, wybiegając z sieni.

— A, o! tam pod lasem — wskazywała Krzymowska.

— Idą tu do nas, do nas — ozwało się kilka głosów.

— Jezus, Marya! — zawołała panienka — a dziadzia niema w domu! Biegajcie szukać wujaszka, może już z pola powrócił.

— Jest, oto idzie, — odparła gospodyni; i w tej chwili właśnie ukazał się z za domu, od zabudowań gospodarskich idący, imć pan Michał Dulęba, mężczyzna słuszny, średniej tuszy, barczysty, ale niemłody już i nieco pochylony, z twarzą dużą, pociągłą, ozdobną potężnym nosem i długiemi szpakowatemi wąsami.

— Widział wujaszek, o! wojsko jakieś idzie — mówiła żywo panienka, wskazując jedną ręką na gościniec ku Wyrykom, a drugą od blasku słonecznego przysłaniając oczy.

— A no, idzie — ozwał się basem pan Dulęba.

— Jakie to wojsko?

— Kto ich tam wie! Pewno austryackie huzary z Lublina.

— A może to z Księztwa? — zawołała panienka.

— Oho! — odparł p. Dulęba — Andziby się pewno chciało, żeby tu zaraz i pan Marcelli obrał sobie główną kwaterę.

— Cha! cha! cha! — zaśmiała się wesoło

Andzia — a czemuż nie? Przecież mówią, że niedawno Austryaków pobili pod Kockiem.

— A no, ale jakby do nas pan Marcelli zawitał, toby go wnet jegomość na cztery wiatry przepędził, bo przecie zakazał mu się tu pokazywać, póki nie zostanie majorem, i zaklął się, że pierwej was nie pobłogosławi i na ślub nie pozwoli.

— E, e — machnąwszy rączką, odparła z uśmiechem Andzia — to było przed wojną — teraz co innego, może już do tej pory pan Marcelli jest pułkownikiem!

— Oho, ho! — zawołał pan Dulęba — wierzę temu, że asandźkabyś go wnet i generałem zrobiła! Ale to służba nie drużba, nie tak to prędko idzie.

Tymczasem szpica, idąca w awangardzie przed oddziałem wojska, tak już się do wsi przybliżyła, że wyraźnie rozeznać było można i lance, i chorągiewki, i mundury, a niebawem bystrzejsze oczy obszlagi już dopatrzeć mogły.

Nie było wątpliwości — byli to ułani z wojsk Księztwa Warszawskiego, a szósty pułk, w którym służył właśnie narzeczony pięknej Andzi, pan porucznik Marcelli Łojowski, miał nie inne mundury.

Panienka zarumieniła się jak wiśnia i klasnęła w dłonie.

— A co! a co! — zawołała — a widzi wujaszek, że ja zgadłam! To takie same mundury jak ma pan Marcelli, pewno on tu jest.

I to mówiąc, zakręciła się żwawo i wbiegła do domu.

Uśmiechnął się pan Dulęba, pokręcił głową i mruknął sam do siebie:

— Hm — a dalibóg prawda! — ułani; pewno i Łojowski tu jest; tylko najgorsza rzecz, że pana rotmistrza w domu niema. A no, trzeba pójść zobaczyć.

Folwark Suchawę, z dóbr Włodawskich, które od lat natenczas właśnie jedenastu przeszły były w posiadanie hr. Zamoyskich, po księżniczce Czartoryskiej, trzymał w roku tym 1809 w arendzie imć pan Wysocki, którego tytułowano rotmistrzem; barszczanin niegdyś, służył następnie w wielkopolskiej brygadzie Madalińskiego; sterawszy na wojaczce większą część życia, miał teraz dostatni i spokojny kawałek chleba na Suchawie, ile że tak książęta Czartoscy, jak i hr. Zamoyscy już z tradycyi rodo-

wej wspierali zawsze chętnie starych zasłużonych żołnierzy; trzymał więc imć pan rotmistrz arendę nie drogo już od lat przeszło 12-tu i mieszkał tu z jedyną tylko wnuczką i dalekim swym krewnym, panem Dulębą, który mu w gospodarstwie pomagał.

Nadeszła wreszcie wojna 1809 roku.

Dnia 6-go Maja wyparł z pod Kocka i pobił na głowę trzystu węgierskich huzarów sławny pułkownik Berko Josielowicz, na czele dwóch szwadronów strzelców konnych, gdzie i sam poległ.

Owoż we dwa dni po bitwie pod Kockiem, d. 8-go Maja, wszedł tam był 6-ty pułk ułanów pod dowództwem Dominika Dziewanowskiego; z owego pułku jeden szwadron wysłany był na zajęcie Białej, drugi zaś ku Włodawie, mając na czele szefa swego, p. Marcellego Łojowskiego, któremu to w sam raz do gustu przypadło, gdyż jako blizki krewny starego rotmistrza Wysockiego i wnuczki jego narzeczony, rad był po drodze znaleźć się i w Suchawie. Rada była temu i panienka, tylko imci pan Dulęba słusznie się zapewne domyślał, że pan rotmistrz niebardzo się z gościa ucieszy, na co składały się różne przyczyny. Naprzód więc, że pan Ło-

jowski był dość blizkim krewnym swojej narzeczonej, co wreszcie niby pominąwszy, żądał pan rotmistrz zwłoki w nadziei, że się to z czasem może rozchwieje, i dlatego kazał się pierwej panu porucznikowi dosłużyć rangi majora; najbardziej zaś to małżeństwo nie przypadało do smaku panu Wysockiemu, dlatego, że sam będąc gorącego temperamentu i wielkiego niegdyś animuszu żołnierzem, nie mógł znieść, jak nazywał, „niemieckiej flegmy," zimnej krwi i niejakiej teorycznej pedanteryi imci pana Łojowskiego, którego nazywał zwykle „kunktatorem." Nie widział w nim młodzieńczej żywości i tego wojskowego zapału, który w danej chwili żołnierza na bohatera urabia. Nie pochwalając przeto owego układającego się małżeństwa, postawił panu Łojowskiemu za warunek swego zezwolenia dosłużenie się stopnia majora, rachując na to, że nim on ze swoim temperamentem do tego dojdzie, wiele wody upłynie i przez ten czas niejedno odmienić się może.

Tak rzeczy stały, kiedy się pan Łojowski nad wszelkie spodziewanie zjawił w Suchawie, zawsze jeszcze w stopniu porucznika, lubo dla braku kapitana zwał się na ten raz bardzo

pięknie szefem szwadronu, którym właśnie dowodził.

Zająwszy więc we wsi kwatery i rozprowadziwszy porządnie pikiety, udał się do dworu, ale nie zastał w domu pana Wysockiego, na co może się i niezbyt gniewał.

Rotmistrz w przeddzień wyjechał był właśnie do Sawina i tegoż dnia dopiero na południe miał wrócić; jakoż, wyjechawszy ztamtąd rano, stanął w Borowej karczmie na popas; już miał jechać dalej do domu i konie zaprzężone czekały, kiedy na spienionej szkapie przypadł jakiś Żydek do karczmy i arendarzowi począł coś, aż zachlipując się z pośpiechu, giergotać, gestykulując mocno, a na gościniec ku Chełmowi wskazując. Zaciekawiony pan rotmistrz począł się u Żydów dopytywać, o co chodziło?

Okazało się, że była to tak zwana pantoflowa poczta żydowska, przynosząca wiadomość, iż silny oddział wojska austryackiego, prowadzącego żywność, amunicyę i furaże, ciągnie z Chełma ku Włodawie, a lada chwila zapewne ukaże się już i pod karczmą Borową.

Nie namyślając się ani momentu, kazał tedy nawrócić furmanowi w stronę Chełma, jakoby

tam miał jechać, i już siadał na bryczkę, kiedy przypadł do niego arendarz.

— Co jegomość robi? — zawołał — przecie jegomość do domu jechał, a teraz nazad się wraca; toż ztamtąd i wojsko idzie, to jegomości zaraz złapią i przytrzymają.

— At, głupiś — odparł pan rotmistrz — jakbym ku Włodawie jechał, a im kto o tem powiedział, choćby i ty sam, toby mnie z pewnością i dopędzili i przytrzymali, ale jak pojadę w tył, to mnie nikt nie zaczepi, a gdy ich pominę, dam już sobie rady.

Jakoż zaraz ruszył żwawo pan Wysocki i nie ujechał pół mili, kiedy się spotkał z Austryakami; ale dobrze przewidział, bo go nikt ani spytał o nic. Przeciągnął więc bokiem spokojnie, przyjrzawszy się tylko ciekawie i taborom, i konnicy i piechocie, a było tego, jak pan rotmistrz miarkował, z 800 albo i tysiąc ludzi; pominąwszy zaś wojsko, gdy je tylko z oczu stracił, rzucił się w pierwszą dróżkę na prawo, a doskonale znając okolice i skracając jeszcze drogę na wieś Żdżarkę, manowcami i lasami do Suchawy pośpieszył.

Imć pan Wysocki zbliżał się do domu, kiedy

go z zadumy, w którą się pogrążył, zbudził nagle głos furmana.

— Proszę pana! a to widać i u nas jakieś wojsko stoi.

Podniósł głowę pan rotmistrz i z niemałem zdziwieniem ujrzał nieopodal od wsi stojącą ułańską pikietę.

— Oho! — mruknął — to nasi — pośpieszaj!

Zaciął konie woźnica i niebawem bryczka zatoczyła się przed ganek suchawskiego dworu, gdzie najpierwszy powitał gospodarza, jakoby oczekujący nań, pan Dulęba.

— Mamy tu niespodziewanych gości.

— A widziałem ułanów, szósty pułk — odrzekł pan Wysocki — siła ich jest, hę?

— Jeden szwadron, 250 ludzi.

— To pewno i Marcelli z nimi?

— A jakże, jako szef właśnie tym szwadronem dowodzi.

— Oho! proszę!

Ale tuż nadszedł właśnie i pan Łojowski. Stary rotmistrz nadspodziewanie powitał go bardzo uprzejmie.

— A no — mówił wesoło — w samą porę waszmość przybyłeś.

— Niech mi wujaszek wybaczy — rzekł, całując w ręce gospodarza pan Marcelli — że się tu do wsi wpakowałem z moim szwadronem; cóż robić! Taką mi dano marszrutę, ale niedługo stać będziemy. Aby konie tylko i ludzie spoczęli, zaraz wyciągniemy do Włodawy.

— Cha! cha! — zaśmiał się gospodarz — o tem potem; chodźmy do środka.

I wszedłszy żywo do domu, wnet zwrócił się do Łojowskiego.

— Dawnoście tu przyszli? — zapytał.

Pan porucznik, zawsze akuratny i porządny, wyjął z za munduru zegarek, popatrzył i odparł z flegmą:

— Już dwie godziny i minut pięć tu stoimy.

— A no, chwała Bogu — mówił Wysocki — ja też mam dla waszmości ważną nowinę... tak ważną, że jeśli z niej skorzystać potrafisz, możesz sobie całą wojskową i niewojskową krescytywę zapewnić.

— Cóż to takiego? — spytał zaciekawiony nieco porucznik.

— Tyś tu przyszedł do Suchawy — ciągnął pan Wysocki, a tuż właśnie z Chełma do Włodawy idzie oddział Austryaków z ogromnymi zapasami prowiantów, furażów i amunicyi...

— Zkądże ta wiadomość? — może to bajka jaka — przerwał Łojowski.

— Jużci nie bajka, kiedym ich sam mijał, widział i prawie policzył — odparł żywo rotmistrz.

— I duży to oddział? jaka broń?

— Głównie piechota i może stu huzarów, razem 800 albo mało co więcej ludzi.

Tu pan porucznik kiwnął głową, wydął wargi i pstryknął ustami.

— Taak — ozwał się przeciągle — to mnie nie wypada nic innego robić, tylko pół obrotu w lewo i ciągnąć na Łomazy ku Białej, żeby się połączyć ze szwadronem Oborskiego, który tam także z Kocka został wysłany.

— Co?! — zawołał cały czerwieniąc się pan Wysocki? — Cofać się? Uciekać? Zamiast korzystając z takiej sposobności, wpaść niespodzianie, rozbić i okryć się chwałą!... A to... przyznam się...

— Ależ wujaszku — przerwał porucznik — to byłoby szaleństwem z mojej strony rzucać się z 250 ludźmi na tysiąc — na cztery razy silniejszego nieprzyjaciela; czyż ja mogę powierzonych mi ludzi na pewną zgubę prowadzić?

Żadna taktyka tego nie uczy, ani na to nie pozwala!

— A! wasza sławna taktyka — wołał zaperzony Wysocki — na stu dyabłów się nie zdała! Nie wart być żołnierzem, kto się na hazard nie waży, jeszcze też na własnej ziemi! Nie liczba mosanie, nie liczba, ale animusz i zapał zwycięża! Będziesz liczył nieprzyjaciół, gdy ich pobijesz. Nasz Madaliński o liczbę nie pytał, a szedł jak burza i tłukł Niemców na miazgę!

— Ależ, panie rotmistrzu — tłómaczył się Łojowski — na miłość Boga! raczże pomyśleć, jaka na mnie ciąży odpowiedzialność... Zresztą trzeba znać teren, miejscowość, ruchy nieprzyjaciela...

— To wszystko głupstwo! — prawił zapalając się coraz bardziej Wysocki — ja tu znam każdy krzak i każdą drożynę, wiem gdzie nieprzyjaciel stoi i gdzie kiedy będzie; ja sam siądę na koń i was poprowadzę.

— Ależ panie rotmistrzu — począł znów porucznik.

— Słuchaj waść — przerwał mu żywo Wysocki — ja stary żołnierz, wiem co można i co należy; masz wóz i przewóz, wybieraj, — albo idź i bij, a ja z wami pojadę i poprowadzę,

i z placu nie zejdę, aż ich wszystkich jak baranów pobierzemy, i okryjesz się zasługą i chwałą i już nie będę czekał na twoje majorowstwo, albo, jeśli masz nie zrobić nic i z hańbą ustąpić, idźże sobie na cztery wiatry i już mi się na oczy w życiu swojem nie pokazuj; a o Anusi ani myśl. Oto moje słowo...

Łojowski stał, blednąc i czerwieniąc się na przemian, i nim miał czas zebrać się na jakąś odpowiedź, stary rotmistrz dorzucił:

— Ależ i to uważaj, że jeśli ma co być, to najdalej za godzinę musimy na koń siadać. No, namyśl się!

Pan Marcell potarł spocone czoło, wyprostował się wreszcie i zwrócił do gospodarza.

— Niech kochany wujaszek nie myśli, żem tchórz — rzekł powoli — ale ja jestem szefem szwadronu w zastępstwie, tem większa na mnie odpowiedzialność ciąży, gdybym przedsięwziął krok nierozważny; — ja wiem, że poryzykować czasem można, ale trzeba mieć niejakąś rękojmię a ja tu jak w lesie, nie wiem nic — trudno tak na oślep.

— Masz mapkę? — przerwał mu żywo rotmistrz.

— Mam — odparł porucznik, wydobywa-

jąc z kieszeni niewielką, płótnem podklejoną kartę.

Rozłożono ją na stoliku pod oknem i stary rotmistrz nasadziwszy na nos okulary, począł się jej w milczeniu przypatrywać.

— Ot masz — ozwał się po chwili, posuwając palcem po mapie — Suchawa, Borowa karczma; tu oni stanęli na odpoczynek i najdalej za godzinę ruszą gościńcem na Orchówek do Włodawy. My powinniśmy ruszyć ztąd także za godzinę, albo i pierwej; pójdziemy lasami, rozdzielimy szwadron na dwie części. Jedna pójdzie naprzód i stanie za laskiem, tu, gdzie się gościniec skręca, między *Białe* i *Czarne* jezioro. Druga część szwadronu rzuci się w prawo drogi, która do Tarasiuk przez las prowadzi, i ukryje się za lasem. Przepuścimy Austryaków spokojnie, a dopiero gdy na załom gościńca wejdą, wpadniemy na nich z tyłu, kiedy tamta część na naszych uderzy od czoła. Ot masz waść cały plan gotowy: weźmiemy ich z dwóch stron insperate i ani noga nie wyjdzie.

Pan Łojowski stał przez chwilę, patrzał i rozmyślał.

— Ha! — ozwał się wreszcie — raz się czło-

wiek rodzi, raz umiera... Pójdziemy; ale to pewna, że gdyby nas rozbili, to ja nie mam po co do pułku powracać; więc albo ich musimy stłuc.... albo.... już ja żyw ztamtąd nie wrócę...

— A no — odparł stary rotmistrz — kiedy tak gadasz, to cię lubię — ale, nie myśl, żeś coś nowego powiedział; prawy żołnierz taką determinacyę zawsze powinien mieć, i zawsze może być pewnym zwycięztwa. No, a teraz — dodał — niema czasu do stracenia; nim dadzą nam jaką przekąskę, ja pójdę się przysposobić, a ty rozporządź się jak należy i niebawem każ trąbić na koń.

— Za pozwoleniem — ozwał się Łojowski — tu jest jeszcze jedna trudność; jeśli mamy mój szwadron na dwie części rozdzielać, kto poprowadzi drugą połowę? Jest tu ze mną podporucznik Pągowski, ale to chłopak młody, niedoświadczony...

— Ale służbę zna? — spytał rotmistrz.

— Doskonale, tylko że... młokos... roztrzepany...

— A no, niech będzie do komendy, a ja z nim pójdę sam... po staremu poprowadzę.

Tu stary rotmistrz zaśmiał się wesoło i poklepał Łojowskiego po ramieniu.

— Zobaczysz, cha, cha, cha! *Madaliński pierwszą bijał*, jak w maryaszu; takie u nas było przysłowie; no, zbierajmy się żywo.

I stary Wysocki, jak gdyby mu dwadzieścia lat ubyło, żwawym krokiem wyszedł z pokoju.

Szczęściem, że porucznik na parę godzin przed gospodarzem do Suchawy przybywszy, miał czas do wynurzenia swych uczuć i pogawędzenia z narzeczoną; teraz bowiem wcale już do tego ani sposobności, ani wolnej chwili nie było. Ledwie kilka słów mogli już z sobą zamienić przy ogólnej we dworze bieganinie i przy skromnym, pośpiesznie podanym zaraz obiedzie. Nim pan Marcelli poczynił stosowne do okoliczności w szwadronie swym przygotowania, już i jadło podano i ukazał się dziwnie odrodzony, raźny i żwawy pan rotmistrz, w długich, jałowiczych butach i krakowskiej szarej sukmance, której jedyną ozdobą był złoty oficerski, na niebieskiej morowej, mocno wyblakłej już wstążeczce, krzyż *Virtuti militari*. Wszedł do jadalni, niosąc w ręce starą swą wysłużoną szablę, w czarny ze srebrem jaszczur oprawną, z rze-

miennymi paskami, postawił ją ostrożnie w kącie, zawiesiwszy na rękojeści kwadratową, dobrze pikowaną czapkę. Był już gotów i całkiem wybrany.

Podporucznik Pągowski, uwiadomiony o wyprawie, posiliwszy się pierwej na prędce, już szykował koło dworu szwadron, dla którego pan Wysocki kazał wynieść beczułkę gorzałki.

Panowie tymczasem pospieszali z przekąską przy wesołem szczebiotaniu panny Anny, która zdradzała najweselszy humor, nie mając żadnego zgoła pojęcia o niebezpieczeństwie potyczki; bo gdzie byli tak piękni ułani, dziadzio, a zwłaszcza pan Marcelli, tam oczywiście przed nimi chmury nieprzyjaciół w popłochu pierzchnąć musiały!

Niebawem żegnano się już w ganku, stary rotmistrz dosiadł raźno swego kasztanka, na którym od dwóch lat koło gospodarstwa jeżdżąc, dobrze go sobie ułożył i ostrzelał nawet. Koń był dzielny i wcale niepospolity, ze sławnego międzyrzeckiego stada książąt Czartoryskich, prawdziwej krwi polskiej; na krótkich nogach i krótkich pęcinach z szeroką a wydatną piersią, piękną osadą ogona, a nadewszystko ze wspaniałą, właściwą tej rasie postawą,

którą nadawał wyrost szyi wprost z piersi do góry.

Jeszcze nastąpiły pożegnania, i dowódcy znaleźli się przed uszykowanym szwadronem ułanów, który ich wesołym pozdrowił okrzykiem.

Cała wieś i dwór na to widowisko wyległy.

Pan Łojowski z Wysockim objeżdżali szeregi, które też za danym wnet sygnałem poczęły się rozłamywać i mając na czele swych wodzów, trójkami posunęły raźno drogą wiodącą w stronę osady nazywanej Luta.

Zdala dolatywał czas jakiś brzęk oręża i wesołe parskanie koni, chwilami groty lanc i barwne chorągiewki migotały jeszcze na lazurowem tle pogodnego nieba. Ucichło wreszcie, i za lekkim tumanem kurzu zniknęli.

Dziwne są naprawdę losy owej wyprawy ks. Ferdynanda austryackiego w r. 1809 na Księztwo Warszawskie. Wszedł on, mając przeszło 45,000 wojska, w którem trzy były tylko nowe regimenta; mianowicie: de Ligne, Strauch'a i Kotulińskiego; reszta wojska składała się ze starego, wyćwiczonego i doskonałego żołnierza, jako znane regimenta Wukaszowicza, piechota węgierska Baillet'a, palatyńscy, cesarskie huzary, kirassyerowie Sommariva, chevaux-legery

i t. p. Przeciw nim Ks. Warszawskie stawić mogło niespełna 13,000 wojska, licząc w tem już i korpus saski generała Dyhern'a; reszta wysługiwała się Napoleonowi w Niemczech i Hiszpanii. Obrona zdawałaby się niemożliwą; a jednak... bito Austryaków na każdym kroku, w każdem niemal spotkaniu, aż zmuszono ich nietylko do odwrotu, lecz zagarnięto nawet część polskich prowincyj w austryackiem na ten czas zostających władaniu. Rzecz trudnąby była do pojęcia i niewytłumaczoną prawie, gdybyśmy nie wzięli w rachubę potężnego, na on czas, czarodziejskiego prawie uroku imienia wielkiego wojennego bohatera wieku. Każdy żołnierz, który po jego walczył stronie, niezachwianą miał wiarę i pewność zwycięztwa. Każdy, który szedł bić napoleońskich żołnierzy, nietylko nie miał najmniejszej wiary ani nadziei wygranej, ale przekonanym był w swem sumieniu, że niechybnie pobitym zostanie. Zwyciężała wiara, przegrywało zwątpienie. Jedyna to częstokroć i niezaprzeczona tajemnica powodzenia, zkądinąd niepojętego.

Działy się też i w owej wojnie u nas 1809 roku rzeczy najosobliwsze i trafiały się niepodobne prawie do uwierzenia wypadki, stwierdzone

jednak i najzupełniej prawdziwe. Dość powiedzieć, że dwóch szasserów na patrol wysłanych, żart sobie uczyniwszy, fortelem zajęło jakieś galicyjskie miasteczko i rozbroiło załogę ze stu kilkudziesięciu ludzi złożoną. Oto znów co czytamy w 18-tym biuletynie: „Nieprzyjaciel (Austryacy) cofa się; dnia 28 Maja *dwunastu* ułanów polskich rekognoskując nieprzyjaciela, spotkało w Skierniewicach *stu dziesięciu* austryackich dragonów, rozprószyli ich i *jedenastu* w niewolę zabrali.“

Wojna to była istotnie nadzwyczaj szczęśliwa! A jednak mimowoli powiedzieć przychodzi, że gdy kogo los do zguby prowadzi, czasem i najszczęśliwsze wypadki jeszcze się do niej przyczynić mogą! I oto dowód jak najlepszy, co warta krytyka historyczna, zarozumiale wygłaszana ze stanowiska chwili bieżącej, odnośnie do zdarzeń i działań z dawniejszej epoki. Ta właśnie austryacka kampania, bitwy pod Raszynem, Górą, Sandomierzem i tyle innych najświetniejszych potyczek, a zwłaszcza przyłączenie do Ks. Warszawskiego znacznej przestrzeni kraju, jak Lubelski, Siedlecki, Radomski i Krakowski departament z okręgiem Zamojskim, ustaliły wojenną, wszędzie uznaną

sławę księcia Józefa i zjednały mu uwielbienie całego narodu. A jednak... dalsze następstwa tej kampanii nie wiem czy za szczęśliwe uznać by można? Według dzisiejszych krytycznych teoryj, kto wie, czyby nie należało wodzów naszych ówczesnych do srogiej przed historyą pociągnąć odpowiedzialności za to, że się zbyt mężnie bili!

Ale dajmy pokój krytyce, bo i ten sąd nasz, również jak setki innych, może się w przyszłości okazać niemniej fałszywym. To pewna, że w r. 1809 wojska nasze sprawiały się jak należy i trafiały się czasem dziwne a trudne do wiary wojenne przygody.

Podobnież stało się i z szaloną wyprawą starego rotmistrza z imćpanem Łojowskim. Zastosowano się ściśle do ułożonego przez Wysockiego planu; szwadron ułanów przemknął się zręcznie z Suchawy ku gościńcowi wiodącemu z Chełma do Włodawy. Poza lasami, które z tej właśnie strony osłaniają drogę, rozdzielił się na dwie części; z jedną połową za laskiem od strony karczmy Borowej stanął porucznik Łojowski, mając przepuścić oddział austryacki, aby nań z tyłu uderzyć, z drugą stary rotmistrz i podporucznik Pągowski posunęli się dalej

w stronę Czarnego jeziorka, aby jednocześnie nieprzyjaciela od czoła zaskoczyć.

I jak się komu wiedzie, to się już wszystko po temu składa; Austryacy bowiem, czując się niby u siebie, szli też sobie tak spokojnie i bezpiecznie, jak gdyby o wojnie mowy nie było. Postępujący oddział ograniczył się na słabej forpoczcie, postępującej przodem, ledwie o kilkaset kroków, a wcale nie miał nawet eklererów, którzyby bez żadnej wątpliwości musieli odkryć zasadzkę. Tu, sprawiedliwość wyznać nakazuje, że ani w gorącej wodzie kąpany stary pan Wysocki, ani poważny „taktyk“ Łojowski nie mniej o tej *elementarnej* zasadzie ostrożności wcale nie myśleli. Tak też byli Austryacy bezpieczni, że sam dowodzący oddziałem, pan oberst, jechał sobie w wygodnym powozie i z fajeczką w zębach drzemał po dobrym popasie; niewiele zapewne czujniejsi musieli być i inni oficerowie. W takich warunkach postępujący oddział przepuścił p. Łojowski spokojnie i gdy się dopiero na kilkaset kroków już oddalili, uderzył na nich z tyłu niespodzianie.

Przy tem pierwszem starciu zginął zaraz jeden oficer austryacki, a kilku innych i oberst zostali ranieni; zrobił się też popłoch nieopisa-

ny dla braku komendy, a w tejże chwili już i stary rotmistrz, naśladując dawnego niegdyś wodza swego Madalińskiego, *zerwawszy rogatywkę z głowy i wsadziwszy ją za pas,* huknął głosem potężnym: *„Psim swędem nie zbędziesz,* [1]) — za mną wiara naprzód!“ i z szablą do góry wpadł na Austryaków od frontu, jak burza. Już tedy nie popłoch, ale zupełne zamieszanie i wreszcie generalna panika nieprzyjacielski oddział opanowała. Rzucali broń, krzyczeli pardon, niektórzy próbowali schronić się w poblizkie krzaki. W kilkanaście minut prawie wszystko było skończone; wzięto z górą *siedmiuset* jeńców, majora, 9-ciu oficerów, kassę i bardzo znaczną ilość ammunicyi, broni, żywności i zapasów wojskowych. Wprawdzie przy pierwszem natarciu padło kilkadziesiąt strzałów, ledwie jednak kilku ułanów zostało lekko ranionych, jeden koń zabity, a pan Łojowski miał lewą nogę bagnetem rozprótą. Ze strony austryackiej, prócz jednego zabitego oficera i kilkunastu starszyzny i żołnierzy rannych, większych strat także się nie pokazało.

[1]) Zwyczajny okrzyk Madalińskiego przy ataku, do którego szedł zawsze z głową odkrytą.

(Przyp. autora.)

Skutek jednak tej awanturniczej wycieczki przechodził wszelkie oczekiwanie i zapewnił p. Łojowskiemu niechybną drogę do awansu; zaraz bowiem w dni kilka z kwatery głównej w Syrokomli wyszedł rozkaz dzienny z podpisem szefa sztabu, generała Rautenstraucha, z wielkiemi pochwałami potyczkę tę podający do wiadomości publicznej.

Pan Marcelli nie tyle niebezpiecznie, ile boleśnie będąc ranny w nogę, zdać musiał nazajutrz tymczasową komendę na imćpana Oborskiego, który od Białej nadbiegł z drugim szwadronem; sam zaś na parę tygodni kuracyi pozostał w Suchawie. Zabrał go teraz pan Wysocki z wielkiem ukontentowaniem i pociechą, przekonawszy się, że pan porucznik mimo swej „niemieckiej flegmy“ jest jednak dzielnym żołnierzem.

— Tylko pamiętaj waść — mówił mu wesoło — że czasem te wasze dzisiejsze wojskowe mądrości nie na wiele się zdały; — najważniejsza rzecz, gdy się okoliczność zdarza *nie kunktować*; determinacya w mig, szabla w garść i... naprzód — „oto moja taktyka!“

Pan Łojowski, nauczony doświadczeniem, obiecywał też stosować się do tej zasady; sta-

ry rotmistrz zaś naznaczył już ślub narzeczonych bez żadnych zastrzeżeń zaraz po skończeniu kampanii, warując sobie tylko to jedno, aby oczepiny panny młodej odbyły się wedle staropolskiego rycerskiego zwyczaju — na tureckiej kulbace.

Romanów, d. 20 Grudnia 1886 r.

O FRANCISZKU KARPIŃSKIM.

Do A. P.

„Szczęśliwyś! czyli śpiewasz gaj zielony,
Jak się kwiatami rozrodzi;
Czyli pod niebo wzlecisz nieścigniony,
Równie ci łatwo przychodzi.“

„A mnie mój ciężar trzyma na nizinie,
Próżno się w górę podnoszę;
Błogo mi, jeśli jaka się rozwinie,
Taką Ci różę przynoszę.“

Tak pisał niedgyś do Naruszewicza
Wieszcz, co w Litewskich puszczach zagrzebany
Zawsze się w poczet poetów zalicza,
Chociaż dziś pono trochę zapomniany.

Czuły i tęskny kochanek Justyny,
Szczęście, że nie mógł naszych czasów dożyć,
Czasów, gdy moda wyszukiwać winy;
Bo łatwiej sądzić, aniżeli tworzyć.

Krytyk dziś szuka po nim arcydzieła:
Czy epopei, czyli też dramatu;
Z uśmiechem pyta: Zkąd się sława wzięła?
Zkąd?! — Z jednej pieśni, znanej wszemu światu!

Kiedy mnie matka droga i kochana
Uczyła pierwsze odmawiać pacierze,
Wraz po „Ojcze nasz“ i „Zdrowaś“ i „Wierzę“
Pieśń Karpińskiego mówiłem co rana.

Nie dziw, że pamięć po nim pozostała;
Najpierwszych wrażeń i wiek nie ostudzi,
A jedno słowo, okoliczność mała,
Dawne wspomnienia na nowo obudzi.

I jam odludek jako wieszcz z Kraśnika,
A gdy mnie o nim dolatują słuchy,
Ile mam z wspomnień zebrane okruchy;
Przyjmijcie radzi dar od pustelnika.

Romanów, 5 Października 1880 r.

„Echo“ w N-rze 213 r. 1880 ogłasza list Szanownego profesora Łepkowskiego, zachęcającego do zebrania wiadomości o poecie, któremu niedawno właśnie wzniesiono pomnik w Kołomyi. Nie wątpiąc, że znajdzie się ktoś, co przedsięweźmie tę pracę [1]), pośpieszam tymczasem z przesłaniem kilku szczegółów i objaśnień, które, o ile sądzę, przydać się do niej mogą.

Życie Karpińskiego znane jest mniej więcej z jego pamiętników; w Obrazach z życia i podróży, J. I. Kraszewski podaje o nim niektóre wspomnienia, z najpewniejszego czerpane źródła; Karpiński bowiem był jednym ze szczerych przyjaciół i niedalekim sąsiadem ś. p. ojca

---

[1]) Pan S. M. Rzętkowski — pisał o Karpińskim. Patrz „Tygodnik Illustrowany“ Serya II. T. IX. str. 29 tamże i portret poety. (Przyp. autora.)

naszego (Jana Kraszewskiego, Chorążego), którego też naznaczył exekutorem swego testamentu, oddając w ręce jego i pamiętniki własne, wydane później przez Juliana Moraczewskiego, krewnego naszego, w Poznaniu 1844 roku (u Stefańskiego, 8-vo, str. 240.)

„Umarł Karpiński“ — pisze Szanowny professor Łepkowski — w r. 1825, podług jednych 4-go, podług innych 16-go Września, pochowany na cmentarzu miasteczka, które Baliński i Lipiński zowią Łysków, on sam i inni Łystkowice, a mieszczą je w powiecie Wołkowyskim, dawnem województwie Nowogrodzkiem.“

Tu objaśniamy co do daty śmierci poety, że dni 4 i 16-ty Września są najniezawodniej raczej dniem jednym i tym samym; ponieważ 4-ty, podług kalendarza starego stylu, używanena Litwie, gdzie Karpiński umarł, jest właśnie 16-tym podług nowego w Królestwie, gdzie życiorys jego pisano.

Co do owych urojonych Łystkowic, jest to błąd popełniony w pierwszej biografii poety przy wydaniu dzieł jego (Waler. Krasiński — Stereotyp, Warszawa 1830 r. str. 467), w wiadomości o życiu i pismach Karpińskiego, przez Kazimierza Brodzińskiego.

Grób poety znajduje się w miasteczku, zwanem Łysków, jak dobrze podaje Baliński, w dawnem Województwie Nowogrodzkiem, powiecie Wołkowyskim. Są to cztery murowane ścianki z dwoma szczytami, nakryte zwyczajnym daszkiem, niby domek niziuchny, widocznie zastosowane do napisu, jaki sam sobie obrał poeta z elegii swej p. t. Powrót z Warszawy na wieś (wyd. Krasińs. str. 175.) Otóż mój dom ubogi.

Rysunek tego nagrobka znajduje się w Albumie brata naszego Lucyana Kraszewskiego, który zrobił go w czasie pobytu swego w szkołach XX. Missyonarzy w Łyskowie. „Kłosy“ zaś w N-rze 690 dnia 7 Września 1878 r. umieściły drzeworyt z teki Napoleona Ordy, przedstawiający także grób Karpińskiego w Łyskowie. Pamiętam jeszcze z lat dawnych opowiadanie o jakimś jowialnym studencie z ówczesnych szkół missyonarskich, który natchniony przez zdradziecką muzę, ruszył konceptem i na pomniku poety, pod owym napisem, umieszczonym na czarnej tablicy: „otóż mój domek ubogi,“ dołożył kredą: „leżę w nim zadarłszy nogi,“ za co podobno od szanownych patrów, przy admonicyi o poszanowaniu grobów, dostać

miał, *antiquo more*, na kobiercu porządną pamiątkę.

Z Prużany przez Białowiezką puszczę, jadąc do Swisłoczy i Grodna, przejeżdża się koło Kraśnika, Królewszczyzny, Karpińskiemu niegdyś nadanej, którą on Karpinem przezwał; dworek leży na lewo opodal od gościńca; droga dalej nieco idzie pod samemi mogiłkami; te, przed trzydziestu laty obwiedzione były porządnym parkanem, a nad drewnianą bramką na prostej tablicy, czytelnym był jeszcze ów prześliczny wiersz sielskiego poety:

„Trzeba było odpocząć utrudzonym w biegu,
I my tu nie na zawsze, tylko na noclegu.“

Pod koniec życia Karpiński przeniósł się z Kraśnika w okolice Łyskowa, do wsi, którą nabył od Orzechowskiego, Sędziego granicznego powiatu Wołkowyskiego. W pamiętnikach swoich (wyd. Turowskiego) nazywa on ją *Cha*rowszczyzną; musi być w tem omyłka druku, a powinno być raczej *Cho*rowszczyzna, jak podaje L. Sowiński w Literaturze, i dobrze z miejscowością obeznany p. W. M., autor wspomnień o Świsłoczy („Kłosy“ Nr. 745, 1879 r.).

Z Kraśnika, jak z Chorowszczyzny, do któ-

rej się później przeniósł Karpiński, niedaleko było do Swisłoczy, rezydencyi Wincentego Tyszkiewicza, Referendarza W. X. Lit. Dom to był, na całej Litwie znany z gościnności, a dziedzica Swisłoczy otaczał powszechny i niekłamany szacunek. Żona jego Teresa z Poniatowskich, córka Jędrzeja, brata królewskiego, a siostra księcia Józefa, po roku małżeńskiego pożycia, opuściwszy najzacniejszego męża, wyniosła się do wesołej Warszawy, rada z hołdowników, między którymi i Talleyrand się później znajdował. Pan Referendarz tymczasem skazany na osamotnienie, pocieszał się licznemi odwiedzinami przyjaciół, zakładaniem szkół w Swisłoczy, znakomitem urządzeniem i upiększaniem ciągłem dóbr swoich, oraz tysiącznemi dobrodziejstwami, które hojną dłonią sypał na wszystkie strony. Karpiński jako sąsiad blizki, często i po kilka tygodni w Swisłoczy przebywał, a lubo bardzo mile przyjmowany był przez Referendarza, który szczerze towarzystwo jego polubił, godzić się jednak z sobą nie mogli.

Tyszkiewicz, nadzwyczajnie otyły, tak, że ręka ręki przez brzuch nie dosięgała, a ubierać się nie mógł inaczej, jak w długi aż do kostek żupan, na guziczki z przodu zapinany, mimo tej

tuszy i ociężałości, bardzo był żywym, i choć przystępny i najuprzejmiejszy dla wszystkich, zawsze się jednak za magnata uważał; jakoż, pomijając nawet dostatki, z rodu, stosunków, wychowania i wyobrażeń był nim w istocie. Karpiński miał się rownież za magnata... duchem; lubił, aby go chwalono i wynoszo, jako poetę, w równości zaś szlachecko-republikańskiej nie stawiał się niżej od żadnego pana; przepełniony był przytem goryczą dla świata, który, według jego wyobrażeń, nie poznał się na nim i poskąpił mu chleba; (tu, mówiąc nawiasem, nie różnił się on od wielu innych poetów, od stworzenia świata aż po dzień dzisiejszy); często więc z cierpkiemi słowami nie rachował się wcale i miał zawiść jakąś do magnatów. Ztąd, choć go Referendarz najlepiej przyjmował, nie było dnia, żeby się z sobą nie posprzeczali.

Pewnego razu, gdy Karpiński całą winę nieszczęść krajowych zwalał na magnatów, obruszył się wreszcie, do żywego dotknięty, Tyszkiewicz.

— At! gadasz Waszmość — rzekł — bo sam nie jesteś magnatem.

I dźwignąwszy się żywo z kanapy, sapiąc, wyszedł do ogrodu.

Karpiński, rozdrażniony i zagniewany tem przemówieniem, wybiegł także z pokoju; już się do odjazdu zabierał, kiedy go spotkał, przesiadujący tu ciągle prawie, Marszałkowicz Bułharyn z Rudawki.

— A to co? — zapytał — Jegomość się wynosisz?

Karpiński machnął ręką niechętnie.

— Pokłóciliśmy się z hrabią! — mruknął pod nosem.

Wtem, nadchodzi Komajewski, Szambelan, domownik Referendarza, trochę plotkarz wprawdzie, ale zresztą poczciwa dusza, a zapalony wielbiciel poety, mało nie wszystkie wiersze jego umiejący na pamięć.

— Cóż to? — zawołał — waszmość coś nadąsany? Odjeżdżasz? Bój-że się Boga!

Tu przybrał postawę tragiczną:

„O popędliwy... o ty niebaczny!
Lauro (chcę mówić) Franciszku, czekaj!
dwa słowa!“ [1])

Bułharyn, facecista, który miał głos sławnie fałszywy, o czem dobrze wiedział, przynużyw-

[1]) „Laura i Filon.“ Sielanka Fran. Karpińskiego. (Przyp. autora.)

szy oczy z czułością, zaintonował w tej chwili najprzeraźliwszym basem:

„Skłonność twoja do litości
Głośna w okolicy całej...“ [1])

Karpiński nie wytrzymał, parsknął serdecznym śmiechem; lody były złamane.

Tymczasem Referendarz, wysapawszy się, powrócił z ogrodu; nadszedł Imć pan Krusiński, dyrektor Gimnazyum, i przy pomocy Szambellana z Bułharynem, rozpoczęła się, jak gdyby nic nigdy nie zaszło, swobodna rozmowa.

Gospodarz, powodujący się zawsze zacnem i poczciwem sercem, umyślił żywość swoją i przykrość, jaką mógł sprawić poecie, nagrodzić mu, o ile możności. Wiedział, że w tym właśnie roku nieurodzajnym, jak na dobitkę prawdziwie, grad wybił zboże Karpińskiemu; po niejakim więc wstępie, biorąc go za rękę, rzekł wesoło:

— Ot! wiesz co Waszmość, panie Franciszku! co masz siedzieć u siebie? Kiedy już tam grad zboże wymłócił, nie masz co robić w go-

[1]) „Do Justyny.“ Sielanka XIV Fr. Karpińskiego. (Przyp. autora.)

spodarstwie; przenieś się tu lepiej do mnie, dam ci wszelkie wygody, będziemy się kłócić i godzić... i żyć jak u Pana Boga za piecem; czasem mi tam na imieniny, albo na uroczystość jaką, wytrząśniesz wierszyk z za rękawa, a ja ci rocznej pensyi trzysta czerwonych złotych przeznaczę[1]).

Na te słowa Karpiński wyrwał gwałtownie rękę z uprzejmej dłoni Tyszkiewicza i odskoczył na bok jak oparzony.

— Jaśnie wielmożny Referendarzu! — rzekł drżącym od wzruszenia głosem — ty jesteś panem, dygnitarzem, kawalerem orderów, ale ja, choć biedny szlachcic, chudopachołek, wolę życie o chłodzie i głodzie... a za pieniądze wierszy nie piszę.

Poczciwy Referendarz nie obraził się bynajmniej twardą odpowiedzią poety, a dłoń wyciągając na nowo, ozwał się z dobrodusznym uśmiechem:

---

[1]) Wspomina o tem Karpiński w pamiętnikach swoich, nie wymieniając jednak nazwiska Referendarza; mylnie jest wszakże podano, czy wydrukowano, o trzech tysiącach dukatów: wiemy z ustnej tradycyi tej całej sceny, że sam mówił o trzechset rocznej pensyi.

(Przyp. autora.)

— Harda dusza z Waszmości!... no, ale moją przyjaźnią nie wzgardzaj przecie.

Zwyciężony dobrocią Tyszkiewicza, ochłonął prędko i rozczulił się nawet Karpiński.

— Niech Bóg broni, owszem, owszem! — odparł żywo — widzę ja, przekonywam się, że Jegomość Dobrodziej jesteś prawdziwie dla mnie życzliwym, zacne masz serce; będę służył, będę siadywał w Swisłoczy, ale... bez żadnej pretensyi...

Bawił też naonczas Karpiński u Referendarza kilka tygodni; no... i pokłócili się znowu, a Tyszkiewicz, zniecierpliwiony, rzekł:

— Waćpan-bo widzę lubisz się sprzeczać.

Na to Karpiński:

— Sprzeczam się, bo pieniędzy nie wziąłem i mówię, co myślę; a gdybym je wziął, musiałbym tylko zawsze powtarzać: tak jest Mości Dobrodzieju!

Tu Referendarz zaczął się śmiać serdecznie i stanęła zgoda; wkrótce jednak po nowej sprzeczce Karpiński odjechał i przez lat kilka wcale już nie bywał u Tyszkiewicza. Pogodzili się dopiero w roku 1812, o czem w bardzo pięknem i ciekawem opowiadaniu, p. t. Swisłocz („Kłosy," 1879 N-ra 744, 745, 746, 747),

p. W. M. wspomina, zkąd wyjątek, dla dopełnienia obrazu, pozwalamy sobie tu przytoczyć.

„Nadszedł rok 1812, mówi p. W. M. — w Swisłoczy cisza była, jak zwykle, młodzież przygotowywała się do examinów, gdy runął grzmot od brzegów Niemna i w jednej chwili rozeszła się pogłoska, że Napoleon z armią przeszedł rzekę pod Kownem; tuż zaraz przeszły przez Swisłocz oddziały arryergardy rossyjskiej, pod dowództwem, jeśli się nie mylę, generała Jermołowa [1]); ale na drugi dzień już zajął miasteczko oddział Sasów z korpusu generała Schwartzenberga, a generał dywizyi Reynier, obrał sobie w Swisłoczy kwaterę. Nowi goście rozpoczęli swój pobyt od rabunku, nie gardząc nawet skromnemi kuferkami uczniów. Wypadło udać się ze skargami aż do generała, czego się podjęła sama pani dyrektorowa Krusińska [2]) i wysłany adjutant zaledwie przywrócił porządek, wypłazowawszy porządnie rabu-

[1]) Między Grodnem a Wołkowyskiem zajmował stanowisko korpus generała Bagrationa. (Przyp. autora.)

[2]) Nadmieniamy, że miała być bardzo piękną, a umiała dobrze po francusku, ponieważ w rok po ślubie znalazła się w Paryżu, gdzie dość długo bawiła. (Przyp. autora.)

siów. Następnie generał, wezwawszy dyrektora Gimnazyum i nauczycieli, polecił im dalej szkołę prowadzić, a dla zabezpieczenia klas od jakichkolwiek ewentualności, postawił w każdej podoficera na załodze; i tak podczas lekcyi w rogu sali na łóżku leżał żołnierz francuski, zwykle z książką w ręku, co dla uczniów było wcale nowym i niepospolitym widokiem. Referendarz zaś, ustąpiwszy pałacu na mieszkanie dla generała, wyniósł się do oficyny. Na drugi dzień podjechała bryczka parokonna pod ganek, i nad wszelkie spodziewanie, wysiadł z niej Karpiński i poszedł wprost do Referendarza, oświadczając, że zapomnieć powinni o urazach osobistych, i dlatego przybywa podać dłoń do zgody. Rozrzewniony Referendarz począł starca ściskać, i tak we łzach obaj uklękli na środku pokoju. Gdy przeszła chwila uniesienia, Karpiński, chociaż wiekiem starszy, ale lżejszy i zwinniejszy, powstał bez trudności, Referendarza zaś zaledwie pięciu lokajów podniosło."

„Tę tradycyę miejscową — kończy p. M. W. — powtarzam z ust świadków naocznych."

Przepraszam szanownego autora za tę cytatę, ale nie mogłem się wstrzymać, aby nie przytoczyć tego ślicznego obrazka, najlepiej dopeł-

niającego wiadomości, również z tradycyi czerpanych, ktore wyżej podałem.

Karpiński o dziewięć lat przeżył Tyszkiewicza, który umarł u Kurzenieckich krewnych swoich w Duboi, pod Pińskiem, 1816 roku. W ostatnich latach stary poeta mocno był na umyśle podupadł; pisał jakieś osobliwe wiersze w których wszystkie rymy kończyły się na *ur*. Po śmierci Tyszkiewicza, dla pamięci przyjaciela, ubierał się najczęściej w żupan, nabyty po nieboszczyku Referendarzu, którym dla nadmiernej szerokości, obwijał się w koło dwa razy, nie chcąc go, uchowaj Boże, przerabiać; gdy ubranie to jednak ciągle rozwijało się i plątało, ś. p. ojciec nasz, widząc ten kłopot pana Franciszka, ofiarował mu starożytny pas z pozłocistą klamrą, który on też do śmierci nosił codziennie i pochować się w nim kazał.

Romanów, 2 Października 1880 r.

W OBLĘŻENIU.

Urywek z rodzinnego dyaryusza.

Dum spiro, spero.

...Już nawet i rachubę czasu zatraciliśmy, od kiedy zostajemy w tej opresyi, na zameczku naszym jeno zamknięci, gdy wokoło, jako okiem zasięgnąć, a jak myśl zda się, daleko zaleci, wszystko już w nieprzyjacielskich ręku. Samotni i jakoby, co nie daj Boże, zapomnieni nawet, lubo odsieczy ani posiłków nizkąd podczas spodziewać się nie możemy, krzepimy się atoli, dodając sobie wzajem otuchy i nie chcąc w miłosierdziu Bożem tracić nadziei. Bo przedsię póki duch w ciele, póty i do upadu bronić się można; a i ten nasz zameczek nie tak snać jest słaby, skoro nieprzyjaciel nie od dziś, nie śpiąc, a całą uderzając potęgą, nie zdolen jest, jakoby chciał *funditus* go spustoszyć.

Prawdać to, że niekiedy mury i kurtyny i beluardy się szczerbią ; aleć się po cichu

i łatać dają. I obrona też w ścieśnieniu silniejsza, kiedy rejterując przed mocą następującego, a tak potężnego nieprzyjaciela, musieliśmy się wreszcie zawrzeć w tej ciasnej forteczce, opuszczając zewnętrzne szańce i raweliny; *praesidium* przytem niemałe i garnizon ludny, a wszystek do obrony sposobny.

Największą też pewność mamy w onych trzech basztach narożnych, których właśnie i panowie starszyzna, *ante omnia* bronić i strzedz nakazują.

Naprzód tedy jest baszta na wschód słońca obrócona, gdzie w kondygnacyi górnej, od wiek wieka mieści się zamkowa kaplica. Ta jest z gruntu potężna i na całolitej skale ufundowana, w którą też, że jest wielce wyniosłą, siła razy, jako ludzie powiadają i pioruny biły, a nieprzyjaciel od tyla czasu i taranami tłucze i hulajgrody podtacza, zawsze atoli za łaską Bożą bez efektu i bez żadnego dla nas szwanku; co im też po dziś dzień niemało serca zepsowało.

Druga zasię baszta od zachodu, rycerską zwana, w której są złożone stare archiwa i jakoby cekhauz, gdzie broń, zbroje, rynsztunki i różne pamiątki z dawnych lat się przechowują.

Tę lubo nieprzyjaciel i wstępnym bojem i gęstą strzelbą srodze już napsował, ile że snać swego czasu nie broniono jej jak należy; atoli i ona stoi jeszcze dość krzepko i choć teraz z niewielką załogą, nie łacnoby ją komu ubiedz, albo li też obalić przyszło.

Trzecia wreszcie środkowa, jak wiadomo, najstarsza, książnicą zwana, w której jest skarbiec i zbiór ksiąg różnej nauki pomieszczony. Ta, jako mówią, z zamierzchłych czasów jeszcze budowana, byłaby najmocniejszą, gdyby nie to, że różnemi czasy aż do tej pory, jakby się na nią uwzięto, dodawano jej lub przebudowywano różne części według zagranicznych jakichś modeluszów; że już w niektórych argułach niepodobna zgoła i rozpoznać owego kształtu, jaki jej w dawnych leciech nadano. Przez co i moc jej nie ma już należytej pewności, ale ją miąższość dolnych murów trzyma.

Obrona tedy mogłaby być trwałą i skuteczną, a choć nam nieprzyjaciel wszystkie passy przejął, niewiele to nas frasuje; żywności bowiem, lubo nie nad potrzebę mamy, ale i nie brak i prochów też oraz innych rzeczy wojennych dostatek.

Coż po tem wszelako, kiedy w pryncypalnej

szwankujemy sile, utraciwszy komendanta, któryć przedsię musi być, wedle ładu, jako przy korpusie głowa, aby z niej rozkazy szły.

Rządzi to niby dotychczas starszyzna, ale już z dnia na dzień coraz mniej ma posłuchu, a po staremu swary ustawiczne, bo nie ma, ktoby w *praesidium*, jako się patrzy utrzymał powagę i karność rzetelną.

Wielką to prawdę powiadają nasi rusini w onem przysłowiu: „*u koho zhuba, u teho hrechu pouna huba*;“ jakoż grzeszymy wszyscy niczem innem jeno zbytnią ambicyą i za to nas Pan Bóg karze. Bo każdy chciałby się nad innych mądrzejszym okazać. Więc lubo na nikogo, Boże strzeż, *suspicyi* o zdradę mieć nie podobna, wielu jest przedsię takich, co z onej jedynie ambicyi, buty i mędrkowania, a z gorącości zbytecznej, samemu właśnie tylko nieprzyjacielowi służą, pospolitemu dobru zaś niewymowne a nieobliczone przynoszą szkody.

A stało się to nieszczęście i owe niesnaski za przyczyną samychże kilku ze starszyzny naszej, którzy to w zamorskich bywając krajach, a widząc jako się tam do publicznych rzeczy naprawy kwapią, jako śledzą a dochodzą dawnych wieków usterki, aby się takowych na

przyszłe czasy wystrzegać — zaraz tedy w ojczyźnie się znalazłszy, z chęci okazania mądrości swej i *experiencyi*, poczęli bez zastanowienia postponować, a ganić wszelkie dawnych czasów roboty. Niktby im pewnie o to zarzutów nie czynił, gdyby podczas prawdy a poprawy dochodzić chcieli, atoli każda rzecz, by najlepsza, ma swoją wedle *circumstancyi* porę.

Tak więc owych starszych kilku, z wielką *prezumpcyą* twierdzić poczęło, jako całe zgoła fortyfikacye nasze, tak wewnętrzne, jako i zewnętrzne, były z gruntu źle, a bez należytych budowane fundamentów; że dlatego też nas z rawelinów i szańców wyparto. Każdy więc ztąd, kto chciał, taką *konkluzyę* wyciągał, że i sam zameczek nie lepszy, co już w całem *praesidium* srogo zepsowało ducha.

Bo przedsię co słuszną jest a rzetelną, względnie fundamentów prawdą, ile że liczba lat a grubość ziemi, jakoby na grobach, zbyt je głęboko pokryły; nie łacno jest przeto zbadać i racyi i gatunku tych dawniejszych robót. A choćby zaś i to prawdą być miało, nie czas teraz napróżno mędrkować, kiedy się właśnie srogi bój toczy, nie czas osłabiać animusz załо-

gi, który w tej dobie nad miecz jest ważniejszy.

Lepiej więc przedtem i rozważniej poczynali sobie starsi, gdy przy pierwszych jeszcze nieprzyjaciela szturmach, nie mówili o złych jakoby fundamentach warowni, ale obrońcom stawiając na oczy bohaterskie dawnych wieków przykłady, takie męztwo i zapał w ich sercach wzniecali, że same już onych obrońców piersi za najtwardsze wystarczały mury.

Młodsi tedy, jako krwi gorącej, co niedziwota, żeby się do harcowania w polu rwali, zaraz owe nieopatrzne kilku starszych podchwyciwszy mowy, nuż poczęli skargi wywodzić a wyrzekać bez końca: za nimi też, jako to to rzecz zwykła, rzucili się nawet z poswarkami, co ślina do gęby przyniosła, różnej kondycyi warchoły.

Mniejszaby wszelako o tó, gdyby się owe narzekania w zawartych murach między swymi toczyły; nie razby może młodsze oczy snadniej coś nawet, aniżeli starsze, ku naprawie dostrzedz mogły.

Ale stało się zgoła inaczej; ten i ów bowiem, wyskoczywszy na blanki, na murach stając w obliczu nieprzyjaciela, na całe gardło

wykrzykuje: „Oto tu słaba kurtyna! oto owdzie anguł się kruszy, albo mur nadwerężony!“

A ci, co nas oblegają, śmiejąc się i naigrawając — radzi z wiadomości, którejby inaczej nie posiedli — dalejże tam uderzać, gdzie im sami nasi miejsca najsłabsze wskazują.

Napróżno więc rozważniejsi na owych nieopatrznych zapaleńców wołają, napróżno ich z murów do wnętrza ściągają, aby wraz z innymi pracując, po cegiełce ze środka fortyfikacye tymczasem zmacniali, odkładając z gruntu przeróbkę do sposobniejszego czasu, gdy nieprzyjaciel odpartym zostanie; nic to do tej pory zgoła nie pomaga, tak bowiem głośno krzyczą, że i za murami słychać. A są inni tak już rozjadli i zaślepieni, że radziby i najgłówniejsze owe trzy baszty, na których cała opiera się obrona, dziś z gruntu obalić, choć widzą, że nieprzyjaciel sam w nie tłucze najmocniej, a na ich miejscu i płotu nie byłoby już czasu postawić, ani też komu po nas *requiem* zaśpiewać.

Zdałoby się tedy, że to już ostatnia dla nas wybiła godzina, ale za łaską Bożą, mamy moc jeszcze w tych murach naszego zameczku po-

tężnych i pewność też w większej liczbie załogi, która na żadne nie zważając hałasy, bez namysłu prawie a mędrkowania, dzień jak noc trwa w pracy i obronie aż do upadku, nie litując wysiłku kiedy już chodzi jeno... o życie...

Tak więc trzymamy się w tem zawarciu naszem, dziś — a co będzie jutro... w Bożej to sprawindliwości i mocy.

Z OPŁATKIEM.

KOLENDA.

Bratu Józefowi w Dreźnie.

Dosiego roku życząc panu bratu,
Kiedy w rozłące pędzim dni ostatek,
(Choć dziś ten zwyczaj obojętny światu)
Szlę ci opłatek.

Dla nas, on zawsze Swiętość wyobraża:
Pamiątkę łaski udzielonej z Nieba,
A oprócz skarbu, branego z ołtarza,
Własny kęs chleba.

Ojców to naszych obyczaj prastary,
Rodzinnej niwy maluje dostatek;
Symbol braterstwa, miłości i wiary —
Święty opłatek.

Dawniej — po dworach chadzali kwestarze,
Przy nich katechizm powtarzały dziatki,
I z Bożem słowem przynosili w darze
Białe opłatki.

Tuż za kwestarzem dążył organista,
Jakby na odpust, w świątecznej kapocie,
Wraz opłatkami sypał wierszy trzysta
I życzeń krocie.

Lecz świat dzisiejszy, który w nic nie wierzy,
Co nie jest złotem, bogactwem, dostatkiem,
Co — Boże odpuść — nie mówi pacierzy, —
Gardzi opłatkiem.

Pewnemu panu, co tym idzie śladem,
Kiedym opłatek chciał raz ofiarować,
„Po cóż ja gębę — odrzekł — przed obiadem
Mam pieczętować."

Zbluźnił nieborak i zgrzeszył niemało;
Niechaj to Pan Bóg raczy mu darować!
Bo taką gębę — słusznie należało
Zapieczętować.

Ale my — czcimy co obyczaj święci,
Czy ty za światem, czy ja w naszej chacie;
Więc ten opłatek, w dowód mej pamięci
Przyjm miły bracie.

Romanów, d. 20 Grudnia 1876 r.

SPIS RZECZY.

	Str.
Goście	5
Pioruny Księcia Wojewody	83
Jarząbkowa noc	199
Wołłodkowicze	257
Kościuszkowie	301
Dołholiska	329
Sosnowica	343
Taktyka Pana Rotmistrza	357
O Karpińskim	387
W oblężeniu	405
Z opłatkiem	415

60.-
515256/1412/71

WYŻSZA SZKOŁA NAUCZYCIELSKA w KIELCACH
BIBLIOTEKA
49121
Biblioteka WSP Kielce
0189653